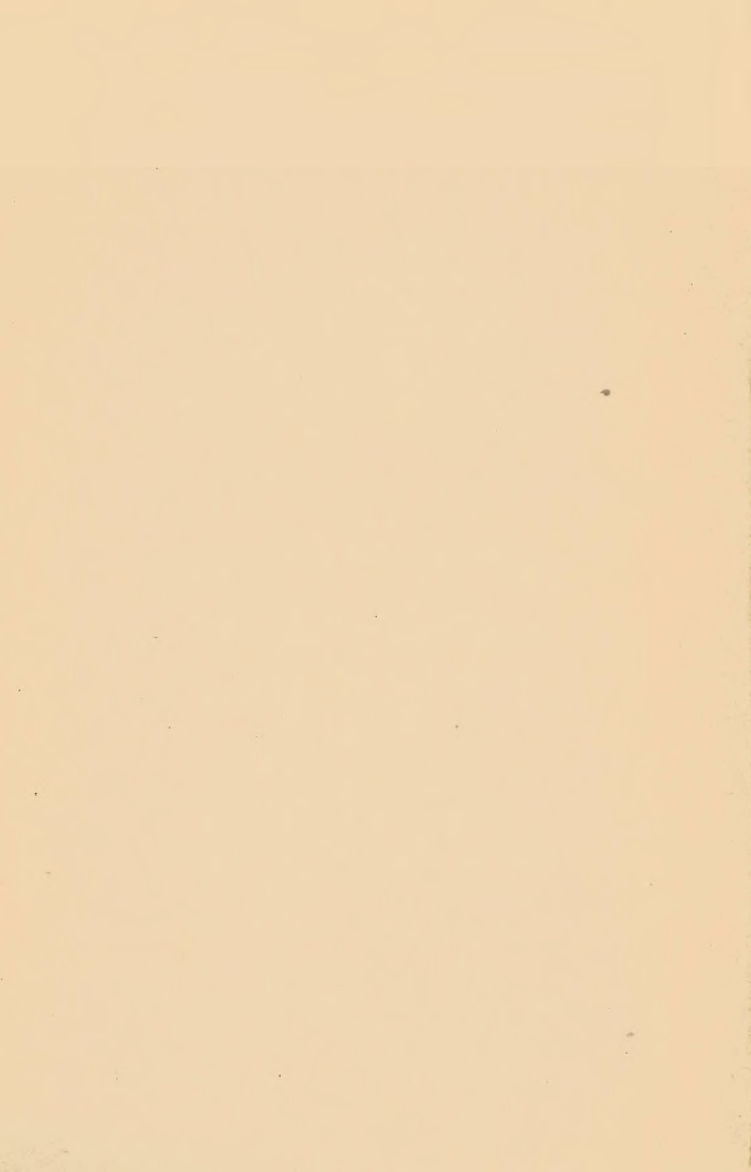






POEZYE  
ADAMA MICKIEWICZA.



NOWE WYDANIE,  
z życiorysem autora, skreślonym przez  
PIOTRA CHMIEŁOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

WARSZAWA.  
KSIĘGARNIA  
GEBETHNERA I WOLFFA.

PETERSBURG.  
KSIĘGARNIA POLSKA  
(BR. RYMOWICZ).

1888.

2004



POEZYE

ADAMA MICKIEWICZA.



NOWE WYDANIE,

z życiorysem autora, skreślonym przez

PIOTRA CHMIEŁOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

WARSZAWA.

KSIĘGARNIA  
GEBETHNERA I WOLFFA.

PETERSBURG.

KSIEGARNIA POLSKA  
(BR. RYMOWICZ).

1888.

3004



77257

Дозволено Цензурою.

*Варшава, дня 12 Ноября 1887 г.*

# POEMATY.





# GRAŻYNA,

## POWIEŚĆ LITEWSKA. \*)

\*) Po raz pierwszy drukowana w Wilnie, r. 1823. Warianty Grażyn y, według autografu znajdującego się w zbiorze hr. Przeździeckich, ogłoszone były w wydaniu warszawskim z r. 1858. W autografie tytuł powieści jest: „Korybut Xiążę Nowogródka, poema z dziejów Litewskich,“ a rzecz dzieje się za czasów Kiejstuta. Grażyna zowie się tu Karyną. Wszakże w ciągu rękopisu epoka zbliżona do czasów Witołda, a w miejscu Korybuta i Karyny, czytamy imiona Witołda i Grażyny



Coraz to mocniej wiatr północy chłodzi;  
Na dole tuman, a miesiąc wysoko,  
Pośród krążącej czarnych chmur powodzi,  
We mgle niecałe pokazywał oko.  
I świat był nakształt gmachu sklepionego,  
A niebo nakształt sklepu ruchomego —  
Księżyc jak okno, którędy dzień schodzi.

Zamek na barkach nowogrodzkiej góry <sup>(1)</sup>  
Od miesięcznego brał po złotą blasku;  
Po wałach z darni i po sinym piasku  
Olbrzymim słupem łamał się cień bury,  
Spadając w fosę, gdzie wśród wiecznych cieśni,  
Dyszała woda z pod zielonych pleśni.

Miasto już spało, w zamku ognie zgasły;  
Tylko po wałach i po basztach strażę  
Powtarzanemi płoszą senność hasły.  
Wtém się coś zdala na polu ukaże:  
Jakowiś ludzie biegną tu po błoniach,  
A gałąz cieniu za każdym się czerni,  
A biegną prędko, muszą być na koniach,  
A świecą mocno, muszą być pancerni.

Zarżały konie, zagrzmiała podkowa;  
Trzej to rycerze jadą śród parowa;  
Zjechali, stają, a pierwszy z rycerzy  
Krzyknie i w trąbkę mosiężną uderzy.  
Uderzył potem raz drugi i trzeci,  
Strażnik mu z baszty rogiem odpowiada;  
Brzękły wrzeczadze, pochodnia zaświeci  
I most zwodzony z łoskotem opada.

Na tentent koni zbiegli się strażnicy,  
Chcąc bliżej poznać i męża i stroje.  
Pierwszy mąż jechał w zupełnej zbroicy,  
Jaką zwykł Niemiec przywdziewać na boje;  
I krzyż miał czarny na białej kapicy,  
I krzyż na piersiach u złotój pętlicy,  
Trąbkę na plecach, kopiję u toku,  
Różaniec w pasie i szablę u boku.

Poznali męża Litwini z tych znaków;  
Więc cicho jeden do drugiego szepce:  
To jakiś urwisz od psiarni Krzyżaków, <sup>(2)</sup>  
Tuczny, bo pruską krew codziennie chłepce.  
O, gdyby nie był nikt tu więcej z warty,  
Zarazby w bagnie skąpał się ten plucha; <sup>(3)</sup>  
Aż pod most pięścią zgiałbym łeb zadarty! —  
Tak oni mówią; on niby nie słucha,  
Lecz musiał słyszeć, bo się bardzo zdumiał,  
A chociaż Niemiec, głos ludzki rozumiał. <sup>(4)</sup> \*)

\*) Czytelnik niech uważa, że to jest głos pogański, przeciw rycerstwu niemieckiemu użyty, który objaśnia się przypiskami.

„Księżę jest w zamku?” „Jest, lecz o tój porze  
 Bardzoście wasze poselstwo spóźnili;  
 Dziś nie możecie stawić się we dworze,  
 Chyba na jutro.” „Jutro? ani chwili!  
 Zaraz, natychmiast, choć w spóźnioną porę,  
 Litaworowi o posłach donieście;  
 Niebezpieczeństwo na mą głowę biorę,  
 A wy dla znaku pierścień tylko weźcie.  
 Nie trzeba więcej: skoro ujrzy godło,  
 Pozna kto jestem i co nas przywiodło.”

Cichość dokoła, zamek we śnie leży.  
 Co za dziw? Północ; jesienią noc długa,  
 Za cóż dotychczas w Litawora wieży  
 Lampa, jak gwiazdka, między kratą mruga?  
 Wszak dziś powrócił, jeździł w kraj daleki,  
 Snu potrzebują troskliwe powieki.

On przecie nie śpi. Posłano na zwiady:  
 Nie śpi. Lecz żaden z pałacowej straży,  
 Ani z dworzanów, ani z panów rady,  
 Do progu jego zbliżyć się nie waży.  
 Daremnie poseł i grozi i prosi;  
 Groźba i prośba na nic się nie przyda;  
 Kazano wreszcie obudzić Rymwida.  
 On wolę pańską nosi i odnosi,  
 On głowę w radzie, prawą ręką w boju,  
 Jego nazywa księżę drugim sobą,  
 W obozie, w zamku jemu każdą dobą,  
 Wstęp do pańskiego otwarty pokój.

W pokoju ciemno i tylko od stoła  
 Kaganiec światłem konającym płonął.

Litawor chodził po gmachu dokoła,  
 A potém stanął i w myślach utonął.  
 Słucha, co Rymwid o Niemcach powiada,  
 Ale mu na to nic nie odpowiada.  
 To się rumieni, to wzdycha, to blednie,  
 Wydając twarzą troski niepowszednie.  
 Poszedł ku lampie, żeby ją poprawił;  
 Wrzkomo poprawia, a do głębi ciśnie.  
 Weisnął nareszcie i całkiem zadławił—  
 Nie wiem, przypadkiem, czyli też umyślnie.

Snać, że poskromić nie mógł wnętrznęj wrzawy  
 I w pogodniejsze wystroić się lice;  
 A jednak nie chciał, by sługa z postawy  
 Zgadnął pańskiego serca tajemnice.  
 Znowu komnatę obchodzi dokoła;  
 Lecz kiedy okna kratowane mijał,  
 Widna przy blasku miesięcznego koła,  
 Co się przez szyby i kraty przebijał,  
 Widna posępność zmarszczonego czoła,  
 Przycięte usta, oczu błyskawica  
 I surowego zagorzałość lica.

Potém w róg gmachu zwraca się z pośpiechem,  
 Każe podwoje zamknąć Rymwidowi,  
 Siadł i z kłamliwą spokojnością mówi,  
 Szyderskim mowę zaprawując śmiechem.

„Wszak mi sam z Wilna przywiozłeś, Rymwidzie,  
 Że Witold, pan nasz możny i łaskawy, <sup>(5)</sup>  
 Miał mię podwyższyć książęciem na Lidzie  
 I spadłe dla mnie po żonie dzierzawy,  
 Jak swoją własność i zdobycze cudze,

Litaworowi podarować słudze.“  
„To prawda, książę...“ „My więc po te dary,  
Jako przystało, wystąpimy godnie.  
Każ wynieść na dwór książęce sztandary,  
Zapalić w zamku ognie i pochodnie.  
Gdzie są trębacze? Niechaj o północy  
Zjadą na miasto, a stanąwszy w rynku,  
Na cztery wiatry trąbią z całej mocy,  
A póty będą trąbić bez spoczynku,  
Póki się wszystko rycerstwo rozbudzi.  
Niech każdy piersi zbroją ubezpiecza,  
Nasadzi groty i pociągnie miecza.  
Zgotować żywność dla koni i ludzi:  
Każdemu z mężów zgotuje niewiasta,  
Ile zjeść można od ranka do zmroku.  
Czyj koń na paszy, sprowadzić do miasta,  
Nakarmić i wziąć na drogę obroku,  
A skoro słońce z Szczorsowskiej granicy <sup>(6)</sup>  
Pierwszym promieniem grób Mendoga draśnie,  
Wszyscy staniecie na Lidzkiej ulicy,  
Czekać mię rzeźwo, zbrojnie i zapaśnie.“

Tak mówi książę. Wprawdzie jego mowa  
Zaleca zwykle do drogi przybory,  
Lecz za co nagle i niezwykłej pory?  
Dlaczego postać była tak surowa?  
A kiedy mówił, choć gwałtowne słowa  
Biega, że jedno drugiego nie ścignie,  
Zda się, jakoby wyszła ich połowa,  
A reszta w piersiach przytłumiona stygnie.  
Ta postać coś mi niedobrego wróży  
I głos ten myśli spokojnej nie służy.

Umilkł Litawor; zdało się, że czeka,  
Aż Rymwid z wziętym odejdzie rozkazem.  
I Rymwid milczy, a odejście zwleka;  
Bo to co słyszał i co widział razem,  
Kiedy stosuje i waży w rozumie,  
Z lekkich słów ciężką rzecz odgadnąć umie.

Ale cóż pocznie? Zna, że księżę młody  
Namowom cudzym mało daje ucha  
I niełubiący w długie brnąć wywody,  
Zamiaryknuje w swojej głębi ducha;  
A skoro uknuł, nie dba na przeszkody  
I hamowany lew srożej wybucha.  
Lecz Rymwid, jako wierna panu rada  
I znany rycerz w litewskim narodzie,  
Zapewne hańbie niemałej podpada,  
Gdyby powszechniej nie zabiegał szkodzie.  
Milczeć, czy radzić? na dwoje myśl dzieli:  
Waha się, w końcu na drugie ośmieli.

„Panie, gdziekolwiek chęci twoje godzą,  
Nigdyć na ludziach i koniach nie zbędzie;  
Wskaż tylko drogę, my za twoją wodzą,  
Nie patrząc kędy, gotowi iść wszędzie!  
I Rymwid pewnie nie przyjdzie ostatni.  
Ale o panie, na różnym miej względzie  
Pospółstwo ślepe twoich rąk narzędzie,  
I mężów, którzy na coś więcej zdadni.  
Bo i twój ojciec, choć lubił sam z siebie  
Wyciągać skrycie przyszłych dzieł osnowy,  
Jednak, nim gminne miecze ku potrzebie,  
Wprzód ku radzie mądre wzywał głowy,



Kędyś ja nieraz z wolnëm zdaniem siadał,  
A com umyślił, śmiało wypowiadał.  
Więc i dziś wybac, jeśli w szczerym głosie  
Zeznam, co serce ustom przekazało.  
Długo ja żyłem i na siwym włosie  
Dźwigam i czasów i czynów niemało;  
Przed się dziś widzę, oby nie ze szkoda!  
Rzecz dla nas starych niezwykłą i młodą.  
Jeżeli prawda, że na Lidskie państwo  
Ciągniesz, do twojój należące własci,  
Ten pochod skory, coś nakształt napaści,  
Zrazi i nowe i dawne poddaństwo;  
Ci jak zwycięzcy czekają zdobyczy,  
Tamci kajdanów, jak lud niewolniczy.

„Zaraz po kraju wieść ziarna rozsypie,  
Ucho je gminne chwyta i przesadza,  
Zkąd w końcu gorzki owoc się wyradza,  
Co truże zgode i co sławę szczypie.  
Okrzykną zaraz, żeś chciwy łupieży,  
Wdarł się na państwo, któreć nie należy.

„Inaczej cale po dawnym zwyczaju  
Litewskie niegdyś stąpały książęta,  
Niosąc stolicę do własnego kraju;  
Tych książąt dobrze wiek mój zapamięta,  
I jeśli zechcesz iść po starym trybie,  
Spuszczaj się na mnie, w niczëm nie uchybię.

„Naprzód rycerstwo obeszlemy wszędy,  
I tych co w mieście zostali się blizcy,  
I co na wiejskie powrócili grzędy;

Mają na zamek zgromadzić się wszyscy;  
Więc krewne pany, więc starsze urzędy,  
Ku bezpieczeństwu a większej ozdobie,  
Z sowitym pocztom niech staną przy tobie.  
Co nim dokonasz, ja mogę tymczasem  
Wyruszyć jutro lub pojutrze zrana,  
Ze służbą, z świętą osobą kapłana,  
Tudzież z potrzebnym do uczty zapasem,  
Aby się wszystko złatwiło na przodzie,  
A na zwierzynie nie brakło i miodzie. (7)

„Nietylko bowiem sam naród prostaczy,  
Lecz i starszyzna za łakocią goni;  
A widząc zrazu pańskiej hojność dłoni,  
Dobrze ztąd sobie na przyszłość tłumaczy.  
Tak zawsze było w Litwie i na Żmudzi:  
Jeśli nie wierzysz, pytaj starych ludzi.“

Skończył, podchodzi ku oknom i doda:  
„Wietrzno, niepewna na jutro pogoda.  
Jakiegoś widzę rumaka przy wieży,  
A tuż i rycerz oparty na łęku,  
Drudzy dwaj chodzą, konie wodząc w rękę;  
Posły niemieckie—poznałem z odzieży.  
Czy ich zawołać? czyli niech na dole  
Przez usta sługi odbiorą twą wolę?“

To mówiąc okno przymknięte zaszczeplił,  
Niby niechący i patrzył i gadał,  
Ale umyślnie pytanie uczepił,  
By coś o posłach niemieckich wybadał.

Na to mu prędko Litawor odpowie:  
„Jeżeli kiedy wychodzę po radę  
Do cudzych, własnej nie ufając głowie,  
Zawždy twe zdanie na początku kładę,  
Boś zewsząd godzien mojej czci i wiary,  
Jak w polu młody, tak na radzie stary.

„Więc choć nie lubię, by dzieł przyszłych końca  
Lada czyjemu widne były oku —  
Zamiar, wyległy w myślenia pomroku,  
Źle jest przed czasem wykazać na słońce;  
Niechaj rzecz cała, dokonania blizka,  
Jak piorun wprzód zabija, niż błyska—  
Przetoż ja krótko pytanie odbywam:  
Kiedy? dziś, jutro, gdzie? na Żmudź, do Rusi.“  
„To być nie może!“ „Będzie i być musi!...  
Lecz dzisiaj tobie głębi serca rozkrywam.

„Dlatego kazał do konia i zbroi,  
Dlatego nagle i orężnie godzę,  
Bo wiem Witolda, że z wojskami stoi,  
Gotowy wstręty czynić mi po drodze;  
A może na to chciał do Lidy zwabić,  
By zwabionego pojmać albo zabić.

„Ale ja z mistrzem pruskiego Zakonu <sup>(6)</sup>  
Tajemne zaraz związałem przymierze,  
Aby mi swoje dał w pomoc rycerze;  
Za co w nagrodę ustąpię część płonu.  
Jeśli, jak słyszę, przybyli posłowie,  
Znać, że na jego nie zwiedziony słowie.

„Wprzód więc nim zajdą siedmiorakie gwiazdy<sup>(9)</sup>  
Ruszymy przydać ku litewskiej sile  
Niemców pancernę trzy tysiące jazdy<sup>(10)</sup>  
I pieszych knechtów we dwójnásób tyle.  
Będąc u mistrza, sam sobie wybrałem,  
Jakie ma przysłać rumaki i chłopy,  
Od wszystkich naszych ogromniejsze ciałem,<sup>(11)</sup>  
Żelazem kute od głowy do stopy;  
Wiesz, jako dzielnie brzeszczotami \*) sieką  
I dzidą srożsi od naszych daleko.

„Knecht zaś każdy ma żelazną żmiję,  
Którą ołowiem i sadzą utuczy,  
Potem, ku wrogom nawracając szyję,  
Podrażni iskrą: wnet paszcza zahuczy  
Ogniem i gromem — zrani lub zabije,  
Kogo jęj strzelca trafny wzrok poruczy.  
Od takiej broni niegdyś obalony  
Pradziad Gedymін na szanćcach Wielony.

„Wszystko gotowo; tajemnemi drogi  
Jutro, gdy Witołd, w zaufaniu zbyt niemi,  
Na Lidzie słabe zostawił załogi,  
Wpadniem, podpalim, zabierzem i wytniem.“

Rymwid, niezwykłą rażony nowiną,  
Stał pełen dziwu, nieprzytomny sobie;  
Przegląda burzę, myśli o sposobie;  
Skłócone myśli jedne w drugich giną.  
Ale rzecz nagła, próżno zwlekać zdanie;

\*) *Brzeszczot*, głównia szabli, klinga.

Z gniewem i żalem zawoła: „O panie!  
 Bogdajbym nigdy nie dożył tęg pory!  
 Brat przeciw bratu ma podnosić dłonie!  
 Wczora wyszczerbił na Niemcach topory, <sup>(12)</sup>  
 Dziś ma je ostrzyć ku Niemców obronie?  
 Zła jest niezgoda, ale gorszą zgodą  
 Chcesz nas pojednać: raczěj ogień z wodą!

„Zdarza się wprawdzie, że sąsiad sąsiada,  
 Z którym nieprzyjaźń toczył od lat wielu,  
 Uściska wreszcie, gniewne serce składa,  
 Jeden drugiego zowiąc: przyjacielu;  
 Że bardziej jeszcze, niżli złe sąsiady,  
 Gniewne na siebie Litwiny i Lachy,  
 Często u wspólněj pijają biesiady,  
 Snu używają pod jednemi dachy  
 I miecze łączą ku wspólněj potrzebie;  
 A jeszcze bardziej nad litewskie męże  
 I nad Polaki, zawziętsi na siebie  
 Od wielu wieków są ludzie i węże;  
 A przecież, jeśli do domowych progów <sup>(13)</sup>  
 Wąż zaproszony gościem od człowieka,  
 Jeśli dla chwały nieśmiertelnych bogów  
 Litwin mu chleba nie skąpi i mleka:  
 Wtenczas gad swojski pełźnie w jego ręce,  
 Społem wieczerza, z jednych kubków pija  
 I nieraz senne piersi niemowlęce  
 Mosiężnym wiankiem bez szkody obwija.

„Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszcze  
 Nikt, ni gościna, ni prośbą, ni dary!...  
 Małoż Prusaki i Mazowska cary

Ziem, ludzi, złota wepchnęli mu w paszczę?  
On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele,  
Na resztę naszą rozdziera gardziele.

„Spólna moc tylko zdoła nas ocalić  
Darmo hordami ciągniemy co roku  
Burzyć ich twierdze i mieściny palić:  
Przebrzydły Zakon podobny do smoku,  
Jeden łeb utniesz, drugi rośnie skoro—  
I ten ucięty rośnie w dziesięcioro.  
Wszystkie utnijmy!—Napróżno się trudzi,  
Kto naszych szczerze chce godzić z Krzyżaki,  
Bo czy to z kniaziów, czyli z prostych ludzi,  
Na Litwie całój nie znajdzie się taki,  
Coby ich nie znał chytrości i dumy,  
Nie stronił od nich jak od krymskiej dzumy,  
Coby nie wolał stokroć od ich broni  
Raczej śmierć w polu, niżli pomoc zyskać,  
Raczej żelazo rozpalone w dłoni,  
Niżli krzyżacką prawicę uściskać!

„Lecz Witołd grozi?—Czyż bez obcych mieczy  
Już nie zdołamy rozeprzeć się w polu?  
Albo czy do tych kresów zaszły rzeczy,  
Iż domowego naszych zwad kąkołu  
Nie zdoła wyrwać dłoń bratniej przyjaźni,  
Oreż dla cudzej zachowując kaźni?—

, Zkądże masz pewność, że słuszna twa skarga,  
Że Witołd, znowu stawiając się upornie,  
Zdrady napina i umowy targa?  
Posłuchaj—szlij mnie do niego powtórnie,

Wznowim umowę.—“ „Dość tego, Rymwidzie!  
 Znane mi dobrze Witołda umowy: <sup>(14)</sup>  
 Wczoraj mu taki wiatr zawiał do głowy,  
 Dzisiaj nań znowu co innego przyjdzie.  
 Wczoraj ufałem ksiąźcemu słowu,  
 Że sobie Lidę w dziedzictwo zabiorę,  
 Dziś Witołd uknuł coś różnego znowu,  
 Na gwałt swobodną wyszedziwszy porę,  
 Gdy się do domów rozjechali moi,  
 A on u Wilna obozami stoi.  
 Dziś oznajmuje, jakoby Lidzianie  
 Za swego pana słuchać mnie nie chcieli;  
 Więc Witołd Lidę dla siebie wydzieli,  
 Mnie zaś w nagrodę inny kraj dostanie,  
 Pewnie Ruś gołą, lub bagna Warega! <sup>(15)</sup>  
 Bo tam wskazana jest siedziba nasza,  
 Tam Witołd braci i krewnych wypłasza,  
 A świętą Litwę sam jeden zalega!  
 Patrz, jak uradził! A wie na co radzić,  
 Bo w jedno bije, chociaż różną drogą;  
 Chciałby się jeden nad wszystkich posadzić  
 I sobie równych cisnąć pod swą nogą.

„Przebóg! Czyż niedość, że Witołda buta  
 Na koniu wiecznie trzyma całą Litwę?  
 Pierś nasza wiecznie do zbroi przykuta,  
 Szyszaki już nam przyrosły do czoła;  
 Z łupów po łupy i z bitwy na bitwę,  
 Świat jako wielki, zbiegliśmy dokoła:  
 To na krzyżactwo, to znowu przez Tatry  
 Na Polski pięknie zbudowaněj sioła.  
 Ztamtąd po stepach, żeglujący z wiatry,

Goniąc błędnego obozy Mogola;  
 A cośmy skarbu z zamków wyłamali  
 I co żywego szablica nie dotnie,  
 Głód nie dogryzie, ogień nie dopali,  
 Jemu znosimy, spędzamy ochotnie.  
 Na trudach naszych w potęgę urasta;  
 Od Fińskich zatok po Chazarów morze, <sup>(16)</sup>  
 Wszystkie pod siebie zagarnął już miasta;  
 Sam w jakiem mieście! w jakim siedzi dworze!  
 Widziałem pysznych Krzyżaków warownie,  
 Na które Prusak nie spojrzy bez strachu,  
 A przecież mniejsze od Witołda gmachu,  
 Co jest na Wilnie lub Trockiém jeziorze! <sup>(17)</sup>  
 Widziałem piękną dolinę przy Kownie, <sup>(18)</sup>  
 Kędy Rusałek dłoń wiosną i latem  
 Ściele murawę, kraśnym dzierzga kwiatem:  
 Jest to dolina najpiękniejsza w świecie.  
 Lecz któżby wierzył? U syna Kiejstuta  
 W pałacu świeższa murawa i kwiecieł  
 Takim podłoga kobiercem osuta,  
 Takie po ścianach rozwisłe bisiory,  
 Z liściem ze srebra i kwieciami ze złota.  
 Nad dzieło bogiń, nad smug różnowzory  
 Cudniejsza branek lechickich robota;  
 W kratkach u niego szklane okiennice,  
 Przywożne kędyś aż od ziemi końca,  
 Błyszczą, jak polskich rycerzy zbroice,  
 Albo jak Niemen, przed oczyma słońca  
 Z pod śniegu zimne gdy odsłoni lice.

„A ja — com zyskał za rany i znoje?  
 Com zyskał, ze od maleńkiego wieku,



Z pieluchów zaraz przewiniony w zbroję,  
 Książę, jak Tatar, żył o końskiém mleku?  
 Cały dzień konno; w wieczór końska grzywa  
 Poduszką moją, przy nięj noc wystoję,  
 A rankiem znowu trąba na koń wzywa —  
 Że wtenczas, kiedy moi równiennicy,  
 Jeżdżąc na kijach, szabłami z łuczywa  
 Bezpiecznie sobie grali po ulicy,  
 By siwą matkę lub dziecinną siostrę  
 Zabawić wojny kłamanęj obrazem:  
 Wtenczas z Tatary jam gonił na ostre,  
 Lub wręcz z Polaki ścinał się żelazem!

„Przecież me państwa, od Erdwiłła czasu,  
 I piędziesiąt szerzej ziemi nie zaległy!  
 Patrz na te mury z dębowego lasu,  
 I na ten pałac mój z czerwonej cegły;  
 Pójdź przez komnaty pradziadów siedliska,  
 Gdzie szklane kupły? gdzie kruszcowe łupy?  
 Miasto blach złotych, mokry kamień błyska;  
 Miasto kobierców, śniade mchu skorupy!  
 Cóżem chciał wynieść z ognia i kurzawy?  
 Państwa, czy skarby? Nie, nie—kromia sławy!

„Ale i sławą wszystkim ponad głowę  
 Witold podleciał: Witold wszystkich gasił!  
 Jego, jakoby drugiego Mindowę, <sup>(19)</sup>  
 Na ucztach wielbią wajdeloci nasi;  
 Jego na strunach i na wieszczym rymie  
 Do potemnego wysyłają blasku:  
 Nasze wśród gminu kto wypatrzy imię?  
 Kto podjąć raczy z niepamięci piasku?

„Przecież nie zajrzym. Niech walczą, niech gromi,  
 Niechaj się w imię i skarby bogaci,  
 Tylko niech zęba chciwego poskromi  
 Od swych ojcyców, od ziemi swych braci!  
 Czyż dawno w środku pokoju i zgody  
 Gwałtem litewska wstrząśniona stolica?  
 Czyż dawno Witold kniaziów wielkich grody  
 Naszedł i z tronu zmiotł Olgierdowica<sup>(20)</sup>  
 I sam owładał? A tak lubi władać,  
 By jego poseł, jak krywejty goniec,<sup>(21)</sup>  
 Książąt podwyższał, albo zmuszał spadać!  
 O! czas, że temu położymy koniec;  
 Czas, że po sobie jeździć nie dozwolim!  
 Póki młodego w piersiach żywię ducha,  
 Póki żelazo ręki zdrowej słucha,  
 Dopóki koń mój ze skrzydłem sokolém,  
 Com z łupów krymskich jednego wziął sobie,  
 Jakiemu równy dany tobie drugi,  
 A jeszcze dziesięć rzy przy moim żłobie,  
 Którymi wierne poobdziałam sługi—  
 Dopóki koń mój—póki szabla moja....“  
 Tu mu gniew słowa i tchnienie zatłoczył.  
 Umilkł, lecz chrzęstem ozwała się zbroja;  
 Śnać, że się wzdrygnął i z miejsca wyskoczył.  
 Jakiż to płomień nad głową mu błysnął?  
 Jak oderwana gwiazda przez niebiosa  
 Spada, z długiego żary trzęsąc włosy,  
 Tak on brzeszczotem koło stropu cisnął  
 I siekł w podłogę—od tegoż razu  
 Rzęsiste iskry sypnęły się z głazu.

Znowu ich głucho obeszło milczenie,  
Znowu rzekł książę: „Dosyć próżnej mowy,  
Oto noc prawie dochodzi połowy,  
Wkrótce usłyszym drugich kurów pienie.  
Wiesz, com rozkazał: bądźcie w pogotowiu,  
Ja legnę—może duch troskliwy spocznie  
I ciało trochę pokrzepię na zdrowiu,  
Bom trzy dni nie spał! Teraz jeszcze mrocznie;  
Lecz dziś zapełnia księżyc rogi nowiu,  
Świt będzie widny: ruszymy niezwłocznie,  
Synom Witolda w Lidzie zostawimy  
Godne dziedzictwo—popioły i dymy!“

To powiedziawszy, usiadł i w dłoń klasnął;  
Skoczyli słudzy, kazał zwlekać szaty  
I legł, nie na to może, aby zasnął,  
Lecz aby Rymwid miał się precz z komnaty.  
I on, gdy widzi, iżby nie nie sprawił,  
Ani co mówił, ani dłużej bawił:  
Poszedł, a jako znał powinność sługi,  
Wytrąbił ukaz, rycerstwo zgromadził,  
Potem do zamku wrócił się raz drugi.  
Po cóż? Czy żeby znowu z panem radził?  
Nie. W inną stronę wiódł on kroki swoje,  
Na lewe skrzydło zamkowej budowy,  
Gdzie ku stolicy padał most zwodowy,  
Szedł kruzgankami przed księżny podwoje.

Była naówczas księżęciu zameżną  
Córa na Lidzie możnego dziedzica,  
Z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica,  
Zwana Grażyną, czyli piękną księżną.

A chociaż wiekiem od młodej jutrzeńki  
 Pod lat niewieścich schodziła południe,  
 Oboje, dziewczki i matrony wdzięki  
 Na jednem licu zespoliła cudnie.  
 Powagą zdziwi, a świeżością znęca.  
 Zda się, że lato oglądasz przy wiośnie,  
 Że kwiat młodego nie stracił rumieńca.  
 A razem owoc wnet pełni dorośnie.  
 Nietylko licem nikt jęj nie mógł sprostać,  
 Ona się jedna w dworze całym szczyci,  
 Że bohaterską Litawora postać  
 Wzrostem wysmuklęj dorówna kibici.  
 Książęca para, kiedy ją okoli  
 Służebne grono, jak w poziomym lesie  
 Sąsiednia para dorodnych topoli,  
 Nad wszystkich głowę wystrzeloną niesie.

Twarzą podobna i równa z postawy,  
 Sercem też całem wydawała męża.  
 Iglę, wrzeciono, niewieście zabawy  
 Gardząc, twardego miała oręża;  
 Często myśliwa, na żmudzkim rumaku, <sup>(22)</sup>  
 W szorstkim ze skóry niedźwiedzięj kirysie,  
 Spiąwszy na czole białe szpony rysie,  
 Pośród strzelczego hasała orszaku.  
 Z pociechą męża nieraz w tym ubiorze,  
 Wracając z pola, oczy myli gminne;  
 Nieraz od służby zwiedzionęj na dworze,  
 Odbiera hołdy książęciu powinno.

Tak zjednoczona zabawą i trudem,  
 Ośłoda smutku, spółniczka wesela,

Nietylko łoże i serce podziela,  
Lecz myśli jego i władzę nad ludem.  
Wojny i sądy i tajne układy,  
Częstokroć od jej zależały rady,  
Acz innym rzecz ta nie była świadoma,  
Bo księżna, wyższa nad żon prostych rzędy.  
Które zbyt rade, że panują doma,  
Chciałyby z tēm się popisować wszędy:  
Owszem, cudzemu pilnie kryła oku,  
Z jaką potęgą w sercu męża władnie;  
Nawet baczniejsi i bliżsi jej boku  
Nieprędko mogli zbadać i niesuadnie.

Mimo to Rymwid mądry odgadywał,  
Gdzie mu jedyne pozostało wsparcie:  
Szedł więc i księżnie wynurzył otwarcie,  
Wszystko co wiedział i co przewidywał,  
Jaka ztąd dawnym zwyczajom obraza,  
Książęciu hańba, narodowi skaza.

Mocno Grażynę wieść nowa uderzy,  
Lecz panią swoją będącą postaci,  
Udaje wrzкомо, iż temu nie wierzy,  
Pokoju w głosie i twarzy nie traci.  
„Nie wiem ja, rzekła, czyli nad rycerzy  
Więcej u pana słowo niewiast płaci;  
To wiem, że sobie sam radzi roztropnie;  
Wiem jeszcze lepiej, co uradzi, dopnie.  
Wreszcie, jeżeli nagła gniewu flaga  
Doczesną burzę w sercu jego wzbudzi,  
Jeśli niekiedy, lotem młodych ludzi,  
Chęć swą nad słuszność lub nad możność wzmaga:

Zostawmy, niech czas i cicha uwaga  
Rozjaśni myśli, zapalą przystudzi,  
Pierzchliwe słowa niepamięć zagrzebie;  
Tymczasem drugich nie trwóźmy i siebie.“

„Wybaczej, księżno! O, nie są to słowa,  
Co z ust w gorącej pryskają godzinie,  
Których zagasłych pamięć nie dochowa;  
Nie jest to zamiar, który w plątaninie  
Chęci niewczesnych rodzi myśl jałowa,  
Który jako dym zamroczy i zginie:  
Te iskry znaczą wielki pożar w duchu,  
Ten dym strasznego zwiastunem wybuchu!

„Nie dzisiaj jestem przy pańskiej osobie,  
Od lat dwunastu znał mię wiernym sługą:  
Przecież na pamięć nie przywiodę sobie,  
By ze mną mówił tak szczerze, tak długo.  
Odkładać próżno; co rozkazał, zrobię,  
Bo już rozkazał, bym przed gwiazdą drugą  
Zgromadził wojska na grób Peresieka,  
Noc będzie widna, droga niedaleka.“

„Co słyszę, jutro? Biada mojej głowie!  
Nie chcę, ażeby po Litwie gadano,  
Że brat na bratnie następował zdrowie,  
Wziął gardło, lub dał za Grażyny wiano!  
Pójdę i w pierwszój z książęciem rozmowie....  
Owszem, dziś idę, chociaż to nie rano.  
Wprzód niżli nocną świt opędzi rosę,  
Tuszę, iż dobrą odpowiedź przyniosę.“

Żegnają siebie po tym rozhoworze,  
A w jedno miejsce dążyli oboje.  
Księżna, i chwili nie bawiąc w komorze,  
Śpieszy w gmach pański przez tajne pokoje,  
Rymwid, nie bawiąc i chwili na dworze,  
Śpieszy krążgankiem i w pańskie podwoje  
Że nie śmiał wstąpić, na progu usiada,  
Szczeliną patrzy i ucha dokłada.

Niedługo czekał. Klamka zaszeleści,  
Z ubocznych progów mignie postać w bieli.  
„Kto?“ woła księżę, zerwał się z pościeli,  
„Kto?“ „Ja“ odpowie znany głos niewieści.  
Potem coś dłużej rozmawiać zaczęli,  
A chociaż Rymwid domyślał się treści,  
Głosu nie złowić, bo w echo wplątany,  
Połknęło miejsce lub odbiły ściany.

Rozmowa coraz żwawsza i zmieszana,  
Coraz wolniała, coraz trudniej słyhać,  
Częściej głos pani, bardzo rzadko pana;  
Milczał, niekiedy zdawał się uśmiechać.  
Nakoniec księżna padła na kolana.  
Wstał, niewiadomo podnieść, czy odpychać,  
Kilka słów potem wymówił goręcej,  
A potem milczał i nie mówił więcej.  
I było cicho. Znowu postać w bieli  
Przemknie się ku drzwiom, klamką zaszeleści.  
Czy uprosiła, czy się nie ośmieli  
Prosić go dłużej; już w swój gmach niewieści  
Odeszła księżna. Księżę do pościeli  
Wrócił — legł. Cicho i widać z tej cisze,  
Że go sen twardy wpředce ukołysze.

Rymwid daremnie jeszcze chwilę badał;  
 Odszedł nareszcie i w lewym balkonie  
 Giermka obaczy, który z Niemcy gadał.  
 Słucha ciekawie, lubo ku tój stronie  
 Nie szła rozmowa i wiatr ją odkradał;  
 Wtém ręką giermek ukazał ku bronie; \*)  
 Coby oznaczał, Rymwid łącno zgadał.  
 Strasznie to pychę Krzyżaka ubodło,  
 Zbiegł, chwycił konia, poskoczył na siodło:  
 „Przysięgam—wrzeszcząc—gdybym nie był posłem,  
 Przysięgam na ten krzyż, komtura znamię,  
 Iż za obelgę, którą dziś poniosłem,  
 Prędkoby zemstę znalazło to ramię.  
 Między monarchy na poselstwach wzrosłem;  
 Ni przy cesarskiej, ni papieskiej bramie  
 Nie spotkało mię co u twego panka,  
 Pod gołem niebem doczekać się ranka,  
 Iść precz, za czym? za giermka rozkazem!  
 Ale ostrzegam, że nas nie ułowi  
 Pogański wykręt i nie minie płazem  
 Wołać nas wrzkomo przeciw Witołdowi,  
 A potem wspólnem otoczyć żelazem!  
 No, zobaczymy, czy Witołd odbije  
 Ten miecz, zanadto waszój blizki szyje.

„Powiedz książęciu, jeśli nie dowierza,  
 Sam niechaj spyta, powtórzyć gotowem,  
 Choć razy dziesięć ténże samém słowem,  
 Teraz i zawsze: bo ze słów rycerza  
 Nic nie wyrzucić, jak ze słów pacierza.

\*) Bramie.



A com rzekł usta, prawicą dowiodę.  
Jama, którąście pod nami kopali,  
Na waszę własną wykopana szkodę,  
Dziś jeszcze, jeszcze tój nocy się zwali,  
Tak jakem Ditrich Halstark von Kniprode,  
Komtur Zakonu! Za mną knechty, dalej!“

Zaczekał jednak. Lecz po krótkiej zwłoce,  
Gdy nic nie słyszał, bramą w pole goni.  
Kiedy niekiedy zbroja zamigoce,  
Kiedy niekiedy podkova zadzwoni,  
Kiedy niekiedy słyhać rzenie koni;  
Coraz znikają w dali i pomroce,  
Las ich, nakoniec i góra zasłoni.

„Jedźcie szczęśliwie, bogdaj wasza noga  
Nigdy w litewskiej nie powstała ziemi!“  
Rzekł Rymwid, patrząc z uśmiechem za niemi.  
„Dzięki, o księżno! Jaka zmiana błoga,  
Jak niespodziana! Proszę teraz, kto tu  
Pochlebi sobie, że zna serce cudze?  
Ów głos gniewliwy, owa postać sroga!  
Słowa wiernemu nie dał wyrzec słudze!  
Ptasiego zda się chciał pożyczyć lotu,  
By spaść coprędzej na Witolda głowę:  
Wtém jeden uśmiech i słówko miodowe  
Wytrąca oręż, zmusza do powrotu.  
Niedziw, zapomniał starzec siwobrody,  
Że księżna piękna, a Litawor młody!“

Tak mówiąc z sobą, wzniósł dogóry oczy,  
Może się lampa za kratą ukaże.

Napróżno patrzył; ciemność okna mroczy;  
 Wraca więc znowu i na ganek kroczy,  
 Ażali książę wołać nie rozkaże.  
 Napróżno czekał, zapytywał strażę,  
 Zbliża się ku drzwiom, w pokoju noc cicha,  
 A książę dotąd snem twardym oddycha.

„Cuda prawdziwe! Nie odgadnę cale,  
 Jakim dziś wszystko idzie u nas torem:  
 Niedawno wołał, w największym zapale,  
 Rozkazał wojsko zgromadzić wieczorem,  
 A sam śpi dotąd? miał wyciągnąć rano,  
 Stoją rycerze od Niemców wezwani,  
 A Niemcom z niczém odjechać kazano.  
 Któż zaniósł rozkaz? oto giermek pani!

„Ile z wczorajszej wróżyłem rozmowy —  
 Wprawdzie żadnego nie słyszał wyrazu,  
 Lecz długie prośby, głos pana surowy —  
 Miałaby księżna, pomimo rozkazu,  
 Ważyć się sama aż na krok takowy,  
 Ufna potędze niewieścich pieścideł?  
 Lękam się bardzo, aby tego razu  
 Zbytnej śmiałości nie puściła skrzydeł.  
 Prawda, iż nieraz poczyniała śmieć,  
 Lecz to byłoby więcej, niż zawiele.“

Dalsze rozmowy przerwał mu posłaniec,  
 Który wszedł cicho i zdaleka mruga;  
 Więc oba śpieszą w zamku lewy kraniec.  
 Ztamtąd krążgankiem zbiegła księżny sługa,

Wnet sama pani w sieniach go spotyka,  
Wprowadza i drzwi za sobą zamyka.

„Radco sędziwy, niedobrze się dzieje,  
Ale rozpaczy oddać się nie godzi;  
Jeśli nas dzisiaj zawiodły nadzieje,  
Szczęśliwsze jutro może wynagrodzi.  
Bądźmy cierpliwi: nie robić hałasu  
Między żołnierstwem i dworską gawiedzią;  
Posły odpawim do innego czasu,  
Ażeby księżę nagłą odpowiedzią  
Nie przyrzekł Niemcom, póki zemstą płonie,  
Coby rad cofnął, gdy z gniewu ochłonie.

„Ty się nie lękaj: jakkolwiek wypadnie,  
Zamiarom pana nic się nie zaszkodzi;  
I potem wojsko może zwołać snadnie,  
Jeżeli czas mu serca nie ochłodzi.  
Dzisiaj miał jechać, ale wyznam szczerze,  
Ja tak kwapionej wyprawie nie wierzę.  
Ledwie w domowe powrócony progi,  
Wczoraj zaledwie z piersi złożył zbroję,  
Z dalekiej jeszcze nie wytechnawszy drogi,  
Miałżeby znowu dziś ruszać na boje?“

„Co słyszę, księżno? Ty mówisz o zwłokach?  
Jak cię niestety rachuba omyli!  
Już jest zapóźno; już po tylu krokach  
Nie będzie czekał godziny, pół chwili...  
Wreszcie obaczmy. Lecz wprzód chciałbym wiedzieć,  
Jak przyjął księżę wczorajszą namowę?“  
Grażyna właśnie miała opowiedzieć,  
Gdy ich zdarzenie pomieszało nowe.

Tentent jezdneho slychać na dziedzińcu.  
 Zdyszały giermek dopada komnaty,  
 Przynosi wieści od litewskiej czaty,  
 Która po lidzkim biegając gościńcu,  
 Teraz od Niemców dostała języka:  
 Że wódz krzyżacki jazdę z lasu ruszył,  
 A za nią knechtów i obóz pomyka,  
 I że przed świtem, jak czatownik tuszył  
 I jak niemieckie wyznawały brańce,  
 Chce miasto ubiedz i szturmować szance.

Niechaj więc Rymwid wraz do pana skoczy,  
 By go przebudzić i prędko uradzić:  
 Czyli na murach obrony rozsadzić,  
 Czyli na polu Niemcom zajrzyć w oczy?  
 Czatownik radzi, abyśmy się skradli  
 Do nich z ubocza, bo są niedaleko;  
 Wprzód nim się knechty z działami przywleką,  
 Abyśmy znagła na lud jezdny padli.  
 Tak zapędzonym na chrapy i rowy,  
 Łacno rajtarom i bratom lby zmieciem,  
 Potem fusknechtów wzięwszy pod podkowy,  
 Do szczętu plemię jaszczurcze wygnieciem.  
 Mocno Rymwida dziwi ta nowina,  
 Daleko mocniej dziwi się Grażyna.

„Giermku, zawoła, kędyż są posłowie?“  
 Umilknał giermek, a niepewne lice  
 I pytające topiąc w niej źrenice:  
 „Co słyszę, księżno? zdumiony odpowie,  
 Alboż o własném zapomniałaś słowie?  
 Niedawno, kiedy płaciły drugie kury,



Samaś mi rozkaz książęcy przyniosła,  
Ażebym biegał coprędzej do posła  
I wyprawiał go przed świtem za mury!“

„Tak,“ rzecze księżna, twarz odwraca zbladłą,  
Lecz pomieszanie, widne w jêj osobie,  
Do ust wyrazy nieporządne kładło —  
„Tak, prawdę mówisz, przypominam sobie;  
Jakże to wszystko z głowy mi wypadło!  
Biegnę — nie — stójmy — albo, wiem co zrobię.“  
Stanęła, milczy. Przymkniona powieka,  
Czoło pochyle, w którém się przebija  
Jakaś myśl jeszcze ciemna i daleka;  
W niepewnych rysach okaże się, mija  
I znowu wschodzi, całą twarz obleka.  
Dojrzewa zamiar, staje się wyrokiem:  
Już umyśliła, postąpiła krokiem.

„Tak jest, raz jeszcze idę budzić męża.  
Wojsko niech zaraz w drogę się wybiera.  
Ty, giermku, rozkaż osiadłać hestera (23)  
I wynieś resztę pańskiego oręża.  
Wszystko to ma być natychmiast gotowe!  
Przykazuję wam imieniem książęcia,  
Odpowiedź, starcze, wkładam na twą głowę.  
Jaki cel, kędy mierzą przedsięwzięcia,  
Nie gadać, ani pytać do poranku.  
Idźcie i pana czekajcie na ganku.

Wybiegła, drzwiczki za sobą zatrzasała.  
Wybiega Rymwid, a myśli po drodze:  
„Gdzie idę? po co? Wszak wojska i wodze

Już zgromadzone, już wydane hasła!“  
 Odetchnął tedy, zwolnił nieco kroku,  
 Stał z nagięciem ku ziemi obliczem  
 I myśląc długo, nie myślał o niczem;  
 Bo w mnogich zdarzeń i wniosków natłoku,  
 Myśli samopas płaczą się bezładnie,  
 Ani ich rozum znużony owładnie.

„Próżno tu czekam. Już blizki poranek;  
 Wkrótce się cała zagadka rozwiąże.  
 Muszę z nim mówić, śpi, czy nie śpi książę.“  
 Więc stąpał prosto na pałacu ganek.  
 A wtém się zlekka rozwarły podwoje,  
 Litawor wyszedł sam jeden do sieni,  
 Szatę miał, w jaką stroi się na boje,  
 Całą od sutěj błyszczącą czerwieni; \*)  
 Głowę pod hełmem; piersi, miasto zbroje,  
 Pancerz obwijał z żelaznych pierścieni;  
 W lewicy tarczę mniejszego obłędu,  
 A pas od miecza na prawém niósł rękę.

Gniewem lub troską zdał się kołatany;  
 Nierównym stąpał i niepewnym krokiem;  
 Gdy się zbliżały rycerze i pany,  
 Uczcié łaskawém nie raczył ich okiem.  
 Drżący z rąk giermka wziął łuk i kołczany,  
 Miecz nawet zwiesił po nad prawym bokiem,  
 A chociaż wszyscy omyłkę widzieli,  
 Przestrzegać pana nikt się nie ośmieli.

\*) Czerwień, purpura.

Już zstąpił z ganku, już chorągiew złota  
Wzniesiona, pocznie na dzień krwawy świtać,  
Już dosiadł konia, już przyboczna rota  
Miała go wrzaskiem i trąbami witać:  
Lecz dał znak ręką, aby zamknąć wrota,  
Jechać w milczeniu i o nic nie pytać,  
A pacholiki i nadworne sługi  
Aż za most wywiódł na dziedziniec drugi.

Ztąd nie gościńcem puścili rumaki,  
Ale na prawo skręcając się dołem,  
Przepadli między kurhany i krzaki;  
Zuowu ku drodze nawracają kołem.  
Wąwóz ciemnymi wiedzie ich zatoki,  
Ścieśnione coraz rozsuwając boki.

Jest od przykopów miejskich tak daleka,  
Jako niemieckiej broni grzmot doniesie,  
Mała, zaledwie znana komu rzeka,  
Wąziem korytem błędząca po lesie;  
Ku drodze jednak coraz szerzej ścieka.  
Gubiąc się w wielkim jeziora okresie;  
Puszcza okrywa z boku jej zwierciadła,  
A z przodu góra wyniosła usiadła.

Tam, gdy litewskie wymknęły się rotę,  
Ujrzą wśród góry, przy blasku księżyca,  
Zbroje, chorągwie, szyszaki i groty.  
Błysnęło, zagrzmi na hasło rusznica;  
Sypią się męże, ściskają się rotę,  
Murem krzyżacka stanęła konnica.

Tak w noc miesięczną wyglądają świetnie  
 Na czole Ponar zasadzone bory,  
 Gdy z nich oskubie wichler szaty letnie,  
 A rosa, jasne wieszając bisiory,  
 Nagle się mrozem w szron perłowy zetnie:  
 Błędnym przechodniom zdają się u wniścica  
 Lasy ze srebra, a z kryształu liścia.

Ten widok gniewy w książęciu poduszcza.  
 Skoczył z wyniosłem nad głową żelazem;  
 Wali się zbrojna w ślady jego tłuszczu.  
 Ale się wodze dziwią, że tym razem  
 Wojsko bez sprawy ładajako puszcza,  
 Ani ich zwykłym ostrzeże rozkazem,  
 Kędy sam myśli na czele ugodzić,  
 A jakie skrzydła odda im przywodzić.

Więc Rymwid, pańską zastępując wolę,  
 Obiega hufy, szykuje śród drogi;  
 Wkłęsle ku górze ściskając półkole,  
 Pancernych w środek, łuczników na rogi:  
 Tak zawsze Litwa zwykła stawić pole.  
 Dał hasło: chylą majdany \*) do nogi.  
 Warknęły struny, świsnęła strzał chmura,  
 Jezus, Marya! — Naprzód, hop hop, ural (24)

Dopieroż, drzewca ułożywszy w toku,  
 Zerwą się bliżej, pierś na pierś uderzy.  
 Za cóż wydarła potomnemu oku  
 Noc i zwycięztwa i klęski rycerzy?

\*) *Majdan*, ta część łuku, za którą się ręką łuk trzyma.



Swoi i cudzy zmieszani w natłoku;  
 Zewsząd szczęk razów, wrzask, chrzęsty pancerzy;  
 Pryskają bronie, lecą hełmy, głowy,  
 Co miecz oszczędza, druzgocą podkowy.

Księżę jak skoczył, tak goni na czele,  
 Ani się jeden między tłumem boi.  
 Znają czerwony płaszcz nieprzyjaciele,  
 Poznali godła na hełmie i zbroi:  
 Cofa się, walcząc, nieśmiała gromada,  
 Zwycięzca pędzi i na karki wsiada.

Lecz któryż z bogów siłę w nim osłabił?  
 Cóż ztąd, że zbiegłych natarczywie goni?  
 Cóż ztąd, że bije? nikogo nie zabił.  
 Bezwładna szabla po pancerzach dzwoni,  
 Albo się zwija, odbita żelazem,  
 Albo uchybia, albo idzie płazem.

Czując Krzyżacy tak słabe natarcie,  
 Odzyszczą serce; z okropnym hałasem  
 Nawrócą czoła, potkną się zażarcie  
 I gęstym włóczni otoczą go lasem;  
 Czy przełęczniony, czy splątany w tłumie,  
 Brać ich na szable i tarcze nie umie.

Trudno mu było całą unieść szyję,  
 Krzyżactwo zewsząd kole, strzela, siecze.  
 Wtém huf litewski nawałę rozbije,  
 Biorąc go między puklerze i miecze:  
 Ten słabe razy swojemi poprawia,  
 A ten od cudzych razów go zastawia.

Już noc pierzchała, już różane włosy  
Zorza na wschodnim roztacza obłoku.  
Bitwa wre dotąd, ślepe lecą ciosy,  
Ni w tył ni naprzód nie ruszano kroku;  
A bóg zwycięstwa, przyszłe ważąc losy,  
Równy krwi ciężar ztąd i zowąd bierze  
I szala dotąd w równej stoi mierze.

Tak ojciec Niemen, mnogich piastun łodzi, <sup>(25)</sup>  
Gdy Rumszyskiego napotka olbrzyma,  
Wkoło go mokrém ramieniem obchodzi,  
Dnem podkopuje, pierś górą wydyma;  
Ten, natarczywój broniąc się powodzi,  
Na twardych barkach gwałt jęj dotąd trzyma;  
Ani się wzruszy skała w piasek wryta,  
Ani jęj rzeka ustąpi koryta.

Krzyżactwo, długiej niecierpliwe bitwy,  
Na wierzchu góry stojący odwodem  
Ostatni hufiec pędzą w środek Litwy,  
Komtur ich wiedzie, sam uderza przodem,  
A zmordowanych długimi gonitwy,  
Gdy naparł świeżym i dzielnym narodem,  
Łamią się szyki. — Krzyżactwo zwycięża.  
Wtém z góry zagrzmiął straszliwy głos męża.

Ku niemu wszystkich podnoszą się oczy.  
Stoi na koniu; a jako rozwiodła  
Szeroko cienie sterczących warkoczy  
Na śnieżnej górze wybijała jodła,  
Tak go szeroki płaszczył dokoła mroczy;  
Czarny płaszczył, czarny koń i hełm i godła.

Trzykroć zawołał, zleciał nakształt gromu,  
Nie wiedzieć za kim albo przeciw komu

Dobiega Niemców, między tłumem tonie  
Bitwy nie ujrzysz; ale zgiełk i jęki  
Dają odgadnąć w jakiej walka stronie  
I jak straszliwy piorun jego ręki.  
Tam szyszak zniknie, owdzie sztandar padnie;  
Tłoczy się hufiec, miesza się bezładnie.

Jako leśnicy, gdy sosny lub dęby  
Sieką wzdłuż puszczy, słysząc łoskot w dali:  
Jęczą topory, chrobocą pił zęby;  
Kiedy niekiedy wierzchołek się zwali;  
Nakoniec, między wyciętymi zręby,  
Ujrzysz i mężów i błyskanie stali:  
Takie wysiekłszy środkiem Niemców łomy  
Dał się ku Litwie rycerz nieznajomy.

Śpieszaj, rycerzu, ożywić duch męzki,  
Krzepić słabnących śpieszaj, jeszcze pora!  
Litwini blizcy ostatecznej klęski;  
Dzid i puklerzów warowna zaporą  
Już rozłamana; sam komtur zwycięzki  
Po całym polu szuka Litawora;  
On się nie kryje: oba konie bodą,  
Wkrótce śmiertelny pojedynek zwiodą.

Litawor szablę wynosi do cięcia,  
Komtur dał ognia z piorunowej broni.  
Zadrzą Litwini, pojrzą na książęcia:  
Niestety, szabla wypadła mu z dłoni,

Cugle z słabego wyciekły ujęcia,  
Już pod szyszakiem nie dotrzyma skroni,  
Spływając z siodła, już się bokiem chyli,  
Kiedy mu swoi na pomoc skoczyli.

Jęknął mąż czarny; a jak czarna chmura  
Ryknawszy, błysnie piorunowym gradem,  
Z taką szybkością leci na komtura.  
Zaledwie pierwszym zwarli się napadem,  
Pojrzyć, aliści komtur już pod koniem,  
A rycerz bieży i trątuje po niem.

Gdzie obskoczyły książęcia dworzany,  
Przybiega, chwyta, rwie pancerza węzły,  
Ostrożnie zdziera blach zafarbowany,  
Wyśledza postrzał głęboko ugrzęzły.  
Wtém krew nanowo wytrysnęła z rany,  
Ból zemdlonego do zmysłów przywoła;  
Otwiera oczy, spoziera dokoła  
I znowu wciska na oczy przyłbicę;  
Z gniewem żołnierze i sługi odpycha,  
A Rymwidowi ściskając prawicę:  
„Już jest po wszystkiem, starcze, mówi zcicha,  
Precz mi od piersi, szanuj tajemnicę!  
Ratunek próżny, wkrótce umrzeć muszę,  
Wieźcie do zamku, tam wyzionę duszę.“

Rymwid szerokie oczy w nim utopił,  
Ledwie śmie wierzyć, od zmysłów odchodzi.  
Upuszcza rękę, którą łzami kropił,  
Dreszcz kości wstrząsa, pot mu czoło chłodzi,  
Teraz poznaje głos, nieznany wczora:  
Niestety, nie był to głos Litawora!

Tymczasem rycerz upuszczone wodze  
 Starcowi wręczył, sam do pana skoczył,  
 Rumaki każe nawrócić ku drodze,  
 Chwiejącego się ramieniem otoczył,  
 Składa na piersiach, krew dłonią zaciska;  
 Dał znak, samotrzeć pędzą z bojowiska.

I zbliżają się pod okopy grodu.  
 Zaszli im drogę ciekawi mieszkańce.  
 Ci, bodąc konie przez tłumy narodu,  
 W milczeniu śpieszą na zamkowe szańce,  
 A skoro wpadli, uchylono zwodu.  
 Rycerz strażnikom przykazuje srogo,  
 Ni tam, ni za się nie puszczać nikogo.

Wnet z resztą hufów ciągną bojownicy,  
 A choć wygrali tak przeważne pole,  
 Mała ztąd radość była po stolicy;  
 Ból serca ścisnął, żaloba na czole;  
 Każdy się pyta troskliwy o pana:  
 Gdzie jest? czy żyje? jak głęboka rana?

Nikt nie był w zamku, nikt o niczém nie wie;  
 Podjęto mosty i zamknięto zwory.  
 Tymczasem w fosę, między gęste krzewie,  
 Schodzą trabanci z piłami, z topory,  
 Sieką chróst, walą topole, modrzewie,  
 A ociosane pnie, gałęzie, wiory  
 Toczą na barkach i wozach do miasta:  
 Na taki widok żal i postrach wzrasta.

Kędy świątynię miał władca pioruna <sup>(26)</sup>  
 I bóg co wichrem niepokodnym świszczę,

Gdzie woły, konie, trzoda srebrnoruna,  
Codziennie krwawi poświęcone zgliszcze:  
Tam stos ogromny kładą pod obłoki,  
Dwudziestu sążni długi i szeroki.

W środku dąb sterczał; a pod dębem stoi  
Niemiecki braniec na dzielnym rumaku, <sup>(27)</sup>  
Z orężem, w hełmie i zupełnej zbroi,  
Trzykroć łańcuchem przykuty do haku:  
Wódz to krzyżacki, co był posłem wprzód,  
Zabójca księcia, Diterich z Kniprody.

Biegą mieszczanie, rycerze, kapłany;  
Czekają końca, zgadywać nie śmieją.  
Każdy zarówno w myślach kołysany  
Między bojaźnią, żalem i nadzieją,  
W zamek smutnemi poziera oczyma,  
A słuch na wieści wyprężony trzyma.

Przecież i trąba ozwała się z wieży,  
I most opada i wolnemi kroki  
Rusza się orszak w żałobnej odzieży,  
Niosąc na tarczach bohatera zwłoki:  
Przy nim łuk, włócznia, miecz i sajdak leży,  
Wkoło purpurą świeci płaszcz szeroki;  
Książęce stroje: lecz nie widać lica,  
Bo je spuszczone zawarła przyłbica.

To on, to książę! Wielkiego pan kraju,  
Mąż dużej ręki, któż mu rówien będzie  
Czy gromić Niemce i hordy Nogaju,  
Czy lud na słusznym rozsądzać urzędzie?

Panie nasz! za cóż dawnego zwyczaju  
Nie widać w twoim pogrzebnym obrzędzie?  
Nie tak albowiem starożytność święta  
Czciała twe przodki, litewskie książęta.

Za cóż do nieba nie idzie za tobą  
Twój giermek, każdej nieodstępny drogi,  
I z próżnem siodłem, okryty żałobą,  
Towarzysz pola, koń jelenio-nogi;  
I sokół i psy, co wiatr pyskiem sieką,  
I drugie z pyskiem wietrzącym daleko?

Szemrała gawiedź. Rycerze na stosie <sup>(28)</sup>  
Składają ciało, mleko i miód leją;  
Przy długiej trąby i fletni odgłosie,  
Śmiertelne pieśni wajdeloci pieją.  
Starszy pochodnię wziął i nóż ofiarny:  
Stójcie! — Stanęli. — Nadjechał mąż czarny.

Któż on? pytają wszyscy, któż on taki?  
Poznało wojsko: on na polu wczora,  
Kiedy litewskie złamano orszaki  
I obstępiono zewsząd Litawora,  
Przypadł: odwagę stygnącą zapalił,  
Niemców wysiekał, komtura obalił.

Tyle o czarnym rycerzu wiadano.  
Dziś w tymże płaszczu, na tymże rumaku.  
Lecz po co przybył? zkąd ród? jakie miano?  
Stójcie i patrzcie! Uchyła szyszaku,  
Uchyła twarzy: on! Litawor! książę!...  
Dziw nagły zmysły i mowę zabiera:

Nakoniec radość skrzepły głos rozwiąże.  
Opłakanego widząc bohatera,  
Wrzasną i klasną, wrzask o gwiazdy bije:  
Litawor żyje! książę, pan nasz żyje!

Stał i ku ziemi dzierżał lice blade.  
Hałas grzmi jeszcze, powtarzany echem;  
Zwolna wzniosł czoło, obejrzał gromadę,  
Za okrzyk lekkim dziękując uśmiechem.  
Nie był to uśmiech, co z serca poczęty,  
Rozjaśni lica i w oczach zaświeci;  
Ale jakoby gwałtem przyciągnięty  
Usiadł na ustach i wkrótce uleci:  
Tyle dodaje smutnej twarzy wdzięku,  
Ile kwiat w bladym nieboszczyka ręku.

„Zapalcie zgliszczel“ — Palą, ogień bucha,  
A książę dalej: „Wiecie-li wy, czyje  
Zwłoki na stosie giną?... Cichość głucha.  
„Niewiasta! choć ją męzka zbroja kryje!  
Niewiasta z wdzięków, a bohater z ducha. (29)  
Ja się zemściłem, lecz ona nie żyje!“  
Rzekł, bieży na stos, upada na zwłokach,  
Ginie w płomieniach i dymu obłokach. (30)

---



## EPILOG WYDAWCY.

---

Czytelniku, jeżeliś przepatrzył cierpliwie  
I nierad snać do końca—czemu się nie dziwię,  
Bo w żmudném zaplątaniu, gdy wątku nie schwytam  
Podrażniona ciekawość, gniewa się niesyta:  
Za co książkę sam został, a wyprawił żonę?  
Za co śród boju przyniósł niewczesną obronę?  
Czy księżna własną wolą zastąpiła męża?  
Przecz Litawor na Niemce jął się do oręża?...  
Dostatnich odpowiedzi napróżnobyś badał;  
Wiedz-że, iż autor, co te historye składał,  
Ile widział lub słyszał—był naonczas w mieście —  
To pokrótce spisawszy, zamilczał o reszcie,  
Nie mogąc prawdy zmacać i na jaw wysadzić,  
A nie chcąc fałszywemi domysłami zdradzić.  
Gdy umarł—jam rękopis wziął po nieboszczyku.  
A sądząc, iż rad będziesz, miły czytelniku,  
Kiedy z ukrycia wyjdzie na publiczne oczy  
I koniec się jakkolwiek przycięty dotoczy,  
Pytałem Nowogrodzian, ludzi godnych wiary,  
Ale żaden nie wiedział, jeno Rymwid stary;  
I ten, jak stary, prędko rozstał się z żywotem,  
A póki żył, nikomu nie powiadał o tem,

Snać w przysiedze uwiązany, albo w obietnicy.  
Szczęściem był drugi człowiek, świadom tajemnicy:  
Giermek księżny, podonczas we dworcu przytomny.  
Ten, jako człowiek prostak, mniej w języku skromny,  
Gadał, a jam spisywał, widząc że powieści  
Wiążą się do podanej od autora treści.  
Czyli całkiem prawdziwe, trudno dać porękę,  
A kto o fałsz pomówi, nie wyzwę na rękę;  
Bo tu nic zgoła własną nie nadstarczam głową,  
A com z giermka usłyszał, oddam słowo w słowo.  
Giermek zaś tak powiadał:

„Księżna sfrasowana,

Długo błagała męża, padłszy na kolana,  
A żeby na kark Litwie nie zwał nieprzyjaciół;  
Ale on tak się w gniewie uporczywy zaciął,  
Iż jej prośby z szyderczym słuchając obliczem,  
„Nie i nie“ odpowiadał i odprawił z niczem.  
Sądziła go przekonać łacniej w innym czasie;  
Rozkazała posłańców zatrzymać w tarasie,  
Lub za mury wyprawić. Wyprawiłem cicho;  
Zbłądziliśmy oboje, a ztąd całe лихо.  
Bokomtur, odpowiedzią twardą zagniewany,  
Miasto posiłków, niesie ogień i tarany.  
Kiedym o téj nowinie uwiadomił panią,  
Biegła znowu do męża, ja zdaleka za nią.  
Weszliśmy; ciemno było w komnacie i głucho,  
Książę strudzony zasnął na oboje ucho.  
Stanęła podle łoża, lecz nie śmiała budzić,  
Czy nie chcąc darmo prosić, czy sennego trudzić;  
Ale wrychle na obrót rzuciła się nowy:  
Bierze szablę, książęciu leżącą u głowy,  
Pancerz kładzie, mężowski płaszcz napiersiach zwiesza

I lekko drzwi przymknąwszy, na ganek pośpiesza.  
Mnie srogo zakazuje o niczem nie gadać.  
Koń już był osiodłany. Kiedy miała wsiadać,  
Szabli nie obaczyłem przy jej lewym boku,  
Zapomniała przypasać, lub zgubiła w mroku.  
Biegnę, szukam, powracam: aż zamknięto wrota;  
Patrzę oknem; niestety! już za bramą rota.  
Strach mię ścisnął, jakobym obrzucon zarzewiem,  
Myślę, pocę się, kręcę, co mam począć nie wiem.  
Widać blask i grzmot działa rozlega się w dali:  
Zrozumiałem, że Niemcy bitwę zagajali.  
Wkrótce Litawor, czyli dosyć mając spania,  
Czy zbudzony łoskotem, zerwał się z posłania.  
Woła, klaszcze i woła — ja, drżący ze strachu,  
Wsunąłem się na klęczkach w ciemny zakąt gmachu,  
Widziałem, jako szukał oręża i zbroje,  
Kołatał we drzwi, skoczył na księżny pokoje,  
Wrócił, wyłamał rygle, wyleciał na ganek.  
Ja do okna, a już się zbierało na ranek.  
Księżę spoziera wkoło i nastawia uszy  
I krzyczy, ale w zamku niema żywej duszy.  
Potem nadół, jakoby nieprzytomny sobie,  
Skoczył, gdzie stały jego rumaki przy żłobie;  
Wyjechał ku okopom, wstrzymał się u wałów,  
Słuchał z kąd zgiełk uderza, z kąd ogień postrzałów,  
A wypuściwszy wodze, lotem błyskawicy  
Przez dziedziniec, most, bramę pędzi ku stolicy.  
Ja w oknie patrzę, czekam niecierpliwie końca:  
Wszystko ucichło, zgasło. Koło wschodu słońca  
Wraca Litawor, Rymwid — i Grażynę z łęku  
Wysadziwszy omdlałą, dźwigali na rękę.

Strach wspomnieć! Kędy stąpią, krwawy strumień pry-  
W pierś ciężko zaraniona i skonania blizka, [ska,  
Padła niema, to nogi ściskając księżęce,  
To załamane k'niemu wyciągając ręce:  
„Przebac, mężu mój! pierwsza i ostatnia zdrada!“  
Księżę płacze, podnosi—zemdlona upada,  
Skonała.—Wstał i odszedł i rękami oczy  
Zakrył i stał.—Ja wszystko widziałem z uboczy,  
A gdy z Rymwidem jęli kłaść na łożo ciało,  
Umknąłem.—Wiecie wszyscy, co się dalej stało.“

Tyle on giermek gadał, pod sekretem zrazu,  
Lecz ze śmiercią Rymwida minął strach zakazu.  
Bo Rymwid wzbronił o tęp przed ludem rozplatać.  
Wieść tłumiona poczęła coraz szerzej latać.  
Dziś żadnego nie znajdziesz w nowogródzkiej gminie,  
Coby ci nie zanucił piosnki o Grażynie:  
Dudarze ją śpiewają, powtarzają dziewczki,  
I dotąd pole bitwy zwą polem Litewki.

---

## OBJAŚNIENIA.

---

### GRAŻYNA.

#### 1. Zamek na barkach nowogródzkiej góry.

Nowogródek, starożytne miasto w Litwie, niegdyś Jadźwingów, potem Rusinów posiadłość, zburzone przez Tatarów w czasie zagonu, a odbudowane przez Erdziwiłła Montwiłowicza, księcia litewskiego. O tem zajęciu pisze Strykowski: „a gdy się przeprawili Litwini przez Niemen, znaleźli we czterech milach górę kraśną i wyniosłą, na której był pierwiej zamek stołeczny Nowogródek księcia ruskiego, przez Bateja cara zburzony. Tam zaraz Erdziwiłł założył sobie stolicę i zamek znowu zbudował, a osiadłszy i opanowawszy bez rozlania krwi, gdy nie było komu bronić wielką część ruskiej ziemi, począł się pisać wielkim księciem nowogródzkim.“ Kronika Stryjk. karta 266, wyd. królewieckie. Ruiny zamku dotąd widzieć się dają.

#### 2. To jakiś urwisz od psiarni Krzyżaków.

Zakon krzyżacki, zwany Zakonem kawalerów szpitalnych, maryanitów, teutonów, fundowany w Palestynie roku 1190, wezwany potem około roku 1230 od księcia mazowieckiego Konrada na obronę

Mazowska od Prusaków i Litwy, stał się najstraszniejszym nie tylko pogan, ale i okolicznych krajów chrześcijańskich nieprzyjacielem. Powszechny odgłos ówczesnych dziejopisów wyrzuca Zakonowi łakomstwo, okrucieństwo, dumę i małą gorliwość o wiarę chrześcijańską. Biskupi skarżyli się przed papieżem, że im Krzyżacy przeszkadzają w nawracaniu pogan, wydzierają własności kościelne, uciskają duchowieństwo. Moglibyśmy tu przytoczyć mnogie dowody takiego postępowania, w sprawach tylekroć przed papieżem i cesarzem wytaczanych; ale jeśli skargom strony przeciwniej ktoś wierzyć nie zechce, umieszczamy słowa bezstronnego kronikarza, Jana z Winterthur—Joannes Witoduranus.—Ten dziejopis, sławiony z rzetelności, niemający żadnej do Krzyżaków urazy, a jako Niemiec i duchowny, bynajmniej na stronę pogan nieuprzedzony, wprostocie ducha barbarzyńską łaciną pisze o Krzyżakach: „His temporibus (a. 1343) Crucigeri dominantes longe lateque in provincia prusena, regni regis Litaoniae magnam partem per bellum quod sibi—regi—intulerunt auferentes in provinciam redegerunt; quam ut rehaberet—rex—ipsis fidem catholicam recipere firmiter pollicebat (sic), quod cum facere recusarent, rex litaonice agebat: „In hoc luculenter comprehendo, quod non meam fidem, sed pecuniam appetunt, et ideo in paganismo perseverabo.“ De his Crucigeris verbum lamentabile et fidei orthodoxae penitus inimicum, quod absit, enarratur: quod omnes paganos, quos per bella sibi tributarios efficiunt, malunt in suo paganismo remanere, sub eorum tributo, quam a tributo exemptos, ut devote flagitabant vel adhuc hodierna die flagitant, fieri fi-

dei catholicae professores. Famatur etiam ipsos—  
 Graigeros — non solum terras principum infidelium,  
 sed etiam fidelium invadere.“ Corpus Histori-  
 corum medii aevi, editio Jo. Georg. Eccard. Lipsiae, p. 1723. Toż po polsku:  
 „Okolo tych czasów (r. 1343) Krzyżacy szeroko  
 panujący w Prusach, wypowiedziawszy wojnę  
 królowi litewskiemu, gwałtownie wydarli mu  
 część kraju. Ażeby swoje odzyskać, król przy-  
 rzekł im wiarę katolicką przyjąć; gdy zaś Krzy-  
 żacy obietnicy słuchać nie chcieli, rzekł król po  
 litewsku: „Widzę, iż wam nie o wiarę, ale o pie-  
 niądze idzie, i dlatego w pogaństwie trwać będę.“  
 O tych Krzyżakach twierdzą — rzecz bolesna i wie-  
 rze katolickiej — bodaj się nie sprawdziło! — wielce szko-  
 dliwa — iż wolą, aby podbici poganie zostali w bał-  
 wochwalstwie i haracz płacili, aniżeli uwolnieni od  
 haraczu chrzest przyjęli, o co pobożni nalegali i na-  
 legają. Jest także wieść, iż oni — Krzyżacy — nietyl-  
 ko ziemie książąt pogańskich, ale i chrześcijańskich  
 najeżdżają.“ Toż samo o Krzyżakach powiada  
 i w szczegółach opisuje ich okrutne i nieprawe po-  
 stępowanie z Prusakami i Litwą pisarz niemiecki  
 August Kotzebue, jakkolwiek sam nieprzyjazny Li-  
 twinom i Polakom, w dziele dla historyi litewskiej  
 bardzo ważnem: Preussens altere Geschich-  
 te, von August von Kotzebue, 1808. Riga, 4  
 Bde. Ob. tom drugi, kart. 115. Schilderung der  
 Ordensbrüder in diesem Zeitraum (roku  
 1312) — karta 108; tom drugi k. 60. Schilderung  
 der Preussen nach beendigtem Kriege  
 (roku 1240). Tom III kart. 275. Schilderung der  
 Poezve Mickiewicza T. II.

der Grauel im Orden während dieses letzten Zeitraums (roku 1436). Nie można bez wzdrygnięcia czytać okrucieństw, jakich się Krzyżacy dopuszczali nad nieszczęśliwym narodem: przytoczymy jeden tylko szczegół. Na końcu jeszcze czternastego wieku, kiedy Prusy całkiem podbite i uspokojone były, mistrz krzyżacki Konrad von Walenrod, zagniewany na biskupa kumerlandskiego, kazał wszystkim chłopom z jego dyecyzji prawe ręce poucinać, o czém świadczą Leo, Treter i Łukasz Dawid. Takimi byli Krzyżacy, zakon z samych Niemców złożony, co nowy powód do zelżywego ich traktowania Słowianom i Litwie dawało. Zdawna psami Niemców przez wzgardę nazywano; i Bandtkie mniemał, że Psie pole, Bolesława III tryumfem pamiętne, dlatego tak nazwane, iż tam wiele Niemców (psów) wymarło.

3. Zarazby w bagnie skąpał się ten plucha.

Niedziw więc, że Prusacy i pobratymcy ich Litwini czuli wieczną ku Niemcom nienawiść, która stała się wrodzoną prawie ich charakterowi. Za czasów pogańskich, a nawet po przyjęciu chrześcijaństwa, kiedy grzebano Litwina albo Prusaka, płaczkowo śpiewali nad nim: Idź nieboże z nędzy tego świata na lepszy, gdzie drapieżni Niemcy tobie panować nie będą, ale ty im — o czém świadczą Bielski i Strykowski. Dotąd w głębokiej Litwie, pod panowaniem pruskiem, nazwać wieśniaka Niemcem, jest to zelżyć go najsromotniej.

4. A chociaż Niemiec, głos ludzki rozumiał.

Nietylko o charakterze, ale i o rozumie Niemców złe mają wyobrażenie Prusacy i Litwini; przy-



słowiem jest u nich: głupi jak Niemiec. Obacz Kotzebue, tom I. k. 72: „Und weil die Deutschen selten der fremden Sprachen Feinheiten tüchtig wurden, so sagten die Preussen auch wohl von einem einfältigen Menschen: er ist so dumm wie ein Deutscher.“ Ob. też Linde, pod wyrazem: Niemiec — i Rhesa: das Jahr in vier Gesängen, aus dem Lithauischen des Christian Donaleitis ins Deutsche übertragen. \*)

5. Że Witold, pan nasz możny i łaskawy.

Witold, syn Kiejstuta, jeden z największych mężów, których wydała Litwa. O jego dziełach wojennych i polityce, oprócz narodowych dziejopisów, czytać w Kotzebuego historyi, wyżej przytoczonej, szczególnie tom 3, karta 232, tudzież w życiu Świdrygajła: Świtrigail, ein Beitrag zu den Geschichten von Lithauen, Russland, Polen und Preussen, von August von Kotzebue. Leipzig 1820.

6. A skoro słońce z szczorsowskięj granicy

Pierwszym promykiem grób Mendoga draśnie.

Szczorse, dziedzictwo Chreptowiczów, starożytnęj familii litewskiej, na wschód Nowogródka położo-

\*) Rhesa, podobno teraz professor w Królewcu, miłośnik starożytności litewskich, ogłasza zabytki ich literatury. Przed kilku laty wydał poemat Litwina Donalejtysa o czterech porach roku, hegzametrem napisane, z przydaniem tłumaczenia niemieckiego i uczonych objaśnień. Wspomniane poemat, co do rzeczy i pięknego wystąpienia godne pochwały, i ztąd jeszcze mieć powinno dla nas szczególny interes, iż jest wiernym obrazem obyczajów ludu litewskiego. Dzięki szanownemu mężowi, który, lubo cudzoziemiec, zawstydzia rodaków, mało dbałych o historią swojąj ojczyzny. (Ed. 1822, Wilno).

ne. Mendog, Mindagos, albo Mindowe, Mindak, Mendult Ryngoltowicz, wielki książę litewski, pierwszy, który Litwę z pod obcego wpływu uwolnioną, do znacznej potęgi wyniósł i stał się strasznym sąsiadom, przyjął był religią chrześcijańską i za pozwoleniem papieża koronował się królem litewskim w Nowogródku roku 1252. Pod Nowogródkiem jest góra, którą zowią Mendogową i która ma być grobem tego bohatera.

7. A na zwierzyńie nie brakło i miodzie.

Dwa główne artykuły uczty u Litwinów dawnych.

8. Ale ja z mistizem pruskiego zakonu.

Na czele zakonu niemieckiego czyli Krzyżaków był wielki mistrz, obierany od kapituły; po nim wielki komtur, trettler czyli podskarbi zakonu, marszałek czyli hetman i komturowie czyli komandorowie szczególnych konwentów po miastach i zamkach.

9. Wprzód więc nim zajdą siedmiorakie gwiazdy.

Litwini mieli właściwy sobie sposób oznaczania pór roku, miesięcy i godzin. Ob. K o t z e b u e t. I. k. 25 do 68 (*Schilderung des alten Preussens*). Konstelacya tu wspomniana w ich języku nazywa się R e t i s.

10. Niemców pancernéj trzy tysiące jazdy

I pieszych knechtów we dwójnasób tyle.

Wojsko krzyżackie składało się naprzód z samych bratów czyli braci Zakonu, giermków i laików, należących do Zakonu, rajtarów czyli jazdy, ochotników lub zaciężnych, tudzież piechoty na żołdzie Zakonu, zwanéj Landsknechty, Fussknechty lub Knechty.

11. Od wszystkich naszych ogromniejsze ciałem.

W każdym prawie opisanu bitwy dodają kronikarze, iż Niemcy przewyższali Litwę wzrostem i siłą; uderzenia ich kopij trudno było wytrzymać. Kiejstut, Narymund, lubo dzielni rycerze, w takich pojedynkach z siodła wysadzeni byli.

12. Wczoraj wyszezerbił na Niemcach topory.

Topory i maczugi, najstraszniejsza broń Litwinów.

13. A przecież, jeśli do domowych progów  
Waż zaproszony gościem od człowieka.

Litwini czcili węże, które po domach oswajali i karmili; najdokładniej o tem: Joannes Lasicius Polonus de diis Samogittarum: „Nutriunt etiam quasi deos penates, nigri coloris obesos et quadrupedes serpentes quosdam, givo ito s vocatos.“ Resp Polon. ed: Elzeviriorum, p. 309. Strykowski jeszcze widział za czasów swoich zabytki tej czci starożytniej u Łotyszów, a Gwagnin we wsi Ławaryszkach—Labariski—o cztery mile od Wilna.

14. Znane mi dobrze Witołda umowy.

Cała mowa Litawora jest wiernym obrazem tego, co podówczas w Litwie udzielni książęta o Witołdzie myśleli.

15. Bagna Warega.

Okolice przyległe morzu Warjagskiemu czyli Normandskiemu, dzisiejszemu Bałtykowi. Polityką było zdawna wielkich książąt litewskich, rozsadać swoich krewnych prawem lennem w ziemiach, na nie-

przyjacielu zdobytych. Montwiłł, Mendog, Giedymin dali tego przykład.

16. Od Fińskich zatok po Chazarów morze.

Fińskie zatoki, побережа Finlandyi. Morze Chazarzkie, dzisiaj Czarne.

17. Co jest na Wilnie lub Trockiém jeziorze.

Troki, z dwoma zamkami, z których jeden pośród jeziora na wyspie zbudowany, były stolicą Kiejstuta, a potem dziedzictwem Witolda.

18. Widziałem piękną dolinę przy Kownie.

O kika wiorst od Kowna, wśród gór, ciągnie się dolina, ubarwiona kwieciami i przerznięta strumieniem. Jedno z najpiękniejszych miejsc w Litwie.

19. Jego, jakoby drugiego Mindowę,  
Na ucztach wielbią wajdeloci nasi.

O Mindowie obacz przypisek na str. 52 not. 6. Wajdeloci, sygonoci, lingostoni, zwali się kapłani, których obowiązkiem było dzieła przodków na obrzędach wszelkich, a szczególnie w czasie jesiennych świąt kozła, opowiadać lub opiewać ludowi. Że starzy Litwini i Prusacy lubili i uprawiali poezję, przekonują o tem pieśni dawne, w niezmierniej liczbie dotąd między gminem pozostałe i świadectwa dziejopisów. Czytamy w Strykowski, iż na pogrzebie książąt, kapłan opiewał ich czyny; iż za czasów Miechowity powtarzano piosnkę o książęciu Zygmuncie, zabitym od kniaziów ruskich. Ale najciekawszy i najważniejszy w tym względzie szczegół znajduje się w dziele niemieckim: „Versuch einer Geschichte der Hochmeister, Berlin 1798. Autor tej

szacownej książki, Becker, cytuje starożytną kronikę Wincentego Moguntczyka, który był nadwornym kapelanem wielkiego mistrza Dusenera von Arfberg, i pisał dzieje swoich czasów (od roku 1346). Między innemi czytamy, iż podczas wielkiej uczty z okoliczności obioru wielkiego mistrza Winrycha von Kniprode, minesinger niemiecki śpiewał, uczczony oklaskami i złotym puhaem; tak dobre przyjęcie poety zachęciło przytomnego Prusaka, nazwiskiem Rizelus: prósł więc o pozwolenie śpiewania w ojczystym języku litewskim i sławił dzieła pierwszego króla Litwinów, Wajdewuta. Wielki mistrz i Krzyżacy, nie rozumiejąc i nie lubiąc mowy litewskiej, wyśmiali poetę i dali mu w podarunku talerz pustych orzechów. \*) Nie powinny więc zdawać się śmiesznemi twierdzenia Kotzebuego i Bohusza, iż literatura litewska bogatą być musiała w poezye bohaterskie i historyczne, chociaż do naszych czasów mało co doszło w tym rodzaju. W Prusach albowiem Krzyżacy pod karą śmierci zakazali urzędnikom i wszystkim zbliżającym się do dworu używać języka litewskiego; wywołali z kraju, razem z Cyganami i Żydami, wajdelotów, litewskich bardów, którzy sami dzieje narodowe znać i opiewać mogli. W Litwie znowu, z wprowadzeniem wiary chrześcijańskiej i języka polskiego, dawni kapłani i mo-

\*) Kotzebue, lubo przytacza tę powieść, zdaje się jednak wątpić o bytności rękopisu kroniki Wincentego. Wszakże w bibliotece szczorsowskiej, w zbiorze rozpraw studentów gdańskich, jest pisemko niejakiego Taschke pod rokiem 1735, gdzie autor cytuje kronikę Wincentego, jakoby drukowaną w Frankfurcie, i dowodzi, że wspomniany Wincenty nie był Moguntczykiem, ale Gdańszczaninem.

wa ojczysta poszła w pogardę i zapomnienie. Odtąd lud prosty, zamieniony w niewolników i obrócony do roli, zarzuciwszy oręż, zapomniał też i o pieśniach rycerskich, powtarzając stosowniejsze do teraźniejszego położenia swojego treny i sielanki. Jeżeli zostawało coś z dawnych ich dziejów i poezji bohaterskiej, to w domowych tylko zagrodach albo w czasie obrzędów, zdawna z zabobonnością połączonych, w tajemnicy gminowi udzielano. Symon Grunau w XVI wieku trafił przypadkiem w Prusach na ucztę kozła i ledwo uprosił życie, przysięgłszy wieśniakom, iż nikomu nie wyda tego, co ujrzy lub usłyszy; wtenczas po spełnionej ofierze stary wajdelota zaczął śpiewać dzieje dawnych bohaterów Litwy, mieszając nauki moralne i modły. Grunau, który dobrze po litewsku rozumiał, wyznaje, iż nic podobnego nie spodziewał się usłyszeć z ust Litwina, taka była piękność rzeczy i wysławienia.

20. Naszedł i z tronu zmiotł Olgierdowica.

Witołd wypędził z Wilna Skirgajłę i sam wielkie księstwo objął.

21. By jego poseł, jak Krywejty goniec.

U starożytnych Litwinów był rząd po części teokratyczny. Kapłani wielki wpływ mieli. Najstarszy z nich zwał się K r i w e - K r i w e j t o lub K i r w e j t o. Kronikarze, którzy Litwę od Rzymian lub Greków wyprowadzić chcieli, upatrywali w tytule kapłana wyraz grecki *Κοπίος*, *Κοπίστατος*. Mieszkanie tego naczelnika religijnego było niedaleko miasta Romowe w Prusach, gdzie potem wieś Heiligenbeil. Tam pod świętym dębem odbierał ofiary i ztamtąd ogłaszał

swoję wolę, rozsyłając po kraju wajdelotów i sygonotów, uzbrojonych laską, na znak pełnomocnictwa wielkiego kapłana. Ob. Guagnini Alexandri Rerum polonicarum tomi III. Francoforti 1584, v. II, p. 167; i w zbiorze Elzewirów p. 321. Kotzebue t. I. p. 81. Cromeri Martini Polonia sive de originibus et rebus gestis Polonorum, libri XXX. Coloniae Agripinae a. MDLXXXIV (libro III, p. 42).

22. Często myśliwa na żmudzkim rumaku.

Konie żmudzkie, na których jazda litewska tyle dokazywała, nie musiały być tak słabe, jakimi je dziś widzimy. Godna wspomnienia z tej okoliczności dawna piosenka litewska o koniu Kiejstuta. Tłumaczenie:

Wszak nad tatarskie niema w świecie koni,  
 Nad niemiecką niema broni;  
 A z Litwy rodem jest konik Kiejstuta,  
 Szabla jego w Litwie kuta.  
 Konik cisawy, niewielkiego wzrostu,  
 Szabla okuta poprostu.  
 Za cóż, na widok Kiejstutowej burki,  
 Drżą Niemce i bledną Turki?  
 Niemiec z Kiejstutem gdy w szable zadzwoni,  
 Złamię bułat na żelezie,  
 Han, krymskim koniem od żmudzkiej pogoni  
 Głowy w hordę nie uwiezie.  
 Bo gwałt, co ramię na cięcie wyteża,  
 Przechodzi i do oreża;  
 Bo serce jeźdźca na wojenném błoniu  
 Po połowie bije w koniu.

23. Osiodłać hestera.

Szczególny rodzaj koni żmudzkich: obacz Czackiego o litewskich i polskich prawach, t. I, p. 214.

24. Naprzód, hop, hop, ura!

Hop, Hop, da stich und stoss! wołali Niemcy na nieprzyjaciół.

25. Tak ojciec Niemen, mnogich piastun łodzi,  
Gdy rumszyskiego napotka olbrzyma.

Niedaleko miasteczka Rumszyszek jest największa rapa w Niemnie, żegludze niebezpieczna, zwana olbrzym.

26. Kędy świątynię miał władzca pioruna  
I Bóg co wichrem niepogodnym świszcze.

Perkunas, bóg piorunu, czczony w Litwie i Pochwist, bóg niepogody, na Rusi. Dotąd pokazują w Nowogródku miejsce, gdzie miały stać tych bóstw świątynie, a gdzie teraz kościół księży bazylianów.

27. Niemiecki braniec na dzielnym rumaku.

Brańców wojennych, szczególnie Niemców, Litwini palili na ofiarę bogom. Przeznaczano do tego obrzędu wodza, lub znaczniejszego z rodu i męztwa rycerza; jeśli kilku dostało się w niewolę, natenczas losem wyciągano nieszczęśliwą ofiarę. Po zwycięztwie na przykład Litwy roku 1315 nad Krzyżakami, Strykowski powiada: „A Litwa i Żmudź za to zwycięztwo i za hojne łupy z nieprzyjaciół pogromionych i pobitych złupione, gdy bogom swoim ofiary i zwykłe modły czynili, jednego zacnego Krzyżaka imieniem Gerarda Rudę, wójta albo starostę ziemi sambijskiej, z więźniów przedniejszego, z koniem, na którym wojował, i ze zbroją, w której był ubrany i z bronią, żywego na wyniosłym stosie drzew spalili i z dymem duszę do nieba, a ciało z perzynami na powietrze posłali.“ Strykow. Kron. k. 391, wyd. królewieckie. Przy końcu tegoż wieku Prusacy, już ochrzczeni,



zbuntowawszy się i zbiwszy 4,000 Niemców, komtura memelskiego pojмали i spalili. Ob. Lucas Dawid k. 2156.

28. . . . Rycerze na stosie  
Składają ciało, mleko i miód leją.

Zwyczaj palenia ciał, wspólny wielu narodom starożytnym, był też w Litwie zachowywany aż do przyjęcia chrześcijaństwa. Kronikarze i w tém znajdowali dowód pochodzenia Litwy od Greków lub Rzymian. Obrzędy pogrzebowe nieraz szeroko opisuje Strykowski, szczególnie po zgonie sławnego Kiejstuta. „Ciało jego—Kiejstuta—Skirgajło, brat Jagiełłów, do Wilna uczciwie obyczajem księżęcym przyprowadził, a uczyniwszy wielki stos z drzew suchych na zgliskach wileńskich, według zwyczaju ojczystego pogańskiego, zgotowali wszystkie potrzeby do palenia ciała. Tamże ubrawszy go w zbroję i w szaty księżęce, z szablą, z włócznią i z sajdakiem włożyli go na stos drzew, a przy nim sługę wiernego żywego, konia najlepszego żywotnego, ubranego, parę chartów, sokółów i wyźłów, paznogie rysie i niedźwiedzie i trąbę myśliwską. Potem uczyniwszy bogom modlitwy i ofiary i wyśpiewawszy dzielność jego, co za żywota czynił, zapalili on stos drzew smolny i tak wszystko ciało zgorzało; popiół potem i kostki wypalone zebrawszy, w trumnie pochowali. A to było dokonanie i pogrzeb sławnego księcia Kiejstuta.“ (Kar. 467).

29. Niewiasta z wdzięków, a bohater z ducha.

Charakter i działanie Grażyny mogą się zdawać zbyt romansowe i z obyczajami ówczesnemi niezgodne. Dziejopisowie albowiem niepochlebnemi kolorami malują stan niewiast w Litwie starożytniej: te nieszczę-

śliwe ofiary przemocy i ucisku żyły w pogardzie, skazane na służbę prawie niewolniczą. Ale z drugiej strony u tychże dziejopisów znajdujemy całę przeciwna badania. I tak na chorągwiach pruskich i na monetach starożytnych widziano, jak świadczy Schütz (Kotzebue, Belege und Erläuterungen, t. I, p. 129) niewiastę w koronie, z kądby wnosić można, iż kiedyś niewiasta panowała w tym kraju. Pewniejsze daleko, bo aż do późnych czasów, dochodzą powieści o sławnych ubóstwianych kapłankach; o Gezanie i Kadynie, których szaty i relikwie długo jeszcze w kościołach chrześcijańskich zachowywane były. Słyszałem od świadomego dziejów narodowych p. Onacewicza, iż w rękopisie kronikarza wołyńskiego jest wzmianka o sławnym czynie niewiast jakiegoś miasta litewskiego, które po wyjściu mężów na wojnę, same murów broniły, a nie mogąc oprzeć się nieprzyjaciołom, przeniosły dobrowolną śmierć nad niewolę. Coś podobnego wspomina Kromer (Polonia sive, etc. p. 206) o zamku Pullen. Sprzeczności te pogodzić się dadzą, jeśli zważymy, iż ród litewski składał się z dwóch oddawna razem zamieszkałych, ale zawsze nieco różniących się pokoleń, to jest: z krajowców-autochtonów i przychodniów, jak się zdaje Normandów. Ci ostatni zachowali zapewne wrodzone ku płci pięknej uczucia szacunku i przywiązania. Jakoż, podług dawnych praw czyli zwyczajów litewskich, żony z tego obcego pokolenia zaszczytane były szczególnemi od mężów względami. Nadto pogarda ku niewiastom i ich upodlenie zdaje się, iż tylko w czasach najdawniejszych i zupełnie barbarzyńskich miały miejsce. Następnie zaś, a mianowicie w wieku, w którym przypuszczamy akcją tej

powieści, duch rycerski i prawie romansowy przebija się coraz bardziej. Wiadomo, jak dzielny i surowy wojownik Kiejstut czule kochał swoją Birutę, którą bogom poświęconą, narażając się na niebezpieczeństwo, porwał i z prostego stanu księżną uczynił; jak małżonka Witolda zręcznie i śmiało męża z więzienia i od blizkiej śmierci uwolniła.

30. Ginie w płomieniach i dymu obłokach.

Litwini w ciężkiej chorobie lub w wielkiem nieszczęściu, zwykli byli żywcem palić się w domach. Najpierwszy ich król i arcykapłan Wajdewutas i jego następcy, na stosach dobrowolną śmiercią pospolicie żywot kończyli. Takowe samobójstwo w mniemaniu ich bardzo zaszczytnem było.

---



# D Z I A D Y.

## CZĘŚĆ I.

### FRAGMENTA. \*)

\*) Ogłoszono je dopiero po śmierci poety. Pisane były prawdopodobnie około r. 1821.

Nie zmieniając w tych „Fragmentach“ porządku, jaki im naznaczyli pierwotni wydawcy. J. Kłaczkowski i E. Januszkiewicz w wydaniu z r. 1860, uwzględniono w nich jednak niektóre poprawki p. J. Kallenbacha (Rewizya tekstu pierwszej części „Dziadów“ A. Mickiewicza, podług autografu. Kraków, 1887), o ile one niewątpliwie znajdowały się w rękopisie Mickiewicza.



Po prawej stronie teatru Dziewczyna w samotnym pokoju.  
Książki, fortepiano. Okno z lewej strony w pole; na prawej wiel-  
kie zwierciadło. Świeca gorejąca na stole i książka rozłożona:  
Walerya, romans pani Krüdener.

DZIEWCZYNA, wstaje od stołu.

Świeco niedobra, właśnie pora była zgasnąć!  
I nie mogłam doczytać. — Czyż podobna zasnąć?  
Waleryo! Gustawie! anielski Gustawie!  
Ach, tak mi często o was śniło się na jawie,  
A przez sen — będę z wami Pan Bóg wie dopóki.  
Smutne dzieje, jak smutnej są źródłem nauki!

(Po pauzie, z niesmakiem).

Poco czytam? Już koniec przezieram zdaleka.  
Takich kochanków tutaj cóż innego czeka?  
Waleryo! tyś przecie z pomiędzy ziemianek  
Zazdrości godna! Ciebie ubóstwiał kochanek,  
O którym inna próżno całe życie marzy,  
Którego rysów szuka w każdej nowej twarzy  
I w każdym nowym głosie nadaremnie bada  
Tonu, który jej duszy brzmieniem odpowiada.

Ale twarze tchną głazem, jak Meduzy głowa!  
Nad słotny deszcz jesienny zimniejsze ich słowa!

Codzień z pamiątką nudnych postaci i zdarzeń  
Wracam do samotności, od książek i marzeń,  
Jak podróżny, wśród dzikiej wyspy porzucony,  
Co rana wzrok i stopę niesie w różne strony,  
Ażali gdzie istoty bliżniej nie zobaczy,  
I co noc w swą jaskinię powraca w rozpacz.  
Szalony! niech ukocha swe samotne ściany  
I nie targa łańcucha, by nie drażnić rany!

Witajże, ma jaskinio! Na wieki zamknęci,  
Nauczmy się więźniami stać się z własnej chęci.  
Czyż nie znajdziem zatrudnień? — Mędrce dawnych  
Zamykali się szukać skarbów albo leków [wieków  
I trucizn—my, niewinni, młodzi czarodzieje,  
Szukajmy ich, by otruć własne swe nadzieje;  
A jeżeli do grobu wstęp dla nas zawarty,  
Pochowajmy swą duszę za życia w te karty!  
Można pięknie zmartwychwstać i po takim zgonie,  
I przez ten grób jest droga na Elizjum błonie;  
Zamieszkałym wśród cieniów zmyślonego świata,  
Nudnej rzeczywistości nagrodzi się strata.

Cieniów?—Nigdyż nie było między ziemską bracią  
Takich cieniów, śmiertelną więzionych postacią?  
Dusze ich wzięłyż bytność z poetów wyroku?  
Kształty odlaneż tylko z pięknych słów obłoku?...  
Nie mogę przyrodzenia tą myślą obrażać,  
Nie mogę bluźnić Twórcy—i siebie znieważać!



W przyrodzeniu, powszechnęj ciał i dusz ojczyźnie,  
Wszystkie stworzenia mają swe istoty bliźnie;  
Każdy promień, głos każdy z podobnym spojony,  
Harmonią ogłasza przez farby i tony;  
I pyłek niewidzialny, śród istot ogromu  
Błądzi, szukając serca drugiego atomu,  
A tylko serce czułe z dozgonną tęsknotą  
W rodzinie tworów jedną ma zostać sierotą?  
Stwórca mi dał to serce. Choć w codziennym tłumie  
Nikt poznać go nie może, bo nikt nie rozumie,  
Jest i musi być kędyś, choć na krańcach świata,  
Ktoś, co do mnie myślami wzajemnymi wzłata!

O, gdybyśmy, dzielące rozerwawszy chmury,  
Choć przed zgonem tęsknemi spotkali się pióry,  
Lub słowem tylko, wzrokiem! — Dosyć jednę chwilę,  
Dosyć — by się dowiedzieć tylko — żeśmy żyli!  
Wtenczas dusza, co ledwie czucia swe ogarnia,  
W której rozkosze truje samotna męczarnia,  
Z ciemnej, głuchej jaskini stałaby się rajem!  
Jakby miło poznawać, zwiedzać ją nawzajem  
I cokolwiek pięknego w myślach zajaśnieje,  
Co szlachetnego mają tajne serca dzieje,  
Rozświecić przed oczyma kochanej istoty,  
Jak wyłamane z piersi kryształów klejnoty!  
Wtenczas przeszłość do życia moglibyśmy wcielić  
Wspomnieniem; możnaby się z przyszłości weselić  
W przeczuciu — a obecnem chwil lubych užyciem  
Łącząc wszystko, żyć całém i zupełnem życiem!...  
Bylibyśmy jak lotne tchnienia, co je rosa  
Wiosennym zionie rankiem, dążące w niebiosy,

Lekkie i niewidome — lecz kiedy się zlecą,  
Sploną i nową iskrę pośród gwiazd rozświecą!

(Lewa strona teatru. Wchodzą Starzec i Dziecię).

### DZIECIĘ.

Wróćmy lepiej do chaty. Coś tam od kościoła  
Błysnęło: ja się boję; coś po lesie woła.  
Jutro pójdziem na cmentarz: ty swoim zwyczajem  
Dumać, ja zdobić krzyże kwiatami i majem.  
Mówią, że dzisiaj w nocy umarłych spotkamy.  
Ja ich nie znam, ja własnej nie pamiętam mamy;  
Ty oczy w dzień masz słabe; pragnąłbyś daremnie  
Dawno widzianych ludzi rozeznąć po ciemnie,  
I słuch masz słaby. Pomniesz, dwie temu niedziele,  
Zebrało się i krewnych i sąsiadów wiele  
Urodziny twe święcić; tyś w milczeniu siedział,  
Nic nie słyszał, nikomu nic nie odpowiedział;  
Zapytałeś nakoniec: poco ta gromada  
Zeszła się w dzień powszedni i czy mrok już pada?  
Amy przyszli winszować i od kilku godzin  
Słońce zaszło i był to dzień twoich urodzin.

### STARZEC.

Od tego dnia, ach jakżem daleko odpłynął!  
Wszystkiem znajome lądy i wyspy ominął,  
Wszystkie dziedziczne skarby znikły w czasie toniach:  
Cóż mi po waszych twarzach, i głosach, i dłoniach?

Twarze, którem z dzieciństwa ukochać przywykał,  
Dłonie, co mię pieściły, głos, co mię przenikał,  
Gdzież są?—Zgasły, przebrzmiały, zmieniły się, starły!  
Nie wiem, czym pośród trupów, czyli sam umarły,  
Ale inny świat rzucam, aniżelim zastał.  
Nieszczęsny, kto częściami do mogiły wrastał!  
I twój jeszcze głos, wnuku, ostatnia pociecho,  
Jak po umarłej pieśni niemowlęce echo,  
Tuła się i głos matki powtarzając kwili —  
Lecz i ty mnie porzucasz, jak inni rzucili.

Pójdę sam. Kto w dzień błądzi i żywych nie słyszy,  
Widzi w nocy, zna język grobowej zaciszy.  
Nie zabłądzę. Wszak co rok chodziłem tą drogą.  
Zrazu jak ty, mój synu, z niemowlęcą trwogą;  
Potem jak chłopiec pełen ciekawej ochoty;  
Potem z tęsknotą; teraz nawet bez tęsknoty,  
Bez żalu—Cóż mię wiedzie?—Jakiś zapęd nowy,  
Ciemne przeczucie—może to instynkt grobowy!  
Znajdę cmentarz i coś mi w głębi duszy wróży,  
Że nazad już nie będę potrzebował stróży,  
Ale nim się rozłączym, twe służby dziecięce  
Nagrodzę. Pójdź, mój synu, uklęknij, złóż ręce.

Boże! coś mi rozkazał spełnić kielich życia  
I zbyt wielki, zbyt gorzki dałeś mi do picia!  
Jeśli względów twojego miłosierdzia godna  
Cierpliwość, z którą gorycz wychyliłem do dna,  
Jedynęj lecz największej śmiem żądać nagrody:  
Pobłogosław wnukowi, niechaj umrze młody!

Bądź zdrów!—Stój i raz jeszcze ściśnij dziada rękę;  
Daj mi twój głos usłyszeć; zaśpiewaj piosenkę  
Ulubioną i tyle powtarzaną razy  
O zaklętym młodzieńcu, przemienionym w głazy.

DZIECIĘ, śpiewa.

Wyłamawszy zamku bramy,  
Twardowski bładził wśród gmachów,  
Biegł na wieże, schodził w jamy:  
Co tam czarów, co tam strachów!

W jednem sklepisku zapadłem,  
Jak dziwny rodzaj pokuty!  
Na łańcuchu, przed zwierciadłem,  
Stoi młodzieniec okuty.

Stoi, a z ludzkiej postaci,  
Mocą czarownych omamień,  
Coraz jakąś częśćkę traci  
I powoli wrasta w kamień.

Aż do piersi już był głazem,  
A jeszcze mu błyszczą lica  
Męztwa i siły wyrazem,  
Czułością świeci źrenica.

„Kto jesteś, zaklęty rzeczy,  
Coś te gmachy zdobył śmiało,  
Gdzie tak mnogie pękły miecze,  
Tylu wolność postradało?”

„Kto jestem? O, drży świat cały  
Przed mą szablą, na me słowa  
Wielkiej mocy, większej chwały:  
Jestem rycerzem z Twardowa.“

„Z Twardowa?—Za moich czasów  
Nie słyszałem o nazwisku,  
Ni śród wojennych zapasów,  
Ni na rycerskiem igrzysku.

Nie zgadnę, jak długie lata  
Mogłem w więzieniu przesiedzieć;  
Ty świeżo wracasz ze świata,  
Musisz mi o nim powiedzieć.

Czy dotąd Olgierda ramię,  
Naszą Litwę wiodąc w pole,  
Po dawnemu Niemcy łamie,  
Tratuje stepy mogole?“

„Olgierd? Ach, już przeminęło  
Dwieście lat po stracie męża;  
Lecz z jego wnuków Jagiełło  
Teraz walczy i zwycięża.“

„Co słyszę?—Jeszcze dwa słowa:  
Mów! w twoich błędnych obiegach  
Byłeś, rycerzu z Twardowa,  
Na Świtezi naszej brzegach?

Czy tam ludzie nie mówili  
O Poraju, silnej ręki,

I o nadobnej Maryli,  
Któręj on ubóstwiał wdzięki?“

„Młodzieńcze, nigdzie w tym kraju,  
Od Niemna po Dniepru krańce,  
Nie słyszałem o Poraju  
Ani o jego kochance.

Poco pytać? Czasu strata!  
Gdy cię wyrwę z tej opoki,  
Wszystkie ciekawości świata  
Własnymi odwiedzisz kroki.

Znam czarodziejską naukę,  
Wiem dzielność tego zwierciadła:  
Wraz go na drobiazgi stłukę,  
By z ciebie ta larwa spadła.“

To mówiąc, nagłym zamachem  
Dobył miecza i przymierza;  
Ale młodzieniec z przestachem  
„Stój!“ zawołał na rycerza.

„Weźmij zwierciadło ze ściany  
I podaj je w moje ręce;  
Niech sam skruszę me kajdany  
I uczynię koniec męce.“

Wziął i westchnął; lice zbladło  
I zalał się łez strumieniem,  
I pocałował zwierciadło...  
I cały stał się kamieniem.

---

GUŚLARZ.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie.  
Z czujnym słuchem, z bacznem okiem  
Śpieszmy się w tajnym obrzędzie,  
Z cichem pieniem, wolnym krokiem.  
Wszak nie nucim po kolędzie,  
Nucimy piosnkę żałoby:  
Nie do dworu z nowym rokiem,  
Ze łzami idziem na groby.

CHÓR.

Póki ciemno, głucho wszędzie,  
Śpieszmy się w tajnym obrzędzie.

GUŚLARZ.

Śpieszmy cicho i powoli  
Po za cerkwią, po za dworem,  
Bo ksiądz guśłów nie dozwoli,  
Pan się zbudzi nocnym chórem.  
Zmarli tylko wedle woli  
Śpieszą, gdzie ich guślarz woła:  
Żywi są na pańskiej roli,  
Cmentarz pod władzą kościoła.

CHÓR.

Póki ciemno, głucho wszędzie,  
Śpieszmy się w tajnym obrzędzie.

CHÓR MŁODZIEŃCÓW, do Dziewczyny.

Nie łam twych rączek, niewiasto młoda,  
Nie płacz, i oczek i dłoni szkoda.  
Te oczy innym źrenicom błysną,  
Te rączki inną prawicę ścisną.

Od lasu para gołąbków leci,  
Para gołąbków, a orlik trzeci;  
Uszlaş gołąbko, spojrzysz dogóry,  
Czy jest za tobą mąż srebrno-pióry?

Nie płacz, nie wzdychaj w próżnej żałobie,  
Nowy małżonek grucha ku tobie:  
Nóżki z ostrogą, szyję mu wieńczy  
Wstążka błękitna w kolorach tęczy.

Róża z fijołkiem, na letniej łące,  
Podają sobie dłonie pachnące;  
Pieszy robotnik kosi dąbrowę,  
Zranił małżonka, zostawił wdowę.

Płaczesz i wzdychasz w próżnej żałobie;  
Wysmukły narcyz kłania się tobie  
Jasną żrenicą, wśród polnych dzieci  
Jak księżyc między gwiazdami świeci.

Nie łam twych rączek, niewiasto młoda,  
Nie płacz—i rączek i oczu szkoda,  
Ten, po kim płaczesz, wzajem nie błysnie  
Okiem ku tobie, ręki nie ściśnie.

Ciemny on krzyżyk w prawicy trzyma,  
A miejsca w niebie szuka oczyma,  
Dla niego na mszę daj, młoda wdowo,  
A dla nas żywych piękne daj słowo.

(Do Starca).

Nie tęsknij, starcze, prosimy młodzi,  
Tęsknota sercu i myślom szkodzi;  
W tém sercu dla nas żyją przykłady,  
W tych myślach dla nas jest skarbiec rady.



Stary dąb zrzuca powiewne szaty,  
O cień go proszą trawy i kwiaty.  
Nie znam was, dzieci nowego rodu,  
Czyliście warte cienia i chłodu,  
Nie takie rosły, dawnemi laty,  
Pod mą zasłoną trawy i kwiaty.

Przestań narzekać w niesłusznym gniewie!  
Jak było dawniej, nikt o tem nie wie.  
Uwiędną jedni, powschodzą inni;  
Chociaż mniej piękni, cóż temu winni?  
Strzeż naszej barwy, ciesz się z okrasy,  
A z nas dawniejsze wspominaj czasy.

Nie wzdychaj, starcze, w próżnej tęsknocie!  
Wielu straciłeś, zostały krocie.  
Nie całe twoje szczęście jest w grobie,  
Nie tam są wszyscy znajomi tobie:  
Weź trochę szczęścia od nas szczęśliwych,  
Szukaj umarłych pośród nas żywych.

#### GUŚLARZ

Kto błędząc po życia kraju  
Chciał pilnować prostej drogi,  
Choć mu los wedle zwyczaju  
Wszędzie siał ciernie i głogi,  
Nareszcie, po latach wielu,  
W licznych troskach, w ciężkich nudach,  
Zapomniał o drogi celu,  
Aby znaleźć wczas po trudach.

Kto z ziemi patrzył ku słońcu,  
Zmierzył nieba i gwiazd loty,

I nie znał ziemi, aż w końcu,  
Kiedy wpadł w otchłań ciemnoty;  
Kto żalem pragnął wydzwignąć,  
Co znikło w przeszłości łonie;  
Kto żądzą pragnął doścignąć,  
Co ma przyszłość w tajnem łonie;  
Kto poznał błąd swój niewcześnie,  
O gorszej myśląc poprawie,  
Mruży oczy, by żyć we śnie  
Z tém, czego szukał na jawie;  
Kto marzeń tknięty chorobą,  
Sam własnej sprawca katuszy,  
Darmo chciał znaleźć przed sobą,  
Co miał tylko w swojej duszy;  
Kto wspominasz dawne chwile,  
Komu się o przyszłych marzy:

Idź ze świata ku mogile,  
Idź od mędrców do guślarzy.  
Mrok tajemnic nas otacza,  
Pieśń i wiara przewodniczy!  
Dalej z nami, kto rozpacza,  
Kto wspomina i kto życzy!

---

#### CHÓR MŁODZIEŻY.

Tu guślarz kazał młodzieży  
Stanąć na drogi polowie:  
Tam na wzgórku wioska leży,  
A tam mogiłek w dąbrowie.

Między kolebką i groby  
Młody nasz wiek w środku stoi;  
Śród wesela i żałoby  
Stójmyż w środku, bracia moi!

Nie godzi się do wsi wracać,  
Nie godzi się biedz w ich ślady;  
Tu będziemy święcić Dziady  
I piosnkami noc ukracać.

Będziemy idących witać  
I powracających pytać,  
Lękliwym rozpędzać trwogę,  
Błędnym pokazywać drogę.

Zaszło słońce, biegą dzieci,  
Idą starce, płaczą, nuca;  
Lecz znowu słońce zaświeci,  
Wrócą dzieci, starce wrócą.

Nim dojdzie siwizny dziecię,  
Nim starego dzwon powoła,  
Jeszcze ich spotka na świecie  
Niejedna chwilka wesoła.

Ale kto z nas w młode lata  
Nie działa rzeźwem ramieniem,  
Ale sercem i myśleniem,  
Taki zgubiony dla świata.

Kto jak zwierz pustyni szuka,  
Jak puhacz po nocy lata,

Jak upiór do trumny puka,  
Taki zgubiony dla świata.

Kto w młodości pieśń żałoby  
Raz zanucił, wiecznie nuci;  
Kto raz zabłądził na groby,  
Już z nich na świat nie powróci.

Niech więc dzieci i ojcowie  
Idą w kościół z prośbą, z chlebem:  
Młodzi, na drogi połowie,  
Zostaniem pod czystym niebem.

---

GUSTAW, śpiewa. \*)

Śród wzgórzów i jarów  
I dolin i lasów;  
Śród pienia ogarów  
I trąby hałasów;

Na koniu, co lotem  
Sokoły zadumi,  
I z bronią, co grzmotem  
Pioruny zatłumi;

Wesoły jak dziecko,  
Jak rycerz krwi chciwy,  
Odważnie, zdradziecko,  
Bój zaczął myśliwy.

\*) Śpiew Gustawa, w późniejszém opracowaniu, znajduje się jako „Chór strzelców“ w I tomie.

Witajcież rycerza  
Pagórki i niwy!  
Król lasów, pan zwierza,  
Niech żyje myśliwy!

Czy w niebo grot zmierza,  
Czy w knieje i smugi,  
Ztąd leci grad pierza,  
Ztąd płyną krwi strugi.

Kto w puszczy dojedzie  
Odyńca bez trwogi?  
Kto kudły niedźwiedzie  
Podesłał pod nogi?

Czyj dowcip gnał rojem  
Lataczów do sideł?  
Kto wstępnym wziął bojem  
Sztandary ich skrzydeł?

Witajcież rycerza,  
Pagórki i niwy!  
Król lasów, pan zwierza,  
Niech żyje myśliwy!

Dalejże, dalejże, z tropu w trop  
Z tropu w trop, dalejże, dalejże!  
Dalejże, dalejże, z tropu w trop,  
Z tropu w trop, hop! hop!

Spolowałem piosenkę! Nie będą się gniewać  
Myśliwi, że do domu wracam bez zwierzyny;  
Jak tylko wrócę, zaraz muszę im zaśpiewać.

Lecz gdzież zaszedłem?... Nigdzie śladu ni drożyny..  
 Hola!... Jak w kniei głucho: ni trąby, ni strzału.  
 Zbłądziłem. Otóż skutek wieszczego zapалу!  
 Goniąc Muzę, wyszedłem z obławy. Mróz ciśnie,  
 Trzeba ogień nałożyć; gdy światło zabłyśnie....  
 Nuż jaki spółtowarzysz z myśliwój czeladzi  
 Błądzi jak ja: ten ogień razem nas sprowadzi,  
 Łacniěj drogę znajdziemy.

O mój przyjacielu!  
 Takich, jak ty, myśliwych nie znalazłbyś wielu.  
 Oni z lasu nie zwykli spoglądać w obłoki,  
 Ogarami na piękne polować widoki:  
 Z jednym zawsze zamiarem i z jedyną żądzą,  
 Na ziemi tropią zdobyć! tēm lepiej—nie błądzą.  
 Pewnie już z rzeźwēm sercem i spoconēm czołem  
 Dzienną zabawę kończą za biesiadnym stołem;  
 Każdy chlubi się z przeszłych lub przyszłych zdobyczy,  
 Każdy swe trafne strzały, cudze pudła liczy;  
 Żartują z siebie głośno, lub szepcą do ucha,  
 Wszyscy mówią, a jeden stary ojciec słucha;  
 A jeśli się nakoniec uprzykrzyły łowy,  
 Natenczas do sąsiadek uśmiechy, rozmowy.  
 Czasem strzelecka miłość, wędrowną ptaszyną,  
 Serce przelotem zwiedzi.—Tak mija godzina  
 I tydzień i rok cały. Tak bywało wczora,  
 Tak jest dzisiaj i będzie każdego wieczora.  
 Szczęśliwi!—

A ja—czemu nie jestem jak oni?  
 Wyjechaliśmy razem, cóż mnie w pole goni?  
 Ach! nie zabawy ścigam; uciekam od nudy;

Nie rozkosze myśliwskie lubię, ale trudy,  
Że się myśli przynajmniej, że się miejsca zmienia  
I że tu nikt mojego nie śledzi marzenia,  
Łez pustych, które nie wiem zkąd w oczach zaświecą,  
Westchnień bez celu, które nie wiem kędy lecą,  
Nie do sąsiadek pewnie—na wiatry, na gaje,  
Ku marzeniom...

Myśl dziwna! Zawsze mi się zdaje,  
Że ktoś łązy moje widzi i słyszy westchnienia,  
I wiecznie około mnie krąży nakształt cienia.

Ileż razy w dzień cichy szeleszczą na łące  
Jakoby nimfy jakieś stopki latające:  
Spojrzę—chwieją się kwiaty i podnoszą głowy,  
Jakby zlekka trącone.—Nieraz wśród alkowy  
Samotny, książkę czytam; książka z rąk wypadła:  
Spojrzałem—i mignęła naprzeciw zwierciadła  
Lekka postać; szepnęła jej powietrzna szata.  
Nieraz dumałem w nocy; gdy się myśl rozlata  
Wzdycham i coś westchnieniem dawało znak życia.  
Serce biło i czułem drugie serca bicia;  
Okrzyczano mnie wszędzie, żem dziwak nieczuły;  
I któż, jeśli nie one, z czucia mię wyzuły?

Pomnę, gdy każda piękność młodzieńczemu oku  
Jak duch senny jaśniała w marzenia obłoku;  
Gdym pod zewnętrznym blaskiem zgadywać był gotów  
Miliony tajemnych wdzięków i przymiotów,  
Z trwogą do cudownego śpieszyłem obrazu;  
Przyszedłem, przemówiłem: dość było wyrazu,  
Ażeby postać, godna równać się z niebiany,

Zamieniła się w posąg z lodu uciosany!  
 Ileż razy, gdy dusza ku ustom wylata,  
 Chcę odkryć tajnie mego wewnętrznego świata,  
 Kiedy żrenica w oczach dno myślenia śledzi,  
 Mowa serca serdecznęj czeka odpowiedzi:  
 Natenczas, nieme bóstwo oczu mych się boi,  
 Słów mych nie słyszy, bo jej słyszeć nie przystoi,  
 Lub ich końce powtarza tylko nakształt echa,  
 I albo się rumieni albo się uśmiecha;  
 I chce mnie znowu ściągnąć w rozmowy potoczne,  
 Wczorajsze, zawczorajsze i zaprzyszłoroczne!  
 A niechajże ją krewni poradą i władzą  
 Zalotnemu kupcowi ślubem zaprzedadzą:  
 Niewinna, nieznająca, niewidząca, głucha,  
 Jaką będzie?—Wstyd mówić, choć mię nikt nie słucha.

O dusze miałkie, raczěj bezduszne szkielety!  
 Czerpające moralność całą z etykiety,  
 Których żale, radości, zapały i chłody  
 Stosują się do nowych kalendarzów mody;  
 Grzeczności i rozmowy najlepszego tonu,  
 Jak cukierki przybrane z podłogi salonu;  
 Słowo nawet częstokroć, niewyraźnie, głucho,  
 Jak przelot nocnej muszki, pogłaska mi ucho.

Zasnąłem we mgle jasnej. Zgóry i zdaleka  
 Coś błyszczy, choć widocznych kształtów nie obleka,  
 I czuję promień oczu i uśmiech oblicza!  
 Gdzież jesteś, samotności córo tajemnicza?

Niechaj się twój duch uwieńczy  
 Choćby marnem, nikłym ciałem;



Okryj się choć rąbkiem tęczy  
Lub jasnym źródła kryształem.

Niechaj twojej blask obsłony  
Długo, długo w oczach stoi;  
Niech twych ust rajskimi tony  
Długo, długo słuch się poi.

Świeć mi słońce! Niech źrenica  
Olśnie blaskiem twego lica;  
Piej Syreno! W lubych głosach  
Usnę, marzyć o niebiosach.

Ach, gdzie cię szukać?—Od ludzi ucieknę;  
Ach, bądź ty ze mną, świata się wyrzeknę!

MYŚLIWY CZARNY, na stronie śpiewa.

Latasz mój ptaszku, zawysoko latasz!  
A czy znasz dzielność swoich skrzydełek?  
Spójrz na ziemię, którą tak pomiatasz;  
Co tam wabików, co tam sidełek!

GUSTAW.

Hola! słyhać śpiewanie.—Hej! wszelki duch żywy,  
Ozwij się bracie, kto jesteś?

MYŚLIWY.

Myśliwy,  
Równiej jak ty ochoty, większej trochę mocy.  
Obadwa polujemy, chociaż ty w poranki  
Jedziesz na świat, ja łowy rozpoczynam w nocy;  
Ty czyhasz na zwierzęta, a ja na kochanki.

GUSTAW.

Nie wiem, czy dobre miejsce wybrałeś na łowy;  
Ale nie chcę przeszkadzać: więc szczęśliwój drogi!

MYŚLIWY.

Hola, kolego! Nie bądź taki raptusowy.  
Jestże to grubijaństwo, albo skutek trwogi?  
Pierwej mnie sam zawołał, a teraz ucieka.

GUSTAW.

Ja miałbym ciebie wołać?

MYŚLIWY.

Słyszałem zdaleka,

Żeś wołał—kogo, na co? nie wiem doskonale,  
Dosyć, że posłyszałem westchnienia i żale.  
Jestem, jak ty, myśliwcem; byłem kiedyś młody,  
Znam więc twego rzemiosła i wieku przygody;  
Musisz coś mieć na sercu, rozmówmy się szczerze!  
Pewnie się zabłąkało w kniei jakie zwierzę.  
Bracie, ja sam błdziłem; znam zwierzęta różne,  
Skrzydlate i piechotne, czworo i dwunóżne,  
A jeśli nic nie gonisz, pewnie radbyś goił.  
Ej! czy cię widok pustej torby nie zapłonił?  
Wstyd młodemu niczego dotąd nie zastrzelić.  
Przyznaj się—ja ci mogę w potrzebie udzielić.

GUSTAW.

Dzięki.—Od nieznajomych nie żądam pomocy,  
Nie zabieram przyjaźni tak rychło i w nocy  
I nie rozumiem co twe słowa mają znaczyć.

MYŚLIWY.

Jeżeliś niepojętny, będę się tłumaczyć;  
Jeżeli mi nie ufasz, będę szczerzy z tobą.  
Wiedz naprzód, iż gdzie stąpisz, jest wszędzie nad tobą

Pewna istota, która z oczu cię nie traci,  
I że chce ciebie w ludzkiej nawiedzić postaci,  
Jeżeli to, coś przyrzekł, zachowasz niezłomnie...

GUSTAW.

Przebóg! co to ma znaczyć? Nie zbliżaj się do mnie!

. . . . .

. . . . .

—



# D Z I A D Y.

CZĘŚĆ II. \*)

\*) Część II i IV Dziadów, wraz z wierszem p. n. „Upiór”, drukowane były po raz pierwszy w Wilnie r. 1823.



## U P I Ó R.

---

Serce ustało, pierś już lodowata,  
Ścięły się usta i oczy zawarły;  
Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata:  
Cóż to za człowiek?—Umarły!

Patrz! duch nadziei życie mu nadaje,  
Gwiazda pamięci promyków użyicza:  
Umarły wraca na młodości kraje,  
Szukać lubego oblicza.

Pierś znowu tchnęła, lecz pierś lodowata,  
Usta i oczy stanęły otworem;  
Na świecie znowu, ale nie dla świata:  
Czemże ten człowiek?—Upiorem.

Ci, którzy bliżej cmentarza mieszkali,  
Wiedzą, iż upiór ten co rok się budzi;  
Na dzień zaduszny mogiłę odwali  
I dąży pomiędzy ludzi.

Aż gdy zadzwonią na niedzielę czwartą,  
Wraca się nocą, opadły na sile;  
Z piersią skrwawioną, jakby dziś rozdartą,  
Usypia znowu w mogile.

Pełno jest wieści o nocnym człowieku;  
Żyją, co byli na jego pogrzebie,  
Słychać, że zginął w młodocianym wieku,  
Podobno zabił sam siebie.

Teraz zapewne wieczne cierpi kary,  
Bo smutnie jęczał i płomieniem buchał;  
Niedawno jeden zakrystyan stary  
Obaczył go i podsłuchał.

Mówi, iż upiór, skoro wyszedł z ziemi,  
Oczy na gwiazdę poranną wywrócił,  
Załamał ręce i usty chłodnemi  
Takową skargę wyrzucił:

„Duchu przeklęty! poco śród parowu  
Nieczulęj ziemi ogień życia wzniecasz?  
Blasku przeklęty! zagasłeś i znowu...  
Poco mi znowu przyświecasz?

„O sprawiedliwy, lecz straszny wyrokul  
Ujrzeć ją znowu, poznać się, rozłączyć  
I com ucierpiał, to cierpieć co roku,  
I jakim skończył, zakończyć!

„Żebyś cię znalazł, muszę między zgrają  
Błądzić, z długiego wyszedłszy ukrycia,  
Lecz nie dbam, jak mię ludzie powitają:  
Wszystkiemu doznał za życia.

„Kiedyś patrzyła, musiałem jak zbrodzień  
Odwracać oczy; słyszałem twe słowa,  
Słyszałem codzien i musiałem codzien  
Milczeć, jak deska grobowa.



„Śmieli się niegdyś przyjaciele młodzi,  
Zwali tęsknotę dziwactwem, przesadą;  
Starszy ramieniem ściska i odchodzi,  
Lub mądrą nudzi mię radą.

„Śmieszków i radców zarówno słuchałem,  
Choć i sam może nie lepszy od drugich;  
Sambym się gorszył zbytecznym zapalem,  
Lub śmiał się z żalów zbyt długich.

„Ktoś inny myślał, że obrażam ciebie,  
Uwłączam jego rodowitęj dumie;  
Przecież ulegał grzeczności potrzebie,  
Udawał, że nie rozumie.

„Lecz i ja dumny, żem go równie zbadał,  
Choć mię nie pyta, chociaż milczeć umiem,  
Mówilem gwałtem—a gdy odpowiadał,  
Udałem, że nie rozumiem.

„Ale kto nie mógł darować mi grzechu,  
Ledwie obelgę na ustach przytrzyma,  
Niechętne lica gwałci do uśmiechu,  
I litość kłamie oczyma:

„Takiemu tylko nigdy nie przebaczyłem  
Wszakże skargami nigdy ust nie zmazałem,  
Anim pogardy wymówić nie raczyłem,  
Kiedym mu uśmiech okazałem.

„Tegoż dziś doznam, jeśli dziką postać  
Cudzemu światu ukażę z pod cieni:  
Jedni mię będą egzorcyzmem chłostać,  
Drudzy uciekną zdziwieni.

„Ten dumą śmieszy, ten litością nudzi,  
Inny szyderskie oczy zechce krzywić...  
Do jednęj idąc, za cóż tyle ludzi  
Muszę obrażać lub dziwić?

„Cóżkolwiek będzie, dawnym pójdę torem:  
Szydercom litość, śmiech litościwemu!  
Tylko, o luba, tylko ty z upiorem  
Powitaj się po dawnemu.

„Spojrzyj i przemów! Daruj małą winę,  
Że śmiał do ciebie raz jeszcze powrócić,  
Mara przeszłości, na jedną godzinę  
Obecne szczęście zakłócić.

„Wzrok twój, nawykły do świata i słońca,  
Może się trupięj nie ulęknie głowy  
I może raczysz cierpliwie do końca  
Grobówęj dosłuchać mowy...

„I ścigać myśli, po przeszłych obrazach  
Błądzące, jako pasożytne ziele,  
Które wśród gmachu starego po głazach  
Rozpierzchłe gałązki ściele.“

---

## DZIADY.

---

Jest to nazwisko uroczystości, obchodzonej dotąd między pospółstwem w wielu powiatach Litwy, Prus i Kurlandi, na pamiątkę dziadów, czyli w ogólności zmarłych przodków. Uroczystość ta początkiem swoim zasięga czasów pogańskich i zwała się niegdyś ucztą kozła, na której przewodniczył kozłarz, huślarz, guślarz, razem kapłan i poeta (gęślarz). W teraźniejszych czasach, ponieważ światło duchowieństwo i właściciele usiłowali wykorzenieć zwyczaj, połączony z zabobonami praktykami i zbytkiem częstokroć naganym, pospółstwo święci Dziady tajemnie w kaplicach lub pustych domach, niedaleko cmentarza. Zastawia się tam pospolicie uczta z rozmaitego jadła, trunków, owoców i wywołują się dusze nieboszczyków. Godna uwagi, iż zwyczaj częstowania umarłych zdaje się być wspólny wszystkim ludom pogańskim: w dawniej Grecyi za czasów homerycznych, w Skandynawii, na Wschodzie i dotąd po wyspach nowego świata. Dziady nasze mają to szczególne, iż obrzędy pogańskie pomieszane są z wyobrażeniami religii chrześcijańskiej; zwłaszcza, iż dzień zaduszny przypada około czasu tej uroczystości. Pospółstwo rozumie, iż potrawami, napojem i śpiewami przynosi ulgę duszom czyśćcowym,

Cel tak poważny święta, miejsca samotne, czas nocny, obrzędy fantastyczne, przemawiały niegdyś silnie do mojej imaginacyi; słuchałem bajek, powieści i pieśni o nieboszczykach, powracających z prośbami lub przestrogami; a we wszystkich zmyśleniach poczwarnych można było dostrzedz pewne dążenie moralne i pewne nauki, gminnym sposobem zmysłowie przedstawiane. Poema niniejsze przedstawi obrazy w podobnym duchu; śpiewy zaś obrzędowe, gusła i inkantacye, są po większej części wiernie, a niekiedy dosłownie, z gminnej poezyi wzięte.

---

Kaplica — wieczór. — GUŚLARZ. — STARZEC PIERWSZY  
Z CHÓRU.—CHÓR WIEŚNIAKÓW I WIEŚNIACZEK.

There are more things in Heaven and Earth,  
Than are dreamt of in your philosophy.

*Shakespeare.*

Są dziwy w niebie i na ziemi, o których ani  
śniło się waszym filozofom.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:  
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Zamknijcie drzwi od kaplicy  
I stańcie dokoła truny;  
Żadnej lampy, żadnej świecy,  
W oknach zawieście całuny;  
Niech księżyc jasność blada  
Szczelinami tu nie wpada.  
Tylko zwawo, tylko śmiało!

STARZEC.

Jak kazałeś, tak się stało.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:  
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Czyścowe duszyczki!  
 W jakiegokolwiek świata stronie,  
 Czyli która w smole płonie,  
 Czyli marznie na dnie rzeczki,  
 Czyli, dla dotkliwszej kary,  
 W surowém wszczepiona drewnie,  
 Gdy ją w piecu gryzą żary  
 I piszczy i płacze rzewnie:  
 Każda śpieszcie do gromady,  
 Gromada niech się tu zbierze!  
 Oto obchodzimy Dziady!  
 Zstępujcie w święty przybytek;  
 Jest jałmużna, są pacierze  
 I jedzenie i napitek.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:  
 Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Podajcie mi garść kądzieli.  
 Zapalam ją: wy z pośpiechem,  
 Skoro płomyk w górę strzeli,  
 Pędźcie go lekkim oddechem.  
 O tak, o tak, dalej, dalej,  
 Niech się na powietrzu spali!

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:  
 Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Naprzód wy z lekkimi duchy,  
 Coście wśród tego padołu

Ciemnoty i zawieruchy,  
 Nędzy, płaczu i mozołu,  
 Zabłysnęli i spłonęli,  
 Jako ta garstka kądzieli;  
 Kto z was wietrznym błądzi szlakiem,  
 W niebieskie nie wzleciał bramy,  
 Tego lekkim, jasnym znakiem  
 Przyzywamy, zaklinamy.

CHÓR.

Mówcie komu czego braknie,  
 Kto z was pragnie, kto z was łaknie?

GUŚLARZ.

Patrzcie, ach patrzcie dogóry,  
 Cóż tam pod sklepieniem świeci?  
 Oto złocistemi pióry  
 Trzepoce się dwoje dzieci.  
 Jak listek z listkiem w powiewie,  
 Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem;  
 Jak gołąbek z gołąbkim na drzewie,  
 Tak aniołek igra z aniołkiem.

GUŚLARZ I STARZEC.

Jak listek z listkiem w powiewie,  
 Kręcą się pod cerkwi wierzchołkiem,  
 Jak gołąbek z gołąbkim na drzewie,  
 Tak aniołek igra z aniołkiem.

ANIOŁEK, do jednéj z wieśniaczek.

Do mamy lecim, do mamy.  
 Cóż to mamó, nie znasz Józia?  
 Ja to, Józio, ja ten samy,  
 A to siostra moja Rózia.  
 My teraz w raju latamy,  
 Tam nam lepiej, niż u mamy.

Poezye Mickiewicza, T. II.

Patrz, jakie główki w promieniu,  
 Ubiór z jutrzeńki światełka,  
 A na obojém ramieniu  
 Jak u motylków skrzydełka.  
 W raju wszystkiego dostatek,  
 Codzień to inna zabawka;  
 Gdzie stąpim, wypływa trawka,  
 Gdzie dotknem, rozkwita kwiatek.  
 Lecz choć wszystkiego dostatek,  
 Dręczy nas nuda i trwoga.  
 Ach mamó, dla twoich dziełek  
 Zamknięta do nieba droga!

CHÓR.

Lecz choć wszystkiego dostatek,  
 Dręczy ich nuda i trwoga.  
 Ach mamó, dla twoich dziełek  
 Zamknięta do nieba droga!

GUŚLARZ.

Czego potrzebujesz, duszyczko,  
 Żeby się dostać do nieba?  
 Czy prosisz o chwałę Boga?  
 Czyli o przysmaczek słodki?  
 Są tu pączki, ciasta, mléczko,  
 I owoce i jagodki.  
 Czego potrzebujesz, duszyczko,  
 Żeby się dostać do nieba?

ANIOŁEK.

Nic nam, nic nam nie potrzeba;  
 Zbytkiem słodczy na ziemi  
 Jesteśmy nieszczęśliwemi.  
 Ach, ja w mojém życiu całém  
 Nic gorzkiego nie doznałem.



Pieszczoty, łakotki, swywole,  
 A co zrobię—wszystko caca,  
 Śpiewać, skakać, wybiedz w pole,  
 Urwać kwiatków dla Rozalki,  
 Oto była moja praca;  
 A jęj praca stroić lalki.  
 Przylatujemy na Dziady,  
 Nie dla modłów i biesiady;  
 Niepotrzebna msza ofiarna;  
 Nie o pączki, mleczka, chrósty,  
 Prosim gorzycy dwa ziarna, \*)  
 A ta usługa tak marna  
 Stanie za wszystkie odpusty.

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,  
 Że według Bożego rozkazu,  
 Kto nie doznał goryczy ni razu,  
 Ten nie dozna słodyczy w niebie.

CHÓR.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,  
 Że według Bożego rozkazu,  
 Kto nie doznał goryczy ni razu,  
 Ten nie dozna słodyczy w niebie.

GUŚLARZ.

Aniołku! duszeczko!  
 Czego chciałeś, macie obie.  
 To ziareczko, to ziareczko;  
 Teraz z Bogiem idźcie sobie.

A kto prośby nie posłucha:  
 W imię Ojca, Syna, Ducha!

\*) W pierwszém wydaniu wiersz ten brzmi:  
 Prosim o pieprzu dwa ziarna.

Widzicie pański krzyż?  
Nie chcecie jadła, napoju,  
Zostawcież nas w pokoju,  
A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha:  
W imię Ojca, Syna, Ducha!  
Widzicie pański krzyż?  
Nie chcecie jadła, napoju,  
Zostawcież nas w pokoju,  
A kysz, a kysz!

(Widmo znika).

GUŚLARZ.

Już straszna północ przybywa.  
Zamykajcie drzwi na kłódki,  
Weźcie smolny pęk łuczywa,  
Stawcie w środku kocioł wódki,  
A gdy laską skinę zdala,  
Niechaj się wódka zapala,  
Tylko żwawo, tylko śmiało!

STARZEC.

Jużem gotów.

GUŚLARZ.

Daję hasło.

STARZEC.

Buchnęło, zawrzało i zgasło.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie.  
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Dalej wy z najcięższym duchem,  
Coście do tego padolu  
Przykuci zbrodni łańcuchem,  
Z ciałem i duszą pospołu.  
Choć zgon lepiankę rozkruszy,  
Choć was anioł śmierci woła:  
Żywot z cielesnej katuszy  
Dotąd wydrzeć się nie zdoła.  
Jeżeli karę tak srogą  
Ludzie nieco zwolnić mogą  
I zbawić z piekielnej jamy,  
Któręj jesteście tak blisko:  
Was wzywamy, zaklinamy  
Przez żywioł wasz, przez ognisko!

CHÓR.

Mówcie, komu czego braknie,  
Kto z was pragnie, kto z was łaknie?

GŁOS za oknem.

Hej, kruki, sowy, orlice!  
O wy przekłête żarłoki!  
Puśćcie mnie tu pod kaplicę,  
Puśćcie mnie choć na dwa kroki.

GUŚLARZ.

Wszelki duch! jakaż potwora!  
Widzicie w oknie upiora?  
Jak kość na polu wybladły;  
Patrzcie, patrzcie, jakie lice!  
W gębie dym i błyskawice,  
Oczy na głowę wysiadły,  
Świecą jak węgle w popiele;  
Włos rozczochrany na czele;

A jak suchy snop cierniowy  
Płonąc, miotłę ognia ciska,  
Tak od potępieńca głowy  
Z trzaskiem sypią się iskrzyska.

GUŚLARZ i STARZEC.

A jak suchy snop cierniowy  
Płonąc, miotłę ognia ciska,  
Tak od potępieńca głowy  
Z trzaskiem sypią się iskrzyska.

WIDMO z za okna.

Dzieci! nie znacież mnie, dzieci?  
Przypatrzcie się tylko zblizka,  
Przypomnijcie tylko sobie:  
Ja nieboszczyk, pan wasz, dzieci!  
Wszak to moja była wioska!  
Dziś ledwo rok mija trzeci,  
Jak mnie złożyliście w grobie.  
Ach, zbyt ciężka ręka boska!  
Jestem w złego ducha mocy,  
Okropne cierpię męczarnie:  
Kędy noc ziemię ogarnie,  
Tam idę, szukając nocy,  
A uciekając od słońca,  
Tak pędzę żywot tułaczy,  
A nie znajdę błędem końca.  
Wiecznych głodów jestem pastwą;  
A któż mię nakarmić raczy?  
Szarpie mię żarłoczne ptastwo;  
A któż będzie mój obrońca?  
Nie masz, nie masz mękom końca!

CHÓR.

Szarpie go żarłoczne ptastwo,  
A któż mu będzie obrońca?  
Nie masz, nie masz mękom końca!

GUŚLARZ.

Czegoż potrzeba dla duszy,  
Aby uniknąć katuszy?  
Czy prosisz o chwałę nieba?  
Czy o poświęcone gody?  
Jest dostatkiem mleka, chleba,  
Są owoce i jagody.  
Mów, czego trzeba dla duszy,  
Aby się dostać do nieba?

WIDMO.

Do nieba?—Błuźnisz daremnie!  
O nie, ja nie chcę do nieba,  
Ja tylko chcę żeby ze mnie  
Prędzej się dusza wywlekła.  
Stokroć wolę pójść do piekła,  
Wszystkie męki zniosę snadnie,  
Wolę jęczeć w piekle na dnie,  
Niż z duchami nieczystymi  
Błąkać się wiecznie po ziemi,  
Widzieć dawnych uciech ślady,  
Pamiętki dawniej szkarady,  
Od wschodu aż do zachodu,  
Od zachodu aż do wschodu;  
Umierać z pragnienia, z głodu  
I karmić drapieżne ptaki.  
Lecz niestety! wyrok taki:  
Że dopóty w ciele muszę  
Potępioną włóczyć duszę,

Nim kto z was, poddani moi,  
Pożywi mię i napoi.

Ach, jak mnie pragnienie pali!  
Gdyby mała wody miarka!  
Ach, gdybyście mnie podali  
Choćby dwa pszenicy ziarka!

CHÓR:

Ach, jak go pragnienie pali!  
Gdyby mała wody miarka!  
Ach, gdybyśmy mu podali  
Choćby dwa pszenicy ziarka!

CHÓR PTAKÓW NOCNYCH.

Darmo żebrze, darmo płaczel  
My tu czarnym korowodem,  
Sowy, kruki i puhacze,  
Niegdyś, panku, sługi twoje,  
Któreś ty pomorzył głodem,  
Zjemy pokarmy, wypijem napoje.  
Hej, sowy, puhacze, kruki!  
Szponami, krzywemi dzioby  
Szarpajmy jadło na sztuki!  
Chociażbyś trzymał już w gębie,  
I tam ja szponę zagłębię,  
Dostanę aż do wątroby.  
Nie znałeś litości, panie!  
Hej, sowy, puhacze, kruki!  
I my nie znajmy litości:  
Szarpajmy jadło na sztuki,  
A kiedy jadła nie stanie,  
Szarpajmy ciało na sztuki,  
Niechaj nagie świecą kości.

KRUK.

Nie lubisz umierać z głodu?  
 A pomnisz, jak raz w jesieni  
 Wszedłem do twego ogrodu?  
 Gruszka dojrzewa, jabłko się czerwieni;  
 Trzy dni nic nie miałem w ustach,  
 Otrząsnąłem jabłek kilka,  
 Lecz ogrodnik, skryty w chróstach,  
 Zaraz narobił hałasu  
 I poszczuł psami jak wilka.  
 Nie przeskoczyłem tarasu,  
 Dopędziła mię obława;  
 Przed panem toczy się sprawa,  
 O co? o owoce z lasu,  
 Które na wspólną wygodę  
 Bóg dał, jak ogień i wodę.  
 Ale pan gniewny zawoła:  
 „Potrzeba dać przykład grozy.”  
 Zbiegł się lud z całego sioła,  
 Przywiązano mię do sochy,  
 Zbito dziesięć pęków łozy;  
 Każdą kość, jak z kłosa żyto,  
 Jak od suchych strąków grochy,  
 Od skóry mojej odbito.  
 Nie znałeś litości, panie!

CHÓR PTAKÓW.

Hej, sowy, pułacze, kruki,  
 I my nie znajmy litości!  
 Szarpajmy jadło na sztuki,  
 A kiedy jadła nie stanie,  
 Szarpajmy ciało na sztuki,  
 Niechaj nagie świecą kości!

SOWA.

Nie lubisz umierać z głodu?  
 Pomnisz, jak w kucyą samą,  
 Pośród najtęższego chłodu,  
 Stałam z dzieciąciem pod bramą?  
 Panie! wołałam ze łzami,  
 Zlituj się nad sierotami!  
 Mąż mój już na tamtym świecie,  
 Córkę zabrałeś do dwora,  
 Matka w chacie leży chora,  
 Przy piersiach małeńkie dziecią:  
 Panie! daj nam zapomogę,  
 Bo dalej wyżyć nie mogę!  
 Ale ty panie bez duszy!  
 Hulając w pjanęj ochocie,  
 Przewalając się po złocie,  
 Hajdukowi rzekłeś zcicha:  
 „Kto tam gościom trąbi w uszy?  
 Wypędź żebraczkę do licha.“  
 Posłuchał hajduk niecnota,  
 Za włosy wywłókł za wrota,  
 Wepchnął mię z dzieciąciem do śniegu!  
 Zbita i przeziębła srodze,  
 Nie mogłam znaleźć noclegu;  
 Zmarzłam z dzieciąciem na drodze.  
 Nie znałeś litości, panie!

CHÓR PTAKÓW.

Hej, sowy, puhacze, kruki,  
 I my nie znajmy litości!  
 Szarpajmy jadło na sztuki,  
 A kiedy jadła nie stanie,



Szarpajmy ciało na sztuki,  
Niechaj nagie świecą kości!

WIDMO.

Niema, niema dla mnie rady!  
Darmo podajesz talerze:  
Co dasz, to ptactwo zabierze.  
Nie dla mnie, nie dla mnie Dziady!

Tak, muszę dręczyć się wiek wiekiem,  
Sprawiedliwe zrządzienia Boże!  
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,  
Temu człowiek nic nie pomoże.

CHÓR.

Tak, musisz dręczyć się wiek wiekiem,  
Sprawiedliwe zrządzienia Boże!  
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,  
Temu człowiek nic nie pomoże.

GUŚLARZ.

Gdy nic tobie nie pomoże,  
Idźże sobie precz, nieboże!  
A kto prośby nie posłucha:  
W imię Ojca, Syna, Ducha!  
Czy widzisz pański krzyż?  
Nie bierzesz jadła, napoju?  
Zostawże nas w pokoju,

A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha:  
W imię Ojca, Syna, Ducha!  
Czy widzisz pański krzyż?  
Nie bierzesz jadła, napoju?

Zostawże nas w pokoju,  
A kysz, a kysz!  
(Widmo znika).

GUŚLARZ.

Podajcie mi, przyjaciele,  
Ten wianek na koniec laski.  
Zapalam święcone ziele:  
W górę dymy, w górę blaski!

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:  
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Teraz wy, pośrednie duchy,  
Coście u tego padolu  
Ciemnoty i zawieruchy  
Żyły z ludźmi pospołu,  
Lecz od ludzkiej wolne skazy,  
Żyłyście nie nam, nie światu.  
Jako te cząbry i ślazy:  
Ni z nich owocu, ni kwiatu,  
Ani się ukarmi zwierzę,  
Ani się człowiek ubierze;  
Lecz w wonne skręcone wianki,  
Na ścianie wiszą wysoko:  
Tak wysoko, o ziemianki,  
Była wasza pierś i oko.

Która dotąd czystem skrzydłem  
Niebieskiej nie przeszła bramy,  
Was tem światłem i kadzidłem  
Zapraszamy, zaklinamy.

CHÓR.

Mówcie, komu czego braknie,  
Kto z was pragnie, kto z was łaknie?

GUŚLARZ.

A toż, czy obraz Bogarodzicy?  
Czyli anielska postać?  
Jak lekkim rzutem obręcza  
Po obłokach zbiega tęcza,  
By z jeziora wody dostać:  
Tak ona świeci w kaplicy.  
Do nóg biała spływa szata,  
Włos z wietrzykami swywoli,  
Po jagodach uśmiech lata,  
Ale w oczach łza niedoli.

GUŚLARZ I STARZEC.

Do nóg biała spływa szata,  
Włos z wietrzykami swywoli,  
Po jagodach uśmiech lata,  
Ale w oczach łza niedoli.

DUO.

GUŚLARZ I DZIEWCZYNA.

GUŚLARZ.

Na głowie ma kraśny wianek,  
W ręku zielony badylek,  
A przed nią bieży baranek,  
A nad nią leci motylek.  
Na baranka bez ustanku  
Woła: — baś, baś, mój baranku!  
Baranek zawsze zdaleka;  
Motylka różeczką goni  
I już, już trzyma go w dłoni:  
Motylek zawsze ucieka.

DZIEWCZYNA.

Na głowie mam kraśny wianek,  
W ręku zielony badylek;  
Przedemną bieży baranek,  
Nademną leci motylek.  
Na baranka bez ustanku  
Wołam: baś, baś, mój baranku!  
Baranek zawsze zdaleka;  
Motylka różeczką gonię  
I już, już chwytam go w dłonie:  
Motylek zawsze ucieka.

DZIEWCZYNA.

Arya.

Tu niegdyś, w wiosny poranki,  
Najpiękniejsza z tego siola,  
Zosia, pasając baranki,  
Skacze i śpiewa wesoła.

La la la la.

Oleś za gołąbków parę  
Chciał raz pocałować w usta:  
Lecz i prośbę i ofiarę  
Wyśmiała dziewczyna pusta.

La la la la.

Józio dał wstążkę pasterce,  
Antoś oddał swoje serce:  
Lecz i z Józia i z Antosia  
Śmieje się pierzchliwa Zosia.

La la la la. \*)

Recitativo.

Tak, Zosią byłam, dziewczyną z tej wioski;  
Śmieć moje u was głośnie,

\*) Z Goethego.

Że chociaż piękna, nie chciałam zameżcia  
I dziewiętnastą przeigrawszy wiosnę,  
Umarłam, nie znając troski,  
Ani prawdziwego szczęścia.  
Żyłam na świecie, lecz ach, nie dla świata  
Myśl moja, nazbyt skrzydlata,  
Nigdy na ziemskiej nie spoczęła błoni,  
Za lekkim zefirkiem goni,  
Za muszką, za kraśnym wiankiem,  
Za motylkiem, za barankiem,  
Ale nigdy za kochankiem.  
Pieśni i fletów słuchałam rada;  
Często, kiedy sama pasę,  
Do tych pasterzy goniłam stada,  
Którzy mą wielbili krasę;  
Lecz żadnego nie kochałam...  
Za to, po śmierci, nie wiem co się zemną dzieje.  
Nieznajomym ogniem pałam!...  
Choć sobie igram dowoli,  
Latam, gdzie wietrzyk zawieje,  
Nic mię nie smuci, nic mię nie boli;  
Jakie chcę wyrabiam cuda,  
Przędę sobie z tęczy rąbki,  
Z przezroczystych łez poranku  
Tworzę motylki, gołąbki:  
Przecież nie wiem, zkąd ta nuda!  
Wyglądam kogoś za każdym szelestem,  
Ach i zawsze sama jestem!  
Przykro mi, że bez ustanku  
Wiatr mną, jak piórkiem, pomiata;  
Nie wiem, czy jestem z tego, czy z tamtego świata.  
Gdzie się przybliżam, zaraz wiatr oddali,

Pędzi w górę, wdół, z ukosa:  
Tak pośród pierzchliwój fali  
Wieczną przelatując drogę,  
Ani wzbić się pod niebiosą,  
Ani ziemi dotknąć nie mogę.

CHÓR.

Tak pośród pierzchliwój fali  
Przez wieczne lecąc bezdroże,  
Ani wzbić się pod niebiosą,  
Ani dotknąć ziemi nie może.

GUŚLARZ.

Czego potrzebujesz, duszyczko,  
Żeby się dostać do nieba?  
Czy prosisz o chwałę Boga,  
Czy o przysmaczek słodki?  
Są tu pączki, ciasta, mlęczko  
I owoce i jagódki.  
Czego potrzebujesz, duszyczko,  
Żeby się dostać do nieba?

DZIEWCZYNA.

Nic mnie, nic mnie nie potrzeba!  
Niechaj podbiegą młodzieńce,  
Niech mię pochwycą za ręce,  
Niechaj przyciągną do ziemi,  
Niech poigram chwilkę z niemi!...  
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,  
Że według bożego rozkazu:  
Kto nie dotknął ziemi ni razu,  
Ten nigdy nie może być w niebie.

CHÓR:

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,  
Że według bożego rozkazu:

Kto nie dotknął ziemi ni razu,  
Ten nigdy nie może być w niebie.

GUŚLARZ, do kilku wieśniaków.

Darmo bieżycie: to są marne cienie;  
Darmo rączki ściąga biedna,  
Wraz ją spędzi wiatru tchnienie.  
Lecz nie płacz, piękna dziewico!  
Oto przed moją żrenicą  
Odkryto przyszłe wyroki:  
Jeszcze musisz sama jedna  
Latać z wiatrem przez dwa roki,  
A potem staniesz za niebieskim progiem.  
Dziś modlitwa nic nie zjedna,  
Lećże sobie z Panem Bogiem.  
A kto prośby nie posłucha:  
W imię Ojca, Syna, Ducha!  
Czy widzisz pański krzyż?  
Nie chciałaś jadła, napoju,  
Zostawże nas w pokoju,

A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha,  
W imię Ojca, Syna, Ducha!  
Czy widzisz pański krzyż?  
Nie chciałaś jadła, napoju,  
Zostawże nas w pokoju,

A kysz, a kysz!

(Dzieweczyna znika).

GUŚLARZ.

Teraz wszystkie dusze razem,  
Wszystkie i każdą z osobna,

Ostatnim wołam rozkazem!  
Dla was ta biesiada drobna:  
Garście maku, soczewicy  
Rzucam w każdy róg kaplicy.

CHÓR.

Bierzcie, czego której braknie,  
Która pragnie, która łaknie.

GUŚLARZ.

Czas odemknąć drzwi kaplicy;  
Zapalcie lampy i świecy.  
Przeszła północ, kogut pieje,  
Skończona straszna ofiara,  
Czas przypomnieć ojców dzieje...  
Stójcie...

CHÓR.

Cóż to?

GUŚLARZ.

Jeszcze mara!

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:  
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ, do jednej z wieśniaczek.

Pasterko, ot tam w żałobie...  
Wstań, bo czy mi się wydaje,  
Czy ty usiadłeś na grobie?  
Dziatki, patrzajcie, dla Boga!  
Wszak to zapada podłoga  
I blade widmo powstaje...  
Zwraca stopy ku pasterce,  
Białe lice i obsłony,  
Jako śnieg po nowym roku;  
Wzrok dziki i zasepiony



Utopił całkiem w jéj oku.  
Patrzcie, ach patrzcie na serce!  
Jaka to pąsowa pręga,  
Tak jakby pąsowa wstęga,  
Albo jak sznurkiem korale,  
O l piersi aż do nóg sięga.  
Co to jest, nie zgadnę wcale!  
Pokazał ręką na serce,  
Lecz nic nie mówi pasterce.

CHÓR.

Co to jest, nie zgadniem wcale.  
Pokazał ręką na serce,  
Lecz nic nie mówi pasterce.

GUŚLARZ.

Czego potrzebujesz, duchu młody?  
Czy prosisz o chwałę nieba?  
Czyli o święcone gody?  
Jest dostatkiem mleka, chleba,  
Są owoce i jagody.  
Czego potrzebujesz, duchu młody,  
Żeby się dostać do nieba?

(Widmo milezy).

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:  
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Odpowiadaj, maro błada!  
Cóż to... nic nie odpowiada?

CHÓR.

Cóż to, nic nie odpowiada?

GUŚLARZ.

Gdy gardzisz mszą i pierogiem,  
Idźże sobie z Panem Bogiem!

A kto prośby nie posłucha.  
W imię Ojca, Syna, Ducha!  
Czy widzisz pański krzyż?  
Nie chciałeś jadła, napoju,  
Zostawże nas w pokoju,  
A kysz, a kysz!

(Widmo stoi).

CHÓR

A kto prośby nie posłucha:  
W imię Ojca, Syna, Ducha!  
Czy widzisz pański krzyż?  
Nie chciałeś jadła napoju,  
Zostawże nas w pokoju,  
A kysz, a kysz!

GUŚLARZ.

Przebóg! cóż to za szkarada?  
Nie odchodzi i nie gada!

CHÓR.

Nie odchodzi i nie gada!

GUŚLARZ.

Duszo przeklęta, czy błoga,  
Opuszczaj święte obrzędy!  
Oto roztwarta podłoga:  
Kędy wszedłeś, wychodź tędy,  
Bo cię przeklnę w imię Boga.

(Po pauzie.)

Precz ztąd na lasy, na rzeki,  
I zgiń, przepadnij na wieki!

(Widmo stoi.)

Przebóg! cóż to za szkarada?  
I milczy i nie przepada!

CHÓR.

I milczy i nie przepada!

GUŚLARZ.

Darmo proszę, darmo gromię,  
On się przekleństwa nie boi.  
Dajcie kropidło z ołtarza...  
Nie pomaga i kropidło,  
Bo utrapione straszycło  
Jak stanęło, tak i stoi,  
Niemo, głucho, nieruchomie,  
Jak kamień pośród cmentarza.

CHÓR.

Bo utrapione straszycło  
Jak stanęło, tak i stoi,  
Niemo, głucho, nieruchomie,  
Jak kamień pośród cmentarza.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:  
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

To jest nad rozum człowieczy!  
Pasterko! znasz tę osobę?  
W tém są jakieś straszne rzeczy...  
Po kim ty nosisz żałobę?  
Wszak mąż i rodzina zdrowa?  
Cóż to, nie mówisz i słowa?  
Spojrzyj, odezwij się przecie!  
Czyś ty martwa, moje dziecię?  
Czegóż uśmiechasz się, czego?  
Co w nim widzisz wesołego?

CHÓR.

Czego uśmiechasz się, czego?  
Co w nim widzisz wesołego?

GUŚLARZ.

Daj mi stulę i gromnicę:  
Zapalę, jeszcze poświęcę...

Próżno palę, próżno święcę:  
Nie znika przeklęta dusza!  
Weźcie pasterkę pod ręce,  
Wyprowadźcie za kaplicę.  
Czegoż oglądasz się? czego?  
Co w nim widzisz powabnego?

CHÓR.

Czegoż oglądasz się? czego?  
Co w nim widzisz powabnego?

GUŚLARZ.

Przebóg, widmo kroku rusza!...  
Gdzie my z nią, on za nią wszędzie:  
Co to będzie, co to będzie?

CHÓR.

Gdzie my z nią, on za nią wszędzie:  
Co to będzie, co to będzie?

---

# DZIADY.

CZEŚĆ IV.



Mieszkanie księdza.—Stół nakryty, tylko co po wieczerzy.—Dwie świece na stole, — Lampa przed obrazem Najświętszej Panny Maryi. — Na ścianie zegar bijący. — KSIĄDZ. — PUSTELNIK.—

DZIECI.

Ich hob alle mürben Leichenschleier auf, die in Särgen lagen; ich entfernte den erhabenen Trost der Ergebung, bloss um mir immerfort zu sagen: „ach, so war es ja nicht! tausend Freuden sind auf ewig nachgeworfen in Gräfte, und du stehst allein hier und überrechnest sie!“ Dürftiger! Dürftiger! Schlage nicht das ganze zerrissene Buch der Vergangenheit auf!... Bist du noch nicht traurig genug?

Jean Paul.

KSIĄDZ.

Dzieci, wstawajmy od stoła!  
Teraz, po powszednim chlebie,  
Kłękniście przy mnie dokoła:  
Podziękujmy ojcu w niebie.  
Dzień dzisiejszy Kościół święci  
Za tych spółchrześcijan dusze,  
Którzy z pomiędzy nas wzięci,  
Czyścowe cierpią katusze.  
Za nich ofiarujmy Bogu.

(Rozkłada książkę).

Oto stosowna nauka.

DZIECI, czytają.

„Onego czasu...”

KSIĄDZ.

Kto tam? kto tam stuka?

PUSTELNIK,

(wchodzi ubrany dziwacznie).

DZIECI.

Jezus, Marya!

KSIĄDZ.

Któż to jest na progu?

(Zmieszany).

Ktoś ty taki?—poco?—naco?

DZIECI.

Ach, trup! trup! upiór ladaco!

W imię Ojca!—zgiń, przepadaj!

KSIĄDZ.

Ktoś ty, bracie? odpowiadaj!

PUSTELNIK

(powolniei smutnie).

Trup—trup—tak jest, moje dziecię.

DZIECI.

Trup—trup—ach! ach! nie bierz tata!

PUSTELNIK.

Umarły?—O nie! tylko umarły dla świata!

Jestem pustelnik, czy mię rozumiecie?

KSIĄDZ.

Zkąd przychodzisz tak nierano?

Kto jesteś? jakie tve miano?

Kiedy się tobie przypatruję zblizka,

Zdaje się, że cię kiedyś widziałem w tej stronie.

Powiedz, mój bracie, jakiegoś ty rodu?



PUSTELNIK.

O tak, tak, byłem tutaj—o dawno! za młodu!  
Przed śmiercią!—będzie trzy lata!  
Lecz—co tobie do mego rodu i nazwiska?  
Gdy dzwonią po umarłym, dziad stoi przy dzwonie,  
Pytają ludzie, kto zeszedł ze świata:

(Udając dziada).

„A na co ta ciekawość? zmów tylko pacierze!“  
Otóż, ja także umarły dla świata:  
Na co tobie ciekawość? zmów tylko pacierze!  
Nazwiska—jeszcze rano—powiedzieć nie mogę;  
Idę zdaleka, nie wiem, z piekła czyli z raju,  
I dążę do tegoż kraju.  
Mój księżu, pokaż, jeżeli wiesz, drogę!

KSIAŁDZ, łagodnie z uśmiechem.

Dróg śmierci pokazywać nie chciałbym nikomu.

(Poufale).

My księża tylko błędne prostujemy ścieżki.

PUSTELNIK, z żalem.

Inni błędzą; ksiądz w małym, ale własnym domu,  
Czy to na wielkim świecie pokój lub zamieszki,  
Czy gdzie naród upada, czy kochanek ginie,  
O nic nie dbasz, usiadłszy z dziećmi przy kominie.  
A ja się męczę w słotnej, ciemnej porze!  
Słyszysz, jaki szturm na dworze?  
Czy widzisz łyskanie gromu?

(Ogląda się).

Błogosławione życie w małym, własnym domu!

(Śpiewa).

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy; \*)  
I noc ma spokojną i dzień nietęskliwy  
W cichym, własnym domu!

\*) Pieśń ruinna

Z pałaców sterczących dumnie,\*)  
Znijdź piękna do mojĕj chatki;  
Znajdziesz u mnie świeże kwiatki,  
Czułe serce znajdziesz u mnie.

Widzisz ptasząt zalecanki?  
Słyszysz srebrny szmer strumyka?  
Dla kochanka i kochanki  
Dosyć domku pustelnika!

KSIĄDZ.

Kiedy tak chwalisz mój dom i kominek,  
Patrz, oto ogień służąca nakłada,  
Siądź i pogrzej się; tobie potrzebny spoczynek.

PUSTELNIK.

Pogrzej się! — dobry księże, arcy przednia rada!

(Śpiewa, pokazując na piersi).

Nie wiesz jaki tu żar płonie,  
Mimo deszczu, mimo chłodu,  
Zawsze płonie!

Nieraz chwytam śniegu, lodu,  
Na gorącym cisnę łonie:  
I śnieg tonie i lód tonie,  
Z piersi moich para bucha,  
Ogień płonie!

Stopiłby kruszce i głazy,

(Pokazując kominek).

Gorszy niż ten tysiąc razy,  
Miljon razy!

I śnieg tonie i lód tonie,  
Z piersi moich para bucha,  
Ogień płonie!

\*) Z Szyllera.

KSIĄDZ, na stronie.

Ja swoje, a on swoje; nie widzi, nie słucha.

(Do Pustelnika).

Jednak do nitki przemoczony wszystkich,  
Zbladłeś, przeziąbłeś strasznie, drżysz jak listek.  
Ktokolwiek jesteś, długą przejść musiałeś drogę.

PUSTELNIK.

Kto jestem?... jeszcze rano: powiedzieć nie mogę;  
Idę zdaleka, nie wiem, z piekła czyli z raju,  
A dążę do tegoż kraju...  
Tymczasem małą dam tobie przestrogę.

KSIĄDZ, na stronie.

Trzeba z nim widzę innego sposobu.

PUSTELNIK.

Pokaż — wszak dobrze wiesz do śmierci drogę?

KSIĄDZ.

Dobrze, gotowym na wszelkie usługi;  
Lecz od twojego wieku aż do grobu  
Gościniec jest arcy-długi.

PUSTELNIK, z pomieszaniem i smutnie sam do siebie.  
Ach, tak prędko przebiegłem gościniec tak długi!

KSIĄDZ.

Dlatego jesteś znudzony i chory.  
Posil się; wraz przyniosę jadło i napoje.

PUSTELNIK, z obłąkaniem.

A potem pójdziem?

KSIĄDZ, z uśmiechem.

Zróbmy na drogę przybory.

Czy dobrze?

PUSTELNIK, z roztargnieniem i nieuwagą.

Dobrze.

KSIĄDZ.

Chodźcie, dzieci moje!

Oto mamy w domu gościa;

Nim ja powrócę, bawcie jegomości!

(Odchodzi)

DZIECIĘ, oglądając.

Czemu waspan tak jesteś dziwacznie ubrany?

Jak strach, albo rozbójnik, co to mówią w bajce;

Z różnych kawałków sukmany,

Na skroniach trawa i liście,

Wytarte płótno, przy pięknej kitajce?

(Postrzega sztylet, Pustelnik chowa go).

Jaka to na sznurku blacha?

Różne paciorki, wstążek okrajce?

Cha cha cha cha!

Dalibóg, waspan wyglądasz na stracha!

Cha cha cha cha!

PUSTELNIK, zrywa się i jakby przypomina sobie.

O dziatki, wy się ze mnie śmiać nie powinniście!

Słuchajcie: znałem pewną kobietę za młodu,

Tak jak ja nieszczęśliwą, z takiego powodu.

Miała takąż sukienkę i na głowie liście.

Gdy weszła do wsi, cała wieś nawaleł,

Uragając się z jej biedy,

Pędzi, śmieje się, wykrzyka,

Podrzeźnia, palcem wytyka;

Ja się raz tylko, raz tylko zaśmiałem!

Kto wie, jeśli nie za to?—Słuszne sądy Boże!

Lecz któż mógł przewidzieć wtedy,

Że ja podobną sukienkę włożę?

Ja byłem taki szczęśliwy!

(Śpiewa).

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy;  
I noc ma spokojną i dzień nietęskliwy.

(Ksiądz przychodzi z winem i talerzem.)

PUSTELNIK, z wymuszoną wesołością.

Księżu, a lubisz ty smutne piosenki?

KSIĄDZ.

Nasłuchałem ich w życiu dosyć, Bogu dzięki!  
Lecz nie traćmy nadziei: po smutkach wesele.

PUSTELNIK, śpiewa.

A odjechać od niej nudno,  
A przyjechać do niej trudno! \*)

Prosta piosenka, ale dobrą myśl zawiera!

KSIĄDZ.

Na potém o tém; a teraz zajrzyjmy do misy.

PUSTELNIK.

Prostapieśń—o, w romansach znajdziesz lepszych wiele!

(Z uśmiechem, biorąc książki z szafy).

Księżu, a znasz ty żywot Heloizy?

Znasz ogień i łzy Wertera?

(Śpiewa).

Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem, \*\*)

Chyba śmiercią bole się ukoją;

Jeślim płochym obraził zapalem,

Tę obrazę krwią okupię moją.

(Dobywa sztylet).

KSIĄDZ, wstrzymuje.

Co to ma znaczyć?—Szalony! czy można?

Odbierzcie mu żelazo, rozdejmijcie pięście.

\*) Z pieśni gminnej

\*\*) Z Goethego.

Jesteś ty chrześcjanin? Taka myśl bezbożna!  
Znasz ty Ewangelią?

PUSTELNIK.

A znasz ty nieszczęście?  
(Chowa sztylet).

Ale dobrze! nie trzeba chwytac się przed porą.

(Patrzy na zegar).

Skazówka na dziewiątej i trzy świece gorą.

(Śpiewa).

Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem,

Chyba śmiercią bole się ukoją;

Jeślim płochym obraził zapalem,

Tę obrazę krwią okupię moją.

Za coś dla mnie tyle ulubiona,

Za com z twojẽm spotkał się wejrzeniem?

Jednąm wybrał z tylu dziewcząt grona,

I ta cudzym przykuta pierścieniem!

Ach, jeśli ty Goethego znasz w oryginale...

Gdyby przytẽm ję głosik i dźwięk fortepianu!...

Ale cóż? ty o boskiej tylko myślisz chwale,

Oddany twego tylko powinnościom stanu.

(Przerzucając książkę).

Wszakże lubisz książki świeckie?

Ach, te to są książki zbójeckie!

(Ciska książkę).

Młodości mojej niebo i tortury!

One zwichnęły osadę mych skrzydeł

I wyłamały dogóry,

Że już nie mogłem nadół skrócić lotu.

Kochanek przez sen tylko widzianych mamideł.

Nie cierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrotu,  
Gardzący istotami powszedniej natury,  
Szukałem, ach! szukałem tój boskiej kochanki,  
Któręj na podświetlonym nie bywało świetle,  
Którą tylko na falach wyobraźni pianki

Wydeło tchnienie zapachu,  
A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie.  
Lecz gdy w czasach tych zimnych niema ideału,  
Przez teraźniejszość w złote odleciałem wieki:  
Bujałem po zmyśloném od poetów niebie,  
Goniąc i błędząc, w błędach nieznudzony goniec...  
Wreszcie, napróżno zbiegłszy kraj daleki,  
Spadam i już się rzucam w brudne uciech rzeki:  
Nim rzucę się, raz jeszcze spojrzę koło siebie...

I znalazłem ją nakoniec!

Znalazłem ją blisko siebie,  
Znalazłem ją — ażeby utracił na wieki!

KSIĄDZ.

Podzielam twoją boleść, nieszczęśliwy bracie!  
Lecz może jest nadzieja? są różne sposoby...  
Słuchaj, czy już oddawna doświadczasz choroby?

PUSTELNIK.

Choroby?

KSIĄDZ.

Czy już dawno płaczesz po twój stracie?

PUSTELNIK.

Jak dawno? — dałem słowo, powiedzieć nie mogę.  
Kto inny powie tobie. Mam ja towarzysza,  
Zawszy z nim razem odbywamy drogę.

(Ogląda się).

Ach, tu tak ciepło, wygodna zacisza,  
A na podwórzu wichry, gromy, burza sroga!

Mój towarzysz zapewne biedny drży u proga.  
Gdy nas razem wyroki nielitośne pędzą,  
Dobry księże, i jego przyjmij na gospodę.

KSIĄDZ.

Nigdy nie zamykałem drzwi moich przed nędzą.

PUSTELNIK.

Ale stój, stój, mój bracie, ja sam go przywiode.

(Odchodzi).

DZIECIĘ.

Cha cha cha, tato, co się jemu dzieje?

Biega i gada ani to, ni owo.

Jakie dziwaczne ubiory!

KSIĄDZ.

Dzieci, będzie ten płakał, kto się z płaczu śmieje!

Nie śmiejcie się! to człowiek bardzo biedny, chory.

DZIECIĘ.

Chory? a on tak biega, wygląda tak zdrowo!

KSIĄDZ.

Zdrów na twarzy, lecz w sercu głębokie ma rany.

PUSTELNIK, ciągnąc gałąź jedliny.

Chodź, bracie, chodź tu!

KSIĄDZ, do dzieci.

On ma rozum pomieszany.

PUSTELNIK, do jodły.

Chodź, bracie, nie lękaj się dobrego księżyny.

DZIECIĘ.

Tato! ach, patrzaj, co on w ręku niesie;

Jak zbójca z wielką gałęzią jedliny.



PUSTELNIK, do Księdza, ukazując gałąź.  
Pustelnik przyjaciela znajdzie chyba w lesie;  
Może cię zdziwia jego postać?

KSIĄDZ.

Czyja?

PUSTELNIK.

Mojego przyjaciela.

KSIĄDZ.

Jakto? tego kija?

PUSTELNIK.

Niezgrabny, jak mówiłem, wychowany w lesie.  
Przywitaj się!

(Podnosi gałąź).

DZIECI.

Co robisz? co robisz? ach zbójca!  
Pójdź-że precz, rozbójniku, nie zabij nam ojca!

PUSTELNIK.

O prawda, moje dziatki, jest to wielki zbójca!  
Ale on tylko sam siebie rozbija...

KSIĄDZ.

Upamiętaj się, bracie; do czego ta jodła?

PUSTELNIK.

Jodła? — A, ksiądz uczony! O, głowo ty, głowo!  
Przypatrz się lepiej: poznaj gałąź cyprysową;  
To pamiątki rozstania, mego losu godła.

(Bierze książkę).

Weź księgę i odczytaj dzieje zeszłych wieków:  
Dwie były poświęcone krzewiny u Greków;  
Kto kochał, od swój lubej ukochany wzajem,  
Błogo włosy mirtowym przyozdabiał majem.

(Po pauzie).

Jęją ręką ułamana gałąź cyprysowa  
Zawsze mi przypomina ostatnie „bądź zdrowa!”  
Przyjąłem ją, schowałem, dotąd wiernie służy!  
Nieczuła, lepsza od tych niby czułych ludzi.  
Jęją płacz mój nie rozśmiesza i skarga nie nudzi;  
Jedna mi pozostała z przyjaciół tak wielu!  
Wszystkie tajniki serca mojego posiada!  
Jeśli chcesz o mnie wiedzieć, pytaj, przyjacielu:  
Zostawię was sam na sam, niech resztę wygada.

(Do gałęzi).

Powiedz, jak dawno płaczę lubięj straty...  
Dawno to być musiało, przed dawnymi laty!  
Pamiętam, kiedy cyprys przyjąłem z jęją ręki,  
Był to listeczek taki, ot taki maleńki;  
Zaniosłem, posadziłem na piasku, daleko  
I gorącą łez moich polewałem rzeką.  
Patrz, jaka z liścia gałązka urosła,  
Jaka gęsta i wyniosła!  
Kiedy mię boleść ostatnia dotłoczy,  
Nie chcąc na zagniewane poglądać niebios,  
Okryłem mój grobowiec cieniem tych warkoczy.

(Z łagodnym uśmiechem).

Ach, taki właśnie był kolor jęją włosów,

Jak te cyprysu gałązki!

Chcesz? pokażę.

(Szuka i ciągnie od piersi).

Nie mogę odpiąć tęgą zawiązki.

(Coraz z większym sileniem się).

Zawiązka miękka... z warkocza dziewicy...

Lecz skorom tylko położył na łonie,

Opasała mię wkoło nakształt włosienicy,  
Pierś przejada, w ciało tonie,  
Tonie, tonie i wkrótce przetnie mi oddechy!  
Wiele cierpień!—ach, bo też wielkie moje grzechy!

KSIADZ.

Uspokój się, uspokój! przyjm słowo pociechy!  
Ach, tak okropne bole, moje dziecię,  
Za twe na ziemi jakiegokolwiek grzechy,  
Przyjmie w rachunku Bóg na tamtym świecie!

PUSTELNIK.

Grzechy?—i proszę, jakież moje grzechy?  
Czyliż niewinna miłość wiecznej godna męki?  
Ten sam Bóg stworzył miłość, który stworzył wdzięki;  
On dusze obie łańcuchem uroku  
Powiązał na wieki z sobą!  
Wprzód nim je wyjął ze światłości stoku,  
Nim je stworzył i okrył cielesną żałobą,  
Wprzód je powiązał z sobą!  
Teraz, kiedy złych ludzi odłącza nas ręka,  
Rozciąga się ten łańcuch, ale się nie pęka.  
Czucia nasze dzielące uległy przeszkodzie;  
Chociaż nigdy nie mogą napotkać się zblizka,  
Przecież zawždy po jednym biegają obwodzie,  
Łańcuchem od jednego skreślone ogniska.

KSIADZ.

Jeżeli Pan Bóg złączył, ludzie nie rozłączą!  
Może się troski wasze pomyślnie zakończą.

PUSTELNIK.

Chyba tam!... gdy nad podłęb wzbijemy się ciałem,  
Złączy się znowu jedność, dusza z duszą zleje;

Bo tutaj wszelkie dla nas umarły nadzieje,  
Tutaj ja się z mą lubą na wieki rozstałem!

(Po pauzie).

Obraz tego rozstania dotąd w myśli stoi.  
Pamiętam: śród jesieni, przy wieczornym chłodzie,  
Jutro miałem wyjechać, błędę po ogrodzie.  
W rozmyślaniu, w modlitwach szukałem tój zbroi,  
Którąbym odział serce miękkie z przyrodzenia  
I wytrzymał ostatni pocisk jej spojrzenia!  
Błądziłem po zaroślach, gdzie mnie oczy niosą.  
Noc była najpiękniejsza! Pamiętam dziś jeszcze:  
Na kilka godzin pierwej wylały się deszcze;  
Cała ziemia kroplistą połyskała rosą,  
Doliny mgła odziewa, jakby morze śniegu;  
Z tój strony chmura gruba napędzała lawy,  
A z tamtój strony księżyc przezierał bladawy;  
Gwiazdy toną w błękie po nocnym obiegu.  
Spojrzę: jak raz nademną świeci gwiazdka wschodnia;  
O, znam ją odtąd dobrze, witamy się co dnia!  
Spojrzę nadół, na szpaler... patrz, tam przy altanie,  
Ujrzałem ją niespodzianie!

Suknią między ciemnymi bielejąca drzewy,  
Stała w miejscu, grobowej podobna kolumnie.  
Potem biegła, jak lekkie zefiru powiewy,  
Oczy zwrócone w ziemię—nie spojrzała ku mniei!  
A lica jej bardzo blade.  
Nachylałem się, zajrzę z boku  
I dojrzałem łezkę w oku!  
Jutro, rzekłem, jutro jadę!

Bądź zdrow! odpowie zcicha—ledwie posłyszałem,  
Zapomnij!... Ja zapomnę?... O, rozkazać snadno!

Rozkaż luba twym ceniom, niechaj wraz przepadną  
I niech zapomną biegać za twem ciałem!...

Rozkazać snadno!

Zapomnij!!!

(Śpiewa).

Przestań płakać, przestań szlochać,  
Idźmy każdy w swoją drogę:

Ja cię wiecznie będę—

(Urywa śpiewanie).

Wspominać.

(Kiwa głową. Śpiewa).

Ale twoją być nie mogę!

Wspominać tylko?... jutro, jutro jadę!

Chwytam za rączki i na piersi kładę.

(Śpiewa).

Najpiękniejsza, jak aniołek raju, \*)  
Najpiękniejsza ze wszystkich dziewica;  
Wzrok niebieski, jako słońce w maju  
Odstrzelone od modrych wód lica!

Pocałunek jój, ach, nektar boski!  
Jako płomień chwyta się z płomieniem,  
Jak dwóch lutni zlewają się głoski,  
Harmonijnem ożenione brzmieniem.

Serce z sercem zbiega, zlatuje się, ściska,  
Lica, usta, łączą się—drżą, palą,  
Dusza wionie w duszę—niebo, ziemia pryska  
Roztopioną dokoła nas falą!

\*) Z Schillera.

Księżel—O, nie! ty tego nie czujesz obrazu!  
Ty cukrowych ust luběj nie tknąłeś ni razu!  
Niech ludzie świeccy bluźnią, szaleją młokosy:  
Serce two skamieniało na natury głosy.

O, luba! zginałem w niebie,  
Kiedym raz pierwszy pocałował ciebie!

(Śpiewa).

Pocałunek jēj, ach, nektar boski!  
Jako płomień chwyta się z płomieniem,  
Jak dwóch lutni zlewają się głoski,  
Harmonijném ożenione brzmieniem.

(Chwyta dziecię i chce pocałować; dziecię ucieka).

KSIĄDZ.

Czegóż boisz się sobie równego człowieka?

PUSTELNIK.

Przed nieszczęśliwym, ach, wszystko ucieka,  
Jakby przed straszydłem z piekła..  
Ach, tak! i ona przedemną uciekła!  
— Bądź zdrów!— i w długiej ulicy  
Niknie nakształt błyskawicy.

(Do dzieci).

I czegóż ona przedemną uciekła?  
Czylim ją śmiałem przeraził wejrzeniem?  
Czyli słówkiem lub skinieniem?  
Muszę przypomnieć...

(Przypomina).

Tak się w głowie kręci!...  
Nie! nie! ja wszystko widzę, jak na dłoni,  
Nie zgubiłem żadnego wyrazu z pamięci:  
Dwa tylko słowa powiedziałem do niěj.

(Z żalem).

Księżę, dwa tylko słowa:

Jutro! bądź zdrowa!

Bądź zdrów!—Gałązkę odrywa, podaje:

Oto jest, rzekła, co nam tu (na ziemię pokazuje) zostaje!

Bądź zdrów!—i w długiej ulicy

Niknie nakształt błyskawicy!

KSIĄDZ.

Młodzieńcze, ja głęboko czuję, co cię boli!

Lecz słuchaj, są tysiące biedniejszych od ciebie.

Ja sam już nie na jednym płakałem pogrzebie:

Po ojcu i po matce już mówię pacierze,

Dwoje małych dzieciątek aniołkami w niebie,

Ach, i moja współniczka szczęścia i niedoli,

Małżonka moja, którą kochałem tak szczerze!

Ale cóż robić? Pan Bóg daje, Pan Bóg bierze!

Niechaj się dzieje według jego świętej woli.

PUSTELNIK, mocno.

Żona?

KSIĄDZ.

Ach, to wspomnienie serce mi rozdarło!

PUSTELNIK.

Jakto? gdzie się obróćę, wszyscy płaczą żony!

Lecz ja nie winien, twojej nie widziałem żony.

(Spostrzega się).

Słuchaj! przyjmij pociechę, małżonku strapiony:

Żona twoja przed śmiercią już była umarła.

KSIĄDZ.

Jakto?

PUSTELNIK, mocniej.

Gdy na dziewczynę zawołają: żono,  
Już ją żywcem pogrzebiono!  
Wyrzeka się przyjaciół, ojca, matki, brata,  
Nawet... słowem całego wyrzeka się świata,  
Skoro stanęła na cudzym progu!

KSIĄDZ.

Chociaż wyznania twoje mgłą żalu pokrywa,  
Wszakże ta, której płaczesz, jest podobno żywa.

PUSTELNIK, z ironią.

Żywa?... Właśnie jest za co podziękować Bogu!  
Żywa! Jakto? nie wierzysz? Cóż się tobie zdaje?  
Poprzysięgnę, ukłęknię, palce na krzyż złożę:  
Ona umarła i ożyć nie może!...

(Po pauzie, zwolna.)

Ależ bo różne są śmierci rodzaje...

Jedna śmierć jest pospolita:

Śmiercią tą starzec, kobieta,

Dziecię, mąż, słowem tysiące

Ludzi umiera co chwila

I taką śmiercią Maryla,

Którą widziałem na łące...

(Śpiewa).

Tam u Niemnowej odnogi,

Tam u zielonej rozłogi,

Jaki to sterczy kurhanek?

Spodem uwieńczon, jak w wianek,

W maliny, ciernie i głogi.

(Przestaje śpiewać).

Ach, i to jest widok srogi,

Kiedy piękność w życia kwiecie,



Ledwie wschodząca na świecie,  
Żegnać się musi z lubym jeszcze światem!...  
Patrz, patrz! blada na pościeli,  
Jak na obłoczkach mglisty poranek;  
Z płaczem dokoła stanęli  
I smutny ksiądz u łóżka,  
I smutniejsza czeladka,  
I smutniejsza od niej družka,  
I smutniejsza od nich matka,  
I najsmutniejszy kochanek.  
Patrz: uchodzi z lica krasa,  
Wzrok zapada i zagasa,  
Ale jeszcze, jeszcze świeci;  
Usta, gdzie się róża kwieci,  
Wiedną, gubią blask szkarłatu  
I jak z piwonii kwiatu  
Wycięty wązki listeczek,  
Taka siność jęj usteczek.  
Podniosła głowę nad łóżko,  
Rzuciła na nas oczyma,  
Głowa opada na łóżko,  
W twarzyczce bladość opłatka;  
Ręce stygną, a serduszek  
Bije zcicha, bije zrzadka,  
Już stanęło, już jęj niema;  
Oko to, niegdyś podobne słońku...  
Czy widzisz księżę pierścienie?  
Smutna pamiątka została!  
Jak w pierścionku  
Brylant pała,  
Takie jaśniały w oczach płomienie,  
Lecz iskra duszy już się nie pali!

Błyszczą one, jak rdzeni spróchniałej świetelka,  
Jak na gałązkach wody perełka,  
Kiedy ją wichher skryształili...  
Podniosła głowę nad łóżko,  
Rzuciła na nas oczyma;  
Głowa upada na łóżko,  
W twarzyczce bladość opłatka,  
Ręce stygną, a serduszko  
Bije zcicha, bije zrzadka,  
Już stanęło—już jej niema!

DZIECIĘ.

Umarła! ach, jaka szkoda!  
Słuchając, płakałem szczerze.  
Czy to znajoma twoja, czy siostrzyczka młoda?  
Ale nie płacz, niechaj jej wieczny pokój świeci,  
Będziemy za nią codzień mówili pacierze.

PUSTELNIK.

To jedna śmierć, moje dzieci.  
Ale jest straszniejsza druga,  
Bo nie umarza odrazu.  
Powolna, bolesna, długa,  
Śmierć ta dwie społem osoby ugodzi...  
Lecz moje tylko zabija nadzieje,  
Drugiej bynajmniej nie szkodzi.  
Ona żyje, ona chodzi;  
Kilka drobnych łez wyleje;  
Potem w niej czucie rdzewieje  
I została nakształt głazu.  
Ach, dwie osoby uderza odrazu!  
Lecz moje tylko zabiła nadzieje,  
A jej bynajmniej nie szkodzi:

Kwitnie życiem, kwitnie zdrowiem!  
Taką śmiercią umarła—kto? O, nie... nie powiem!  
Nieprawdaż dzieci? straszniejsza daleko,  
Gdy trup z rozwartą, ot tak, powieką.

(Dzieci uciekają).

Jednak umarła!—Kiedy płacząc, ręce łamię.  
Zbiegli się ludzie dokoła,  
Wyciągają długie szyje;  
Jeden mówi, że ja kłamię;  
Drugi potrąca i woła:  
Patrz, szaleńcze, ona żyje!

(Do Księdza).

Nie wierz, choćby ci szyderce  
Po tysiąc razy mówili;  
Słuchaj, co mówi to serce:  
Nie masz, nie masz Maryli!

(Po pauzie).

Jeszcze rodzaj śmierci trzeci:  
Śmierć wieczna, jak pismo mówi.  
Biada, biada człowiekowi,  
Którego ta śmierć zabierze!  
Tą śmiercią może ja umrę, dzieci...  
Ciężkie, ciężkie moje grzechy!

KSIĄDZ.

Przeciwko światu i przeciwko sobie,  
Cięższe twoje, niżeli przeciw Bogu grzechy.  
Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy,  
Ale dla dobra bliźnich swoich, ludzi.  
Jakkolwiek w twardej Bóg doświadcza próbie,  
Zapomnij o swym proszku, zważ na ogrom świata;  
Ta myśl wielka pomniejsze zapały przystudzi.

Sługa Boży pracuje do późnego lata;  
Gnuśnik tylko zawczasu zamyka się w grobie,  
Nim go Pan trąbą straszliwą przebudzi.

(PUSTELNIK zdziwiony).

Księżel!—A to są czary, sztuka niepojęta!

(Na stronie).

Musi posiadać czarodziejskie sztuki,  
Albo też nas podsłuchał i wszystko pamięta.

(Do Księdza).

Wszak ja od niej słyszałem też same nauki...  
Cała rzecz słowo w słowo, jak z ust jej wyjęta,  
Przy owem pożegnaniu, owego wieczora...

(Z ironią).

Właśnie, właśnie to była do kazania pora!  
Słyszałem od niej słówek piękno-brzmiących wiele:  
Ojczyzna i nauki, sława, przyjaciele!  
Lecz teraz groch ten całkiem od ściany odpada;  
Ja sobie spokojnie drzemię.  
Kiedyś duch mój przy wieszczym zapalał się rymie,  
Kiedyś budził mię ze snu tryumf Milcyada.

(Śpiewa).

Młodości! ty nad poziomy  
Wylatuj, a okiem słońca  
Ludzkości całe ogromy  
Przeniknij z końca do końca!

Już technienie jej rozwiało te kształty olbrzymie!...  
Został się lekki cienik, mara blada,  
Drobniuchne żdźbła odłamki,  
Które lada motyl spasa,  
Któreby on amogła wciągnąć z odetchnieniem,

A ona chce budować na tym proszku zamki!  
 Zrobiwszy mnie komarem, chce zmienić w Atlasa,  
 Dźwigającego nieba kamienném ramieniem!  
 Napróżno!—Jedna tylko iskra jest w człowieku,  
 Raz tylko w młodocianym zapala się wieku.  
 Czasem ją oddech Minerwy roznieci:  
 Wtenczas nad ciemne plemiona  
 Powstaje mędrzec i gwiazda Platona  
 W długie wieki wieków świeci.  
 Iskrę tę jeśli duma rozżarzy w pochodnię,  
 Wtenczas zagrzmie bohater, pnie się do szkarłatu  
 Przez wielkie cnoty i przez wielkie zbrodnie  
 I z pastuszego kija robi berło świata,  
 Albo skinieniem oka stare trony wali.

(Po pauzie, zwolna).

Czasem tę iskrę oko niebianki zapali;  
 Wtenczas trawi się w sobie, świeci sama sobie,  
 Jako lampa w rzymskim grobie...

#### KSIĄDZ.

O! nieszczęśliwy zapaleńcze młody!  
 W żalach, które tak mocno zraniona pierś jaką,  
 Że nie jesteś zbrodniarzem, odkrywam dowody,  
 I że piękność, za którą twój się rozum błąka,  
 Nie z samęj tylko powabna urody.  
 Jak z zapalem kochałeś, tak naśladowaj godnie  
 Myślenia i uczucia niebieskiej istoty.  
 Zbrodniarz ją kochający wróciłby do cnoty,  
 A ty, niby cnotliwy, puszczasz się na zbrodnie!  
 Jakakolwiek przeszkoda tutaj was rozdwoi:  
 Idą ku sobie gwiazdy, choć je mgły zaciemią,  
 Mgła zniknie, gwiazda z gwiazdą na wieki się spoi.

Łańcuchy tu wiążące prysną razem z ziemią,  
A tam, nad ziemią, znowu poznają się swoi,  
I namiętność, choć zbytnią, Pan Bóg wam przebaczy.

PUSTELNIK.

Jakto? ty wiesz o wszystkiem?... Co to wszystko znaczy?

(Udaje głos Księdza).

Jęj serce, równie święte, jak powabne lice!  
Łańcuch, który tu wiąże, nad ziemią opadnie!...

Ty wiesz o wszystkiem, ty nas podsłuchałeś zdrańcie  
Wyludziłeś tajemnicę,  
Ukrywaną w sercu na dnie,  
O której przyjaciele nie wiedzą najszczerzi,  
Bo jedną rękę na cyprysu drzewie,  
A drugą kładąc na piersi,  
Zaprzysięgliśmy milczeć i nikt o tem nie wie.

Ale tak, przypominam—tak, jednego razu,  
Kiedy przez czarodziejski pędzla wynalazek  
Odkradzione jęj wdzięki przeniosłem w obrazek,  
Przyjaciołom okazać chciałem cud obrazu.  
Lecz to, co mnie unosi, ich nawet nie ruszy;  
Czułość dla nich zabawą, która nam potrzeba:  
Nie mają oka duszy, nie przejrzą do duszy!  
Zimnym cyrklem chcą mierzyć piękności zalety;  
Jak wilk lub jak astronom patrzą na niebo.  
Inny jest wzrok pasterza, kochanka, poety.

Ach, ja tak ją na martwym ubóstwiam obrazku,  
Że nie śmiem licem skazić jęj bezbronnych ustek,  
I gdy dobranoc daję przy księżycu blasku,  
Albo jeśli w pokoju lampa jeszcze płonie,

Nie śmiem rozkryć mych piersi, z szyi odpiąć chustek,  
Nim ję listkiem cyprysu oczu nie zasłonę!

A moi przyjaciele!—Żałuję pośpiechu...

Jeden, gdy ubóstwienie w oku mojem czyta,  
Ledwie zgryzioną wargą nie upuścił śmiechu  
I rzekł, ziewając: at sobie, kobieta!

Drugi przydał: jesteś dziecko!

Ach, ten to starzec, z swoim przeklętym rozumem,  
Pewnie wydał nas zdradziecko!

(Coraz z większém pomieszaniem).

Opowiedział na rynku, przed dziećmi, przed tłumem,  
A ktoś z tych dziatki albo z gawiedzi,  
Przyszedł i księdzu wyznał na spowiedzi...

(Z największém obłąkaniem).

Możesz ty mnie podstępnie badał na spowiedzi?

KSIĄDZ.

I na cóż nam te zdrady, spowiedź i podstępny?  
Chociaż się dziwnym kłębkim twoja żałość gmatwa,  
Lecz czyj wzrok na bieg czucia nie jest całkiem tępy,  
Temu do wywikłania tajemnica łatwa.

PUSTELNIK.

Prawda! Lecz to są ludzkie własności narowy,  
Że co dzień cały w sercu tkwi boleśnie,  
Na noc przychodzi do głowy.  
Wtenczas człowiek sam nie wie, co rozplecie we śnie.  
Dawno, dawno—raz miałem przypadek ten samy.  
Po pierwszém z nią widzeniu, wróciwszy do domu,  
Poszedłem spać, ni słówka nie mówiąc nikomu.  
Nazajutrz, gdy dzień dobry przyniosłem dla mamy:  
Co to jest, mówi do mnie, żeś taki pobożny?

Modlisz się przez noc całą, wzdychasz nieustannie  
 I litanią mówisz o Najświętszej Pannie?  
 Zrozumiałem i na noc zamknąłem podwoje.  
 Ale teraz nie mogę być równie ostrożny:  
 Nie mam domu; gdzie przyjdę, tam posłanie moje;  
 A często przez sen gadam—w myślach, jak na fali,  
 Ustawna burza, zawieja,  
 Błyśnie i zmierzchnie;  
 Mnóstwo się zarysów skleja,  
 W jakieś tworzydło ocali,  
 I znowu pierzchnie.

Jeden tylko obrazek nazawsze wryty:  
 Czy rzucam się na piasek i patrzę w głęb ziemną,  
 Błyszczący jak księżyc w wodzie odbity;  
 Nie mogę dostać, lecz błyszczący przedemną.  
 Czyli wzrokiem od ziemi strzelę na błękity,  
 Za moim wzrokiem dokoła  
 Płynie i postać anioła,  
 Aż na górne nieba szczyty;  
 Potém, jak orlik na żaglach pierza,

(Patrzac wgórę).

Stanie w chmurze i z wysoka,  
 Nim sam upadnie na zwierza,  
 Już go zabił strzałą oka;  
 Nie wzrusza się i zlekka w jednem miejscu chwieje,  
 Jakby uplątany w sidło,  
 Albo do nieba przybity za skrzydło:  
 Tak właśnie ona nademną jaśnieje!

(Śpiewa).

Czyli słońce świata płonie,  
 Czy noc wciąga szatę ciemną,



Jéj wyglądam, za nią gonię,  
Zawsze przy mnie, lecz nie zemną!

Otóż gdy ona stanie przed memi oczyma,  
A sam jestem na polu, albo w gajów cieniu,  
Napróżno każę milczeć: język nie dotrzyma,  
Przemówię do niej słówko, nazwę po imieniu,  
A zły człowiek podsłucha!—Tak właśnie dziś rano  
Zdradliwie mię podsłuchano.

Ranek był—wraz opiszę. Pamiętam dziś jeszcze:  
Na kilka godzin pierwej wylały się deszcze;  
W dolinach tuman, nakształt pruszącego śniegu,  
A na łąkach zaranna połyska się rosa;  
Gwiazdy w błękit tonały po nocnym obiegu;  
Jedna tylko nademną świeci gwiazda wschodnia,  
Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia  
Tam, przy altanie...

(Spostrzega się).

Cha! cha! pobiegłem z ukosa!  
To nie o tym poranku!—Ha! szał romansowy!  
Przeklęty zawrocie głowy!...

(Po pauzie przypomina).

Był ranek: kiedy dumam, narzekam i jęczę,  
Deszcz lał jak z wiadra, tęgi wichur dmuchał.  
U tuliłem głowę w krzaczek.

(Z łagodnym uśmiechem)

Ten ładaco mnie podsłuchał,  
Lecz nie wiem, czy tylko jęki,  
Czy nawet imię podsłuchał,  
Bo bardzo blisko był krzaczek.

KSIĄDZ.

O biedny, biedny młodzieńcze!  
Co mówisz? kto cię podsłuchał?

PUSTELNIK, poważnie.

Kto?—Oto pewny robaczek maleńki,  
Który pełzał tuż przy głowie,  
Świętojański to robaczek.  
Ach, jakie ludzkie stworzenie!  
Przypełznął do mnie i powie,  
Zapewne mnie chciał pocieszyć:  
Biedny człowieku, poco to jęczenie?  
Ej, dosyć rozpaczą grzeszyć!  
Kto temu winien, że piękna dziewczyna,  
Żeś czuły? Nie twoja wina!  
Patrz, mówił dalej robaczek,  
Na iskry, co ze mnie strzela  
I cały objaśnia krzaczek.  
Zrazu szukałem z niej chluby;  
Teraz widzę, że będzie przyczyną mej zguby  
I zwabi nieprzyjaciela.  
Iluż to braci moich złe jaszczurki spały!  
Kląłem więc ozdobę własną,  
Która na mnie śmierć sprowadza;  
Chcę, żeby te iskry zgasły,  
Ale cóż robić? nie moja w tém władza  
I póki żyję, te iskry nie zgasną.

Po pauzie, pokazując na serce.

Tak, póki żyję, te iskry nie zgasną!

DZIECI.

A posłuchajcie—a jaki cud, jakil!  
Tato, słyszałeś o cudzie?

(Ksiądz odchodzi, ściskając ramionami).

Czy można, żeby robaki  
Rozmawiały tak, jak ludzie?

PUSTELNIK.

Czemuż nie? Chodź tu, malcze, pod kantorek,  
Nachyl się i przyłóż uszko:  
Tu biedna duszka prosi o troje paciorek.  
Aha, słyszysz jak kołata?

DZIECKO.

Tak tak, tak tak—tata, tata!  
A dalibóg że kołata,  
Jak zegarek pod poduszką.  
Co to jest?—ta, ta, tek, ta, tek!

PUSTELNIK.

Mały robaczek, kołatek,  
A niegdyś wielki lichwiarz!

(Do kołatka).

Czego żądasz, duszko?

(Udaje głos).

Proszę o troje paciorek...  
A tuś mi, panie sknero! Znałem się z tym dziadem,  
Był moim blizkim sąsiadem.  
Zakopawszy się do złota,  
Zawaliwszy chatę drągiem,  
Nie dbał, że w progu jęczy wdowa i sierota,  
Nikogo nie obdarzył chlebem, ni szelągim.  
Za życia dusza jego przy pieniądzy worku  
Leżała na dnie w kantorku;  
Zato i teraz po śmierci,  
Nim słuszną karę odbierze w piekle,

Słyszycie, jak gryzie wściekle,  
Jak świdruje i jak wierci?

Przecież, jeśli łaska czyja,  
Mówcie trzy Zdrowaś Marya.

(Ksiądz wchodzi ze szklanką wody).

PUSTELNIK, coraz mocniej pomieszany.  
A co, słyszałeś pisk złego ducha?

KSIĄDZ.

Przebóg! co się tobie plecie?

(Ogląda się).

Nic niema, wszędzie noc głucha!

PUSTELNIK.

Nadstaw tylko lepiej ucha.

(Do Dziecięcia).

Chodź tu, chodź tu, moje dziecię!  
Czy słyszałeś?

DZIECKO.

Prawda, tato,

Coś tam gada.

PUSTELNIK.

Cóż ty na to?

KSIĄDZ.

Pójdźcie spać dzieci; co się wam marzy?

Nic ani szasnie, cicho w około.

PUSTELNIK, do dzieci z uśmiechem.

Niedziw, głosu natury nie dosłyszają starzy.

KSIĄDZ.

Mój bracie, weź wody w dłonie

I zmyj trochę twoje czoło.

Może ten zapal gwałtowny ochłonie.

PUSTELNIK, bierze i myje.

(Tymczasem zegar zaczyna bić; po kilku uderzeniach PUSTELNIK upuszcza wodę i patrzy nieporuszony, poważnie i ponuro).

Oto dziesiąta wybija.

(Kur pieje).

I kur pierwsze daje hasło;

Czas ucieka, życie mija,

(Świeca jedna na stoliku gaśnie).

I pierwsze światło zagasło,

Jeszcze, jeszcze dwie godziny.

(Zaczyna drzeć).

Jak mi zimno!

(Ksiądz tymczasem patrzy zdziwiony nieco na świecę).

Wiatr zimny świszcze przez szczeliny:

Jak tu zimno!

(Idzie do pieca).

Gdzież jestem?...

KSIĄDZ.

W przyjaciela domu.

PUSTELNIK, przytomniej.

Pewnie cię nastraszyłem o niezwykłej porze,  
Do nieznanego miejsca, w dziwacznym ubiorze?  
Musiałem wiele gadać; ach, nie mów nikomu!  
Jestem biedny podróżny, z dalekich stron jadę.

(Ogląda się i przytomniej).

W młodości jeszcze, na środku gościńca,  
Napadł, odarł mię całkiem (z uśmiechem skrzydlaty zło-  
Nie mam sukien: co znajdę, to na siebie kładę. [czyńca.

(Obrywa liście i szaty poprawia, z żalem).

Ach, odarł mię, odebrał wszystkie skarby świata,  
Została jedna przy mnie niewinności szata!

(KSIĄDZ, który ciągle patrzył na świecę, do Pustelnika).  
Uspokój się, dla Boga!

(Do Dzieci).

Kto to zgasił świecę?

PUSTELNIK.

Każdy cud chcesz tłumaczyć; biegaj do rozumu,  
Lecz natura, jak człowiek, ma swe tajemnice,  
Które nietylko chowa przed oczyma tłumu,

(Z zapalem).

Ale żadnemu księdzu i mędrcom nie wyzna!

KSIĄDZ, bierze go za rękę.

Synu mój!

PUSTELNIK, poruszony i zdziwiony.

Synu!... Głos ten, jakby blaskiem gromu,  
Rozum mój z mroczącego wydobywa cienia!

(Wpatrując się).

Tak... poznaję gdzie jestem... w czyim jestem domu...

Tak, tyś mój drogi ojciec, to moja ojczyzna!

Poznaję luby domek!... Jak się wszystko zmienia!

Dziatki urosły, ciebie przyprusza siwizna!

KSIĄDZ, pomieszany bierze świecę, wpatruje się.

Jakto? znasz mię?... To on!... nie... tak!... nie, być nie

[może!

PUSTELNIK.

Gustaw!

KSIĄDZ, upuszcza świecę. Dzieci podejmują, zapalają, stawiają  
na stole.

Gustaw! ty Gustaw! (ścisła). Gustaw! wielki Boże!

Uczeń mój! syn mój!

GUSTAW ścisła, patrząc na zegar.

Ojcze, jeszcze ścisnąć mogę!

Bo potem, wkrótce, zaraz, pójdę w kraj daleki!

Ach, i ty będziesz musiał wybrać się w tę drogę,  
Uściśniemy się wtenczas, ale już na wieki!

KSIĄDZ.

Gustaw! zkąd, kędyś? Przebóg, tak długa wędrówka!  
Gdzieś to bywał dotychczas, przyjacielu młody?  
Nie wiedzieć kędyś zniknął, jakbyś wpadł do wody;  
Literynie napisać, nie nakazać słówka?  
Wszak to lat tyle... Gustaw! cóż się z tobą dzieje?  
Ty, niegdyś w mojej szkole ozdoba młodzieży,  
Na tobie najpiękniejszym zakładał nadzieje...  
Czy można tak się zgubić?... W jakiejże odzieży?...

GUSTAW, z gniewem.

Starcze! A gdy ja zacznę oskarżać nawzajem,  
Przeklinać twe nauki, na sam widok zgrzytać?  
Ty mnie zabiłeś, ty mnie nauczyłeś czytać!  
W pięknych księgach i pięknem przyrodzeniu czytać!  
Ty dla mnie ziemię piekłem zrobiłeś...

(Z żalem i uśmiechem).

I rajem!

(Mocniej i ze wzgardą).

A to jest tylko ziemia!

KSIĄDZ.

Co słyszę? O Chryste!

Ja ciebie chciałem zgubić? Mam sumienie czyste:  
Kochałem cię jak syna!

GUSTAW.

I dlatego właśnie

Daruję ci!

KSIĄDZ.

Ach, o nic nie prosiłem Boga,  
Jak abym cię raz jeszcze przy życiu obaczył

GUSTAW, ściska.

Uściśnijmy się jeszcze,

(Patrzy na świecę).

nim druga zagaśnie.

Pan Bóg do twojej prośby przychylić się raczył.  
Lecz już późno...

(Patrzy na zegar).

a długa do przebycia droga!

KSIĄDZ.

Choć-em mocno ciekawy słyszeć twe przygody,  
Lecz teraz potrzebujesz spoczynku i wczasu;  
Jutro...

GUSTAW.

Dziękuję; przyjąć nie mogę gospody,  
Bo już mi na zapłatę nie staje zapasu.

KSIĄDZ.

Jakto?

GUSTAW.

O tak, przekłęci, którzy nic nie płacą!  
Za wszystko trzeba płacić: lub wzajemną pracę,  
Albo wdzięczném uczuciem, datkiem jednéj łezki,  
Za którą znowu ojciec odpłaci niebieski.  
Ale ja, przebłądziwszy te kraje pamiętek,  
Gdzie tyle łez zabiera każdy znany kątek,  
I resztę uczuć i łzy wylałem ostatnie,  
A nowych długów nie chcę zaciągać bezpłatnie.

(Po pauzie).

Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki...  
Ledwie go poznać mogłem już ledwie ostatki!  
Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie;  
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,  
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła;  
Jak na cmentarzu w północ, milczenie dokoła!



O, inny dawniej bywał przyjazd mój w te bramy!  
Po krótkim oddaleniu gdym wracał do mamy,  
Już mię dobre życzenia spotkały zdaleka;  
Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka;  
Na rynek siostry, bracia wybiegają mali.  
Gustaw! Gustaw! wołają, pojazd zatrzymali,  
Lecą nazad, gościńca wzięwszy po pierogu;  
Mama z błogosławieństwem czeka mię na progu.  
Wrzask spółuczniów, przyjaciół ledwie nie zagłuszy.  
Teraz—pustka, noc, cichość, ani żywej duszy!  
Słyszeć tylko psa hałas i coś naksztalt stuku.  
Ach, tyż to psie nasz wierny, nasz pocziwy Kruku!  
Stróżu i niegdyś całej kochanku rodziny,  
Z licznych sług i przyjaciół tyś został jedyny!  
Choć głodem przemorzony i skurczony laty,  
Pilnujesz wrót bez zamka i bez panów chaty.  
Kruku mój, pójdz tu Kruku!—Bieży, staje, słucha,  
Skacze na piersi, wyje i — pada bez ducha!  
Ujrzałem światło w oknach; wchodzę: cóż się dzieje?  
Z latarnią, z siekierami plądrują złodzieje,  
Burząc do reszty świętej przeszłości ostatki!  
W miejscu, gdzie stało niegdyś łóże mojej matki,  
Złodziej rąbał podłogę i odrywał cegły.  
Schwyliłem, zgniotłem, oczy na łeb mu wybiegły!  
Siadam na ziemi płacząc; w przedporannym mroku,  
Ktoś nasuwa się, kijem podpierając kroku:  
Kobieta w reszcie stroju, schorzała, wybladła,  
Bardziej do czyścowego podobna widziadła.  
Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu,  
Żegnając się i krzycząc ślania się z przestrichu.  
Nie bój się! Pan Bóg z nami! ktoś, moja kochana?  
Czego po domu pustym błąkasz się tak zrana?

„Jestem biedna uboga, ze łzami odpowie,  
W tym domu niegdyś moi mieszkali panowie,  
Dobrzy panowie, niech im wieczny pokój świeci!  
Ale Pan Bóg nie szczęścił dla nich i dla dzieci:  
Pomarli, dom ich pustką, upada i gnije,  
O paniczu nie słychać, pewnie już nie żyje.“  
Krwią mi serce zabiegło, wsparłem się u proga:  
Ach, więc wszystko minęło?...

KSIĄDZ.

Prócz duszy i Boga!  
Wszystko minie na ziemi, szczęście i niedole.

GUSTAW.

Ileż znowu pamiątek w twoim domku, w szkole!  
Tum z dziećmi na dziedzińcu przesypywał piasek,  
Po gniazda ptasze w tamten biegaliśmy lasek,  
Kąpielą była rzeczka u okien ciekąca,  
Po błoniach z studentami graliśmy w zająca.  
Tam do gaju chodziłem w wieczór lub przededniem,  
By odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem,  
Albo oglądać Jana zwycięztwo pod Wiedniem.  
Wnet zwoływałam spółuczniów, szykuję pod lasem:  
Tu krwawe z chmur pohańskich świecą się księżyce;  
Tam Niemców potrwożonych następują rotę;  
Każe wodze ukrócić, w toku złożyć groty,  
Wpadam, a za mną szabel polskich błyskawice!  
Przerzedzają się chmury, wrzask o gwiazdy bije,  
Gradem lecą turbany i obcięte szyje.  
Janczarów zgraja pierzchła, lub do piasku wbita,  
Zrąbaną z koni jazdę rozniosły kopyta.  
Aż pod wał trzebim drogę— ten wzgórek był wałem!

Tam ona wyszła patrzeć na igraszkę dzieci;  
 Tam, gdy ją przy chorągwi proroka ujrzałem,  
 Natychmiast umarł we mnie Godfred i Jan Trzeci.  
 Odtąd wszystkich spraw moich, chęci, myśli panią,  
 Ach, odtąd dla niej tylko, o niej, przed nią, za nią!  
 Jęj pełne dotąd jeszcze wszystkie okolice:  
 Tu poraz pierwszy boskie obaczyłem lice,  
 Tu mnie pierwszój rozmowy uczciła wyrazem,  
 Tutaj, na wzgórkach, Russa czytaliśmy razem;  
 Altankę jęj pod temi uwiązałem chłody,  
 Z tych lasów przynosiłem kwiateczki, jagody,  
 Z tych zdrojów, stojąc przy mnie, wywabiała wędką  
 Srebrno-piórego karpia, pstrąga z krasną cętką,  
 A dziś...

(Płacze).

KSIĄDZ.

Płacz; lecz niestety, boleść przypomnienia  
 Nas samych trawi, a nic wkoło nas nie zmienia!

GUSTAW.

Dzisiaj po latach tylu, po takiej przemianie,  
 Na miejscach najszcześliwszych, w najsmutniejszym  
 [stanie,

Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię,  
 I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,  
 A potem do ojczyzny wróciwszy zdaleka,  
 Ten sam kamień, dla tegoż samego człowieka,  
 Co nim kiedyś jak dziecko igrał przy piastunie,  
 Dziś dla starca zmarłego dał pod głowę w trunie:  
 Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła...  
 Księżę, kamień bez sądu rzuć prosto do piekła!

## KSIADZ.

O! Iza ta nie jest gorzka, gdy w obecne troski  
Przypomnianego szczęścia miesza nektar boski;  
Czułość ją u ludzkości wylewa ołtarza;  
Gorzka truciznę sącą tylko łyzy zbrodniarza.

## GUSTAW.

Słuchaj, powiem coś jeszcze. — Byłem i w ogrodzie,  
Pod tęż porę, w jesieni, przy wieczornym chłodzie,  
Też same cieniowane chmurami niebiosą,  
Tenże bladawy księżyc i kroplista rosa,  
I tuman nakształt zlekka pruszącego śniegu,  
I gwiazdy toną w błękit po nocnym obiegu,  
I taż sama nademną świeci gwiazda wschodnia,  
Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia.  
W tychże miejscach toż samo uczucie paliło:  
Wszystko było jak dawniej, tylko jęj nie było!  
Podchodzę ku altance; jakiś szmer u wniścia:  
To ona? — Nie! to wietrzyk żółkłe strząsał liścia.  
Altano, mego szczęścia kolebko i grobie!  
Tum poznał, tum pożegnał — ach, com uczuł w tobie!  
To miejsce może wczoraj było jęj siedzeniem,  
Ona wczoraj tem samem oddychała tchnieniem!...  
Słucham, oglądam wkoło: próżno wzrok się błąka;  
Małgom tylko ujrzał nad sobą pająka;  
Z listka wisząc, u słaběj kołysał się nici.  
Ja i on równie słabo do świata przybici!  
Oparłem się o drzewo. Wtém, na końcu ławki,  
Widzę bukiety, trawkę, listek pośród trawki,  
Tenże sam listek, listka mojego połowa,

(Dobywa listek).

Który mi przypomina ostatnie: bądź zdrowa!...

To mój dawny przyjaciel! Czulem go powitał,  
Długo z nim rozmawiałem i o wszystkim pytał:  
Jak ona rano wstaje? czem się bawi zrana?  
Jaką piosnkę najczęściej gra u fortepiana?  
Do jakiego wybiega na przechadzkę zdroju?  
W jakim najczęściej lubi bawić się pokoju?  
Czy na moje wspomnienie rumieni się skromnie?  
Czy, sama czasem nie chcąc, nie wspomina o mnie?..  
Lecz co słyszę!—O straszna ciekawości karo!

(Ze złością uderza się w czoło).

Kobietą!

(Śpiewa).

Naprzód...

(Urywa i do dzieci).

Dzieci, znacie piosnkę starą?

(Śpiewa).

Naprzód ciebie wspomina,  
Co chwila, co godzina.

CHÓR DZIECI.

Jakże kocha dziewczyna,  
Co chwila przypomina!

GUSTAW.

Potem po raz co dnia,  
A potem, co tygodnia.

CHÓR DZIECI.

Jakże czuła dziewczyna.  
Co tydzień przypomina.

GUSTAW.

A potem co miesiąca,  
Z początku albo z końca.

CHÓR DZIECI.

Jakże dobra dziewczyna,  
Co miesiąc przypomina!

GUSTAW.

Biegą wody potoku,  
Pamięć nie w naszej mocy:  
Już tylko raz co roku  
Około Wielkiejnocy.

CHÓR DZIECI.

Jaka grzeczna dziewczyna,  
Jeszcze co rok wspomina!

GUSTAW.

Więc (pokazując listek) ostatni przeszłości odrzuciła  
Więc już jej moich nosić niewolno pamiątek! [szczątek!  
Wychodziłem z ogrodu; krok mój własny zdradza,  
Pod pałac niewidoma ciągnęła mój władza.  
Tysiąc ogniów północne rozpędza ciemnoty,  
Słysząc wrzaski pojezdnych i karet turkoty.  
Już jestem blisko ściany; skradam się pomału,  
Weiskam oczy ciekawe w podwoje z kryształu:  
Wszystkie stoły nakryto, wszystkie drzwi przymknięto,  
Muzyka, śpiewy—jakieś obchodzono święto!  
Toast!—słyszałem imię—ach, nie powiem czyje!  
Jakiś głos nieznajomy wykrzyknął: niech żyje!  
Niech żyje! z ust tysiąca zabrzmiały te słowa;  
Tak, niech żyje!... i zcicha przydałem: bądź zdrowa!  
Wtém—o, gdy mój wspomnienia same nie zabiją!  
Ksiądz wyrzekł drugie imię i krzyknął: niech żyją!

(Wpatruje się jakby we drzwi).

Ktoś dziękuje z uśmiechem... znam głos... pewnie ona...  
Nie wiem pewnie... nie mogę widzieć za zwierciadłem.

Wściekłość mię oślepiła, podparłem ramiona,  
Chciałem szyby rozsadzić... i bez duszy padłem...

(Po pauzie).

Myślałem, że bez duszy—tylko bez rozumu!

KSIĄDZ.

Nieszczęsny! dobrowolnych szukałeś męczarni.

GUSTAW.

Jak trup samotny, obok weselnego tłumu,  
Leżałem na zroszoněj gorzkim płaczem darni,  
Sprzecznosc ostatnich w świecie pieszczot i męczarni!  
Przebudzony, ujrzałem krwawy promyk wschodu.  
Czekam chwilę: już nigdzie blasku, ani szumu.  
Ach, ta chwila jak piorun, a jak wieczność długa!  
Na strasznym chyba sądzie taka będzie druga!

(Po pauzie, zwolna).

Wtém— Anioł śmierci wywiódł z rajskiego ogrodu!

KSIĄDZ.

I na cóż ból rozdrażniać w przygojoněj ranie?  
Synu mój, jest to dawna, lecz słuszna przestroga,  
Że kiedy co się stało i już nie odstanie,  
Potrzeba w tём uznawać wolę Pana Boga.

GUSTAW, z żalem.

O, nie! Nas Bóg urządził ku wspólnemu życiu,  
Jednakowa nam gwiazda świeciła w powiciu;  
Równi, choć różnych zdarzeń wykształceni ciekim,  
Postawą sobie blizcy, jednostajni wiekiem,  
Ten sam powab we wszystkiem, toż samo niechcenie,  
Też same w myślach składnie i w czuciach płomienie...  
Gdy nas wszędzie tożsamość łączy niedościgła:  
Bóg osnuł przyszłe węzły, (z żalem największym) a tyś je  
[rozstrzygła.

(Mocniej gniewny).

Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istotol  
Postaci twojej zazdroszczą anieli,  
A duszę gorszą masz, gorszą niżeli...  
Przebóg! tak ciebie oślepiło złoto  
I honorów świecąca bańka, wewnątrz pusta!  
Bodaj!... Niech, czego dotkniesz, przeleje się w złoto;  
Gdzie tylko zwrócisz serce i usta,  
Całuj, ściskaj zimne złoto!  
Ja, gdybym równie był panem wyboru,  
I najcudniejsza postać dziewicza,  
Jakięś Bóg dotąd nie pokazał wzoru,  
Piękniejsza niżli aniołów oblicza,  
Niżli sny moje, niżli poetów zmyślenia,  
Niżli ty nawet—oddam ją za ciebie,  
Za słodycz twego jednego spojrzenia!  
Ach i gdyby w posagu  
Płynęło za nią wszystkie złoto Tagu,  
Gdyby królestwo w niebie,  
Oddałbym ją za ciebie!  
Najmniejszych względów nie zyska odemnie.  
Gdyby za tyle piękności i złota  
Prosiła tylko, ażeby jej luby  
Poświęcił małą częśćkę żywota,  
Którą dla ciebie całkiem poświęca daremnie!  
Gdyby prosiła o rok, o pół roka,  
Gdyby jedna z nią pieszczota,  
Gdyby jedno mgnienie oka:  
Nie chcę! nie! i na takie nie zezwolę ślubyl

(Surowo).

A ty—sercem oziębłem, obojętną twarzą,  
Wyrzekłaś słowo méj zguby!



I zapaliłaś nieczne ogniska,  
Któremi łańcuch, wiążący nas, pryska,  
Które się wiecznëm piekłem między nami żarzą,  
Na moje wieczne męczarnie!  
Zabiłaś mię, zwodnico! Nieba cię ukarzą! -  
Sam ja.. nie puszczę bezkarnie...  
Idę... zadrżycie odmieńce!

(Dobywa sztylet i ze wściekłą ironią).

Błyskotkę niosę dla jasnych panów!  
Ot—tęm wina utoczę na ślubne toasty.  
Ha! wyrodku niewiasty!  
Śmiertelne ścisnę wkoło szyi twojej wieńce!  
Idę jak moję własność do piekła zagrabić,  
Idę — (Wstrzymuje się i zamyśla). O nie, nie — nie! żeby ją  
[zabić,  
Trzeba być trochę więcej, niż pierwszym z szatanów!..  
Precz to żelazo! (chowa). Niech ją własna pamięć goni!

(Ksiądz odchodzi).

Niech ją sumienia sztylety ranią!  
Pójdę, lecz pójdę bez broni,  
Pójdę tylko spojrzeć na nią.  
W salach, gdzie te od złota świecące pijaki  
Przy godowym huczą stole,  
Ja w tęj rozdartěj sukni, z tym liściem na czole,  
Wnijdę i stanę przy stole...  
Zdziwiona zgraja od stołu powstała,  
Przepijają do mnie zdrowiem,  
Proszą mię siedzieć: ja stoję jak skała,  
Ani słowa nie odpowiem.  
Płaczą się skoczne kręgi przy śpiewach i brzęku,

Prosi mię w taniec družba godowa,  
A ja z ręką na piersiach, z listkiem w drugim ręku,  
Nie odpowiem ani słowa!  
Wtém ona z swoim anielskim urokiem:  
Gościu mój, rzecze, pozwól, niech się dowiem  
Zkąd przychodzisz, kto jesteś?—Ja nic nie odpowiem;  
Tylko na nią cisnę okiem,  
Ha! okiem! okiem jadowitěj zmiji!  
Całe piekło z mych piersi przywołam do oka;  
Niech będzie ślepą, martwą, jak opoka;  
Na wskrós okiem przebije!  
Wgryzę się, jak piekielny dym, pod jēj powieki  
I w głowie utkwię na wieki;  
Będę jēj myśli czyste przez cały dzień brudził  
I w nocy ją ze snu budził.

(Powolniej, z czułością).

A ona tak jest czuła, tak łacno dotkliwa,  
Jako na trawce wiosenne puchy,  
Które lada zefiru zwiewają podmuchy  
I lada rosa obrywa...  
Kaźde wzruszenie moje natychmiast ją wzruszy,  
Každy przyostry wyraz zadraśnię;  
Od cienia smutku mego jēj wesołość gaśnie.  
Tak znaliśmy nawzajem czucia wspólnej duszy:  
Co jedno pomyśliło, już drugie odgadło.  
Całą istnością połączeni ścisło,  
Spojrzawszy tylko na twarzy zwierciadło,  
Serca nasze jak w czystym widzieliśmy stoku.  
Jakie tylko uczucie na mych oczach błysło,  
Natychmiast lotem promyka  
Aż do jēj serca przenika

I napowrót błyszczy w oku.

Ach tak! tak ją kochałem!...

Pójdę teraz trwożyć

I na kochanka larwę potępieńca włożyć?...

Poco? czego chcę od niej?—O, zazdrości podła!

I jakież są jej grzechy?

Czyli mię słówkiem dwuznacznem podwiodła?

Czy wabiącemi łowiła uśmiechy,

Albo kłamliwe układała lice?

I gdzież są jej przysięgi, jakie obietnice?

Miałem-że od niej choć przez sen nadzieję?

Nie! nie! Sam urojone żywiłem mamidła,

Sam przyprawilem jady, od których szaleję!

Pocóż ta wściekłość? jakie do niej prawa?

Co za moją wzgardzoną przemawia osobą?

Gdzie wielkie cnoty? świetne czyny? sława?

Nic! nic! — ach, jedną miłość mam za sobą!

Znam to: nigdy śmiałem nie zgrzeszył zapędy;

Nie prosiłem, ażeby była mi wzajemną;

Prosiłem tylko o maleńkie względy,

Tylko żeby była ze mną,

Choćby jak krewna z krewnym, jak siostrzyczka z bra-

Bóg świadkiem, przestałbym na tem!

[tem,

Gdybym mówił: widzę ją, widziałem ją wczora

I jutro widzieć będę;

Z nią z rana, w dzień koło niej, koło niej z wieczora,

Oddam pierwszy dzień dobry, u stołu z nią siędę:

Ach, jak byłbym szczęśliwy!

(Po pauzie),

Zapędzam się marnie!

Ty pod zazdrosnych oczu chytrych żądał strażą;

Ani obaczyć niewolno bezkarnie!  
Pożegnać, porzucić każą...  
Umrzeć!...

(Z żalem).

Kamienni ludzie! wy nie wiecie,  
Jak ciężka śmierć pustelnika!  
Konając, patrzy na świat, sam jeden na świecie;  
Dłoń mu przychylna powiek nie zamyka,  
Żałobne grono łoża nie otoczy,  
Nikt nie pójdzie za trumną do wieczności domu,  
Garsteczki piasku nie rzuci na oczy,  
Zapłakać nie masz komu!

O, gdybym mógł choć przez sen pokazać się tobie!  
Gdybyś, na mojej pamiątkę męki,  
Jeden przynajmniej dzionek chodziła w żałobie,  
Przypięła jedną czarną wstążkę do sukienki!...  
Może spojrzysz ukradkiem—i łezka boleści...  
I pomyślisz, westchnąwszy: ach, on mię tak kochał!...

(Z dziką ironią).

Stój, stój, żalosne pisklę! precz, wrzasku niewieści!,  
Będę, jak dziecko szczęścia, umierając szlochał?  
Wszystko mi, wszystko niebiosy wydarły,  
Lecz reszty dumy nie mogą odebrać!  
Żywy, o nie przed nikim nie umiałem zebrać:  
Zebrać litości nie będę umarły!

(Z determinacją).

Rób co chcesz: jesteś woli swojej pania,  
Zapomnij! ja zapomnę! (pomieszany) wszak już zapomnia-  
[łem ..

(Zamyślony).

Jęć rysy—coraz ciemniej—tak już się zatarły!  
Już ogarniony wieczności otchłanią,  
Doczesnym pogardzam szaleem...

(Pauza).

Ach, wzdycham.—Czegóż wzdycham? Ha, westchnąłem  
Nie, nie mogę zapomnieć o niej i umarły!...      za nią...  
Wszakże ją widzę, wszak tu—o tu stoi,  
Płacze nademną—jaka łezka szczerą!

(Z żalem).

Płacz, moja luba, twój Gustaw umiera!

(Z determinacją).

No, dalej, śmiało Gustawie!

(Podnosi sztylet. Z żalem).

Nie bój się, luba, on się nic nie boi!  
Czego żałujesz? On nic z sobą nie zabiera!  
Tak! Wszystko, wszystko tobie zostawię,  
Zostawię życie, i świat, i rozkosze,

(Z wściekłością).

I twego!... wszystko... o nic, ani lży nie proszę!

(Do Księdza, który wchodzi ze służącymi).

Słuchaj ty!—Jeśli kiedy obaczy...

(Z obłąkaniem i wzmagającą się gwałtownością).

Pewna nadludzka dziewczica-kobieta,  
I jeśli ciebie zapyta  
Z czego umarłem?—Nie mów, że z rozpacz;  
Powiedz, że byłem zawsze rumiany, wesół,  
Żem ani wspomniał nigdy o kochance,

Że sobie grałem w karty, piłem z przyjaciół...  
Że ta pijatyka... tańce...  
Że mi się w tańcu—ot (uderza nogą) skreśliła noga,  
Z tego umarłem...

(Przebija się).

KSIĄDZ.

Jezus, Marya! bój się Boga!

(Chwyta za rękę. Gustaw stoi; zegar zaczyna bić).

GUSTAW, pasując się ze śmiercią, patrzy na zegar.  
Łańcuch szeleści.—Jedenasta wybija!

KSIĄDZ.

Gustawie!

(Kur pieje drugi raz).

GUSTAW.

To drugie hasło!

Czas ucieka, życie mija.

(Zegar kończy bić, świeca druga gaśnie).

I drugie światło zgasło:

Koniec boleści!...

(Dobywa sztylet i chowa).

KSIĄDZ.

Ratujcie, przebóg! może jaka rada!

Ach! już, już kona, wbił do rękojęści,

Padł ofiarą szaleństwa!

GUSTAW, z zimnym uśmiechem.

Przecież nie upadał

KSIĄDZ, chwyta za rękę.

O zbrodniu! Boże odpuść—Gustawie! Gustawie!

GUSTAW.

Zbrodnia taka nie może popełniać się co dzień...

Daj pokój próżnej obawie:

Stało się--osądzono. Tylko dla nauki

Scenę boleści powtórzył zbrodzień.

KSIĄDZ.

Jakto? co to jest?

GUSTAW.

Czary, omamienie, sztuki.

KSIĄDZ.

Ach! włosy mi się jeżą, drżą podemną nogi...

W imię Ojca i Syna! co to wszystko znaczy?

GUSTAW, patrząc na zegar.

Wybiły dwie godziny miłości, rozpacz;

A teraz następuje godzina przestrogi.

KSIĄDZ, chce go sadzać.

Usiądź, połóż się, oddaj zabójcze narzędzie,

Pozwól rany opatrzyć...

GUSTAW.

Daję tobie słowo,

Że aż do dnia sądnego sztylet w pochwach będzie.

O ranach próżna troska: wszak wyglądam zdrowo?

KSIĄDZ.

Jak Bóg na niebie, nie wiem co to...

GUSTAW.

Skutki szalu.

Albo może kuglarstwo.—Są kosztowne bronie,

Których ostrze przenika i aż w duszy tonie,

Przecież widomie nie zaszkodzą ciału.  
Taką bronią po dwakroć zostałem przebity.

(Po pauzie, z uśmiechem).

Taką bronią, za życia, są oczy kobiety,

(Ponuro).

A po śmierci—grzesznika cierpiącego skruczał

KSIĄDZ.

W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha!  
Czego stoisz jak martwy? zaglądasz na stronę?  
Ach, oczy!—przebóg, jakby bielmem powleczone!  
Puls ustał—ręce twoje zimne, jak żelazo!  
Co to wszystko ma znaczyć?

GUSTAW.

O tém inną razą...

Słuchaj, jakie mię na świat zamiary przywiodły.  
Kiedy wchodząc do ciebie stanąłem u progu,  
Pamiętam, że z dziatkami odprawiałeś modły,  
Któreś za dusze zmarłe ofiarował Bogu.

KSIĄDZ, chwyta krucyfiks.

Prawda, zaraz dokończym.

(Ciągnie dzieci do siebie).

GUSTAW.

No, przyznaj się szczerze,  
Czy wierzysz w piekło, w czyściec?

KSIĄDZ.

Ja we wszystko wierzę,  
Cokolwiek w piśmie świętym Chrystus nam ogłasza  
I w co zaleca wierzyć kościół, matka nasza.



GUSTAW.

I w co twoje pobożne wierzyły pradziady.  
Ach! najpiękniejsze święto, bo święto pamiątek!  
Za cóż zniosłeś dotychczas obchodzone Dziady?

KSIĄDZ.

Ta uroczystość ciągnie z pogaństwa początek.  
Kościół mi rozkazuje i nadaje władzę  
Oświecać lud, wytępiać reszty zabobonu.

GUSTAW, pokazując na ziemię.

Jednak proszą przezemnie i ja szczerze radzę:  
Przywróć nam Dziady. Tam, u Wszechmocnego tronu,  
Kędy nasz żywot ścisłe odważają szale,  
Tam większym jest ciężarem łza jednego sługi,  
Którą szczerze wyleje nad tobą u zgonu,  
Niż kłamliwe po drukach rozgłaszane żale,  
Płatny orszak i kirem powleczone cugi.  
Jeśli, żałując śmierci dobrego dziedzica,  
Lud zakupioną świecę stawia mu na grobie,  
W cieniach wieczności jaśniej błyszczy się ta świeca,  
Niż tysiąc lamp w niechętną palonych żałobie.  
Jeśli przyniesie miodu plaster, skromne mleko  
I garścią mąki grobowiec posypie,  
Lepiej posili duszę, o! lepiej daleko,  
Niż krewni modnym balem, wydanym na stypie.

KSIĄDZ.

Ani słowa. Lecz Dziady, te północne schadzki  
Po cerkwiach, pustkach lub ziemnych pieczarach,  
Pelen guślarstwa obrzęd świętekradzki,  
Pospółstwo nasze w grubą utwierdza ciemność;

Ztąd dziwaczne powieści, zabobonów krocie,  
O nocnych duchach, upiorach i czarach.

GUSTAW.

Więc żadnych niema duchów? (z ironią) Świat ten jest  
Żyje, lecz żyje tylko jak kościotrup nagi, [bez duszy?  
Który lekarz tajemną sprężyną rozruszy?  
Albo jest to coś nakształt wielkiego zegaru,  
Który obiega popędem ciężaru?

(Z uśmiechem).

Tylko nie wiecie, kto zawiesił wagi.  
O kołach, o sprężynach rozum was naucza,  
Lecz nie widzicie ręki, ani klucza.  
Gdyby z twych oczu ziemskie odpadło nakrycie,  
Obaczyłbyś niejedno wkoło siebie życie,  
Umarłą bryłę świata pędzące do ruchu!

(Do dzieci, które wchodzą)

Dzieci, chodźcie pod kantorek.

(Do kantorka).

Czego potrzebujesz, duchu?

GŁOS Z KANTORKA.

Proszę o troje paciorek.

KSIĄDZ, przerażony.

W imię Ojca! niech biega, altarystę zbudzi,  
Słowo stało się ciałem!—zawołajcie ludzi!

GUSTAW.

Wstydź się, wstydź się, mój ojcze! Gdzie rozum? gdzie  
Krzyż jest mocniejszy, niżli wszyscy ludzietwoi, [wiara?  
A kto się Boga boi, ten się nic nie boi.

KSIĄDZ.

Mów, czego potrzebujesz? Ach, to upiór! mara!

GUSTAW.

Ja nic nie potrzebuję—jest potrzebnych tylu!

(Łowi koło świecy motyla).

A tuś mi, panie motylu!

(Do Księdza, pokazując motyla).

Ten migający wkoło oomy rój skrzydlaty,  
Za życia gasił każdy promyczek oświaty;  
Za to po strasznym sądzie ciemność ich zagarnie...  
Tymczasem, z potępioną błakając się duszą,  
Chociaż nie lubią światła, w światło lecieć muszą.  
To są dla ciemnych duchów najsroższe męczarnie!  
Patrzaj, ów motyl, strojny barwionemi szaty,  
Był jakiś królik, albo pan bogaty  
I wielkim skrzydeł roztworem  
Zaciemniał miasta, powiaty.  
Ten drugi, mniejszy, czarny i pękaty,  
Był książek głupim cenzorem  
I przelatując sztuk nadobne kwiaty,  
Oczerniał każdą piękność, którą tylko zoczył,  
Każdą słodkość zatrutym wysysał ozorem,  
Albo przebijał do ziemi środka  
I nauk ziarna z samego zarodka  
Gadziny zębem roztoczył.  
Ci znowu, w licznym snujący się gwarze,  
Są dumnych pochlebnie, czernideł pisarze;  
Na jakie pan ich gniewał się zagony,  
Tam przekłeta chmura leci,  
I czy ledwie wschodzące, czy dojrzałe plony,

Jako szarańcza wybija.

Za tych wszystkich, moje dzieci,

Niewarto zmówić i Zdrowaś Marya...

Są inne, słuszněj godne litości istoty,

A między niemi twoi przyjaciele, uczniu,

Których ty wyobraźnią w górne pchnąłeś loty,

Których wrodzony ogień podniecałeś sztucznie...

Jaką żyjąc pokutę mieli za swe winy,

Oznajmiłem; wieczności przestąpiwszy progi,

Życie moje ścisnąłem w krótkie trzy godziny

I znowu wycierpiałem dla twojēj przestrogi.

Im więc nieś ulgę prośbą i mszalną ofiarą!

Dla mnie, oprócz wspomnienia, nic więcej nie proszę.

Za grzech mój życie było dostateczną karą,

A dziś, nie wiem, nagrodę czy pokutę znoszę;

Bo kto na ziemi rajskie doznawał pieszczoty,

Kto znalazł drugą swojēj połowę istoty,

Kto nad świeckiego życia wylatując krańce,

Duszą i sercem gubi się w kochance,

Jěj tylko myślą myśli, jěj o łdycha tchnieniem,

Ten i po śmierci również własną bytność traci

I przyczepiony do luběj postaci,

Jěj tylko staje się cieniem.

Jeśli, żyjąc, świętemu był uległy panu,

Niebieską z nim chwałę dzieli;

Albo ze złym do wiecznēj strącony topieli,

Jest bolesnego współnikiem stanu.

Na szczęście, Bóg mię zrobił poddanym anioła:

Dla niěj i dla mnie przyszłość śmieje się wesoła...

Tymczasem, jak cień błędząc przy kochanych wdzie-

Bywam albo w niebiosach, albo w piekła mękach. [kach,

Gdy ona wspomni, westchnie i łezkę wyleje,

Zbliżam się do usteczek, biały włos rozwieję,  
Zmieszam się z odetchnieniem i przeniknę ciebie  
I jestem w niebie!

Lecz kiedy—o, czujecie, wy, coście kochali,  
Jakim zawiść ogniem pali!...

Długo jeszcze po świecie błąkać się potrzeba,  
Aż ją Bóg w swoje objęcie powoła;

Natenczas, śladem lubego anioła,

Cień mój błędny wkradnie się do nieba.

(Zegar zaczyna bić. Śpiewa).

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,

Że według Bożego rozkazu:

Kto za życia choć raz był w niebie,

Ten po śmierci nie trafi odrazu.

(Zegar kończy bić, kur pieje, lampa przed obrazem gaśnie;  
Gustaw znika).

CHÓR.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,

Że według Bożego rozkazu:

Kto za życia choć raz był w niebie,

Ten po śmierci nie trafi odrazu.

---



# KONRAD WALLENROD.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA. \*)

Dovete adunque sapere come sono  
due generazioni da combattere — biso  
gna essere volpe e leone.

*Macchiavelli.*

BONAWENTURZE I JOANNIE

ZALESKIM,

na pamiątkę lata tysiąc ośmset dwudziestego siódmego,

*podwójna AUTOR.*

\*) Poemat ten, napisany w r. 1825<sup>1/2</sup>, wydrukowany został  
po raz pierwszy w Petersburgu 1828 r.





## PRZEDMOWA.

---

Naród litewski, składający się z pokoleń Litwinów, Prusów i Letów, nieliczny, osiadły w kraju nierozległym, niedosyć żyznym, długo w Europie nieznamy, około trzynastego wieku najazdami sąsiadów wyzwany był do czynniejszego działania. Kiedy Prusowie ulegali orężowi Teutonów, Litwa, wyszedłszy ze swoich lasów i bagnisk, niszczyła mieczem i ogniem okoliczne państwa i stała się wkrótce straszną na północy. Dzieje nie wyjaśniły jeszcze dostatecznie, jakim sposobem naród tak słaby i tak długo obcym hołdujący, mógł odrazu oprzeć się i zagrozić wszystkim swoim nieprzyjaciółom, z jednej strony prowadząc ciągłą i morderczą z Zakonem krzyżowym wojnę, z drugiej łupiąc Polskę, wybierając opłaty u Nowogrodu Wielkiego i zapędzając się aż na brzegi Wołgi i półwysep krymski. Najświetniejsza epoka Litwy przypada na czasy Olgierda i Witolda, których władza rozciągała się od Bałtyckiego do Czarnego morza. Ale to ogromne państwo, zbyt nagle wzrastając, nie zdołało wyrobić

w sobie wewnętrznej siły, któraby różnorodne jego części spajała i ożywiała. Narodowość litewska, rozlana po zbyt obszernych ziemiach, straciła swoją właściwą barwę. Litwini ujarzmili wiele pokoleń ruskich i weszli w stosunki polityczne z Polską. Słowianie, oddawna już chrześcijanie, stali na wyższym stopniu cywilizacyi, a lubo pobici lub zagrożeni od Litwy, powolnym wpływem odzyskali moralną przewagę nad silnym, ale barbarzyńskim ciemniźcielem i pochłonęli go, jak Chiny najeźdźców tatarskich. Jagiellonowie i możniejsi ich wasale stali się Polakami; wielu książąt litewskich na Rusi przyjęło religią, język i narodowość ruską. Tym sposobem wielkie księstwo litewskie przestało być litewskiém; właściwy naród ujrzał się w dawnych swoich granicach, jego mowa przestała być językiem dworu i możnych i zachowała się tylko między pospółstwem. Litwa przedstawia ciekawy widok ludu, który w ogromie swoich zdobyczy zniknął, jak strumyk po zbyt uczynym wylewie opada i płynie węższém niżeli pierwszej korytem.

Kilka już wieków zakrywa wspomniane tu zdarzenia. Zeszły ze sceny życia politycznego i Litwa, i najsroższy jój nieprzyjaciół, Zakon krzyżowy; stosunki narodów sąsiednich zmieniły się zupełnie; interes i namiętności, które zapalały ówczesną wojnę, już wygasły; nawet pamiątek nie ocaliły pieśni gminne. Litwa jest już całkiem w przeszłości: jój dzieje przedstawiają z tego względu szczęśliwy dla poezyi zawód, że poeta, opiewający ówczesne wypadki, samym tylko przedmiotem historycznym, zgłębieniem rzeczy i kunsztowném wydaniem zajmować się musi,

nie przywołując na pomoc interesu, namiętności lub mody czytelników. Takich właśnie przedmiotów kazał poszukiwać Szyller:

„Was unsterblich im Gesang soll leben,  
„Muss im Leben untergehen.“

„Co ma ożyć w pieśni, zagać powinno w rzeczywistości.“

---



## WSTĘP.

---

**S**to lat mijało, jak Zakon krzyżowy  
We krwi pogaństwa północnego brodził;  
Już Prusak szyję uchylił w okowy,  
Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził;  
Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy,  
Więził, mordował, aż do granic Litwy.

Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:  
Po jednej stronie błyszczą świątyń szczyty  
I szumią lasy, pomieszkania bogów,  
Po drugiej stronie, na pagórku wbity  
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,  
Groźne ku Litwie wyciąga ramiona,  
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona  
Chciał z góry objąć i zgarnąć pod siebie.

Z tej strony tłumy litewskiej młodzieży,  
W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,  
Z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów,  
Snują się, śledząc niemieckich obrotów.

Po drugiej stronie, w szyszaku i zbroi,  
Niemiec na koniu nieruchomy stoi;  
Oczy utkwivszy w nieprzyjaciół szaniec,  
Nabija strzelbę i liczy różaniec.

I ci i owi pilnują przeprawy.  
Tak Niemen, dawniej sławny z gościnności  
Łączący bratnich narodów dzierzawy,  
Już teraz dla nich był progiem wieczności  
I nikt, bez straty życia lub swobody,  
Nie mógł przestąpić zakazanej wody.  
Tylko gałązka litewskiego chmielu,  
Wdziękami pruskiej topoli nęcona,  
Pnąc się po wierzbach i po wodnym ziele,  
Śmiała, jak dawniej, wyciąga ramiona  
I rzekę kraśnym przeskakując wiankiem,  
Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.  
Tylko słowiki kowieńskiej dąbrowy,  
Z bracią swoimi zapuszczańskiej góry,  
Wiodą, jak dawniej, litewskie rozmowy,  
Lub, swobodnemi wymknąwszy się pióry,  
Latają w gości na wspólne ostrowy.

A ludzie?—ludzi rozdzieliły boje!  
Dawna Prusaków i Litwy zażyłość  
Poszła w niepamięć; tylko czasem miłość  
I ludzi zbliża... Znałem ludzi dwoje...

O Niemnie! Wkrótce runą do twych brodów  
Śmierć i pożogę niosące szeregi  
I twoje dotąd szanowane brzegi  
Topór z zielonych ogołoci wianków,

Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów;  
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,  
Wszystko rozerwie nienawiść narodów,  
Wszystko rozerwie... Lecz serca kochanków  
Złączą się znowu w pieśniach wajdeloty.

---





I.  
O B I Ó R.

---

Z maryenburskiej wieży zadzwoniono,  
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono:  
Dzień uroczysty w krzyżowym Zakonie.  
Zewsząd komtury do stolicy śpieszą,  
Kędy zebrani w kapituły gronie,  
Wezwawszy Ducha Świętego, uradzą,  
Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą  
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.  
Na radach spłynął dzień jeden i drugi,  
Bo wielu mężów staje do zawodu,  
A wszyscy równie wysokiego rodu  
I wszystkich równe w Zakonie zasługi;  
Dotąd, powszechna między bracią zgoda  
Nad wszystkich wyżej stawia Wallenroda.

On cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,  
Sławą nappełnił zagraniczne domy:  
Czy Maurów ścigał na kastylskich górach,  
Czy Otomana przez morskie odmęty,

W bitwach na czele, pierwszy był na murach,  
Pierwszy zahaczał pohańców okręty  
I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,  
Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,  
Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,  
Pierwsze mu zgodnie ustępując wianki.

Nietylko między krzyżowemi rotą  
Wślawił orężem młodociane lata:  
Zdobia go wielkie chrześcijańskie cnoty,  
Ubóstwo, skromność i pogarda świata.

Konrad nie słynał w przydwornym nacisku  
Gładkością mowy, składnością ukłonów,  
Ani swój broni dla podłego zysku  
Nie sprzedał w służbę niezgodnych baronów.  
Klasztornym murom wiek poświęcił młody,  
Wzgardził oklaski i górne urzędy,  
Nawet zacniejsze i słodsze nagrody,  
Minstrelów hymny i piękności względy,  
Nie przemawiały do zimnego ducha.  
Wallenrod pochwał obojętnie słucha,  
Na kraśne lica pogląda zdaleka,  
Od czarującej rozmowy ucieka.

Czy był nieczułym, dumnym z przyrodzenia,  
Czy stał się z wiekiem, bo choć jeszcze młody,  
Już włos miał siwy i zwiędłe jagody,  
Napiętnowane starością cierpienia—  
Trudno odgadnąć. Zdarzały się chwile,  
W których zabawy młodzieży podzielał,  
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,

Na żarty dworzan żartami odstrzelał  
I sypał damom grzecznych słówek krocie,  
Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie.  
Były to rzadkie chwile zapomnienia  
I wkrótce lada słówko obojętne,  
Które dla drugich nie miało znaczenia,  
W nim obudzało wzruszenia namiętne;  
Słowa: Ojczyzna, powinność, kochanka,  
O krucyatach i o Litwie wzmianka,  
Nagle wesołość Wallenroda truły;  
Słyszając je, znowu odwracał oblicze,  
Znowu na wszystko stawał się nieczuły  
I pogrążał się w dumy tajemnicze.  
Może, wspomniawszy świętość powołania,  
Sam sobie ziemskich słodczy zabrania?  
Jedne znał tylko przyjaźni słodczy,  
Jednego tylko wybrał przyjaciela,  
Świętego cnotą i pobożnym stanem:  
Był to mnich siwy—zwano go Halbanem.  
On Wallenroda samotność podziela,  
On był i duszy jego spowiednikiem,  
On był i serca jego powiernikiem.  
Szczęśliwa przyjaźń! Świętym jest na ziemi,  
Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętymi.

Tak naczelnicy zakonněj obrady,  
Rozpamiętują Konrada przymioty.  
Ale miał wadę, bo któż jest bez wady?  
Konrad światowėj nie lubił pustoty,  
Konrad pijaněj nie dzielił biesiady;  
Wszakże zamknięty w samotnym pokoju,  
Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty,

Szukał pociechy w gorącym napoju  
I wtenczas zdał się wdziawać postać nową,  
Wtenczas twarz jego, bladą i surową,  
Jakiś rumieniec chorowity krasił  
I wielkie, niegdyś błękitne źrenice,  
Które czas nieco skaził i przygasił,  
Ciskały dawnych ogniów błyskawice;  
Z piersi żalosne westchnienie ucieka  
I łzą perłową nabrzmiwa powieka;  
Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją,  
Pieśni nucone cudzoziemską mową,  
Lecz je słuchaczów serca rozumieją.  
Dosyć usłyszeć muzykę grobową,  
Dosyć uważać na śpiewaka postać.  
W licach pamięci widać natężenie,  
Brwi podniesione, pochyłe wejrzenie,  
Chcące z głębin ciemnej coś wydostać.  
Jakiż być może pieśni jego watek?  
Zapewne myślą, w obłądnych pogoniach,  
Ściga swą młodość na przeszłości toniach.  
Gdzież dusza jego?—W krainie pamiątek.

Lecz nigdy ręką, w muzycznym zapędzie,  
Z lutni weselszych tonów nie dobiedzie,  
I lica jego niewinnych uśmiechów  
Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.  
Wszystkie uderza struny po kolei,  
Prócz jednej struny, prócz struny wesela.  
Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,  
Oprócz jednego uczucia—nadziei.

Nieraz go bracia zeszli niespodzianie  
I nadzwyczajnej dziwili się zmianie;

Konrad, zbudzony, zżymał się i gniewał,  
Porzucił lutnię i pieśni nie śpiewał;  
Wymawiał głośno bezbożne wyrazy,  
Coś Halbanowi szeptał pokryjomu,  
Krzyczał na wojska, wydawał rozkazy,  
Strasliwie groził, niewiadomo komu.  
Trwożą się bracia.—Stary Halban siada  
I wzrok zatapia w oblicze Konrada,  
Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,  
Pełen jakowéjs tajemnej wymowy.  
Czy coś wspomina, czyli coś doradza,  
Czy trwogę w sercu Wallenroda budzi,  
Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,  
Oczy przygasza i oblicze studzi.

Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,  
Sprosiwszy pany, damy i rycerze,  
Rozłamię kratę żelaznego dworca,  
Da hasło trąbą; wtém... królewskie zwierzę  
Grzmi z głębi piersi—strach na widzów pada.  
Jeden dozorca kroku nie poruszy,  
Spokojnie ręce na piersiach zakłada  
I lwa potężnie uderzy—oczyma;  
Tym nieśmiertelną talizmanem duszy,  
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

---

## II.

---

Z maryenburskiej wieży zadzwoniono  
Z obradnej sali idą do kaplicy:  
Najpierwszy komtur, wielcy urzędnicy,  
Kapłani, bracia i rycerzy grono.  
Nieszpornych modłów kapituła słucha  
I śpiewa hymny do świętego Ducha.

### H Y M N.

Duchu, światło Boże!  
Gołąbku Syonu!  
Dziś chrześcijański świat, ziemne podnoże  
Twojego tronu  
Widomą oświeć postać  
I roztocz skrzydła nad syońską bracią.  
Z pod twych skrzydeł niech wystrzeli  
Słonecznemi promień blaski  
I kto najświętszej godniejszy łaski,  
Temu niech złotym wieńcem skronie rozweseli,  
A padniem na twarz, syny człowieka,  
Temu, nad kim spoczywa twych skrzydeł opieka:  
Synu Zbawicielu!  
Skinieniem wszechmocnej ręki  
Naznacz, kto z wielu  
Najgodniejszy słynąć  
Świętym znakiem twojej męki,

Płotra mieczem hetmanic żołnierstwu twój wiary  
 I przed oczyma pogaństwa rozwinać  
 Królestwa twego sztandary;  
 A syn ziemi niech czoło i serce uniża  
 Przed tym, na czyich piersiach błysnie gwiazda krzyża.

Po modłach wyszli. Arcykomtur zlecił,  
 Spocząwszy nieco, powracać do choru  
 I znowu błagać, aby Bóg oświecił  
 Kapłanów, braci i mężów obioru.

Wyszli nocnemi orzeźwić się chłody:  
 Jedni zasiedli zamkowy krużganek,  
 Drudzy przechodzą gaje i ogrody.  
 Noc była cicha, majowej pogody,  
 Zdala niepewny wyglądał poranek;  
 Księżyc, obiegłszy błonie szafirowe,  
 Z odmiennem licem, z różnym blaskiem w oku,  
 Drzemiąc to w ciemnym, to w srebrnym obłoku,  
 Zniżał swą cichą i samotną głowę,  
 Jak dumający w pustyni kochanek,  
 Obiegłszy myślą całe życia koło,  
 Wszystkie nadzieje, słodyczne, cierpienia,  
 To lzy wylewa, to spojrzysz wesoło;  
 Wreszcie ku piersiom zmordowane czoło  
 Skłania i wpada w letarg zamyślenia.

Przechadzką inni bawią się rycerze,  
 Lecz arcykomtur chwil darmo nie traci,  
 Zaraz Halbana i celniejszych braci  
 Wzywa do siebie i na stronę bierze,  
 Aby zdaleka od ciekawej rzeszy  
 Zasięgnąć rady, udzielić przestrogi,

Wychodzi z zamku, na równinę śpieszy.  
Tak rozmawiając, nie pilnując drogi,  
Błądzili kilka godzin w okolicy,  
Blisko spokojnych jeziora wybrzeży.  
Już ranek, pora wracać do stolicy;  
Stają: głos jakiś, z kąd?—z narożnej wieży.  
Słuchają pilnie:—to głos pustelnicy.  
W tej wieży dawno, przed laty dziesięciu,  
Jakaś nieznana, pobożna niewiasta,  
Zdała przybywszy do Maryi miasta,  
Czy ją natchnęło niebo w przedsięwzięciu,  
Czy skażonego sumienia wyrzuty  
Pragnąc ukoić balsamem pokuty,  
Pustelniczego szukała ukrycia  
I tu znalazła grobowiec za życia.

Długo nie chcieli zezwalać kapłani,  
Wreszcie stałością prośby przełamani,  
Dali jej w wieży samotne schronienie.  
Ledwie stanęła za święconym progiem,  
Na próg zwałono cegły i kamienie,  
Została sama z myślami i Bogiem  
I bramę, co ją od żyjących dzieli,  
Chyba w dzień sądny odemkną anieli.

U góry małe okienko i krata,  
Kędy pobożny lud słał pożywienie,  
A niebo wietrzyk iienne promienie.  
Biedna grzesznico! Czyż nienawiść świata  
Dotyla umysł skołatała młody,  
Że się obawiasz słońca i pogody?  
Zaledwie w swoim zamknęła się grobie,



Nikt jęj nie widział, przy okienku wieży,  
Przyjmować w usta wiatru oddech świeży,  
Oglądać niebo w pogodnej ozdobie,  
I miłe kwiaty na ziemnym obszarze,  
I stokroć miłsze swoich bliźnich twarze.

Wiedziano tylko, że jest dotąd w życiu,  
Bo nieraz jeszcze świętego pielgrzyma,  
Gdy nocą przy jęj błąka się ukryciu,  
Jakiś dźwięk miły na chwilę zatrzyma.  
Dźwięk to zapewne pobożnej piosenki.  
I z pruskich wiosek, gdy zebrane dzieci  
Igrają w wieczór u blizkiej dąbrowy,  
Natenczas z okna coś białego świeci,  
Jak gdyby promyk wschodzącej jutrzeńki:  
Czy to jęj włosy pukiel bursztynowy,  
Czyli to połysk drobnej, śnieżnej ręki,  
Błogosławiącej niewiniątek głowy?...  
Komtur, tamtędy obróciwszy kroki,  
Słyszy, gdy wieżę narożną pomijał:  
„Tyś Konrad!... Przebóg, spełnione wyroki!  
Ty masz być mistrzem, abyś ich zabijał?..  
Czyż nie poznają?... Ukrywasz daremnie..  
Chociażbyś jak wąż inne przybrał ciało,  
Jeszczeby w twojej duszy pozostało  
Wiele dawnego... wszak zostało we mnie!  
Chociażbyś wrócił po twoim pogrzebie,  
Jeszcze Krzyżacy poznaliby ciebie...“  
Słucha rycerstwo, to głos pustelnicy!  
Spojrzą na kratę, zda się pochyłona,  
Zda się ku ziemi wyciągać ramiona...  
Do kogo?... Pusto w całej okolicy,

Zdaleka tylko jakiś blask uderza,  
Nakształt płomyka stalowój przyłbicy,  
I cień na ziemi... czy to płaszczy rycerza?  
Już znikło... Pewnie złudzenie źrenicy,  
Pewnie jutrzeńki błysnął wzrok rumiany,  
Po ziemi ranne przemknęły tumany.

„Bracia! rzekł Halban, dziękujemy niebiosom,  
Pewnie wyroki niebios nas przywiodły;  
Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom.  
Czy słyszeliście? wieszczba o Konradzie,  
Konrad dzielnego imię Wallenroda!...  
Stójmy, brat bratu niechaj rękę poda;  
Słowo rycerskie: na jutrzejszój radzie  
On mistrzem naszym!...“ „Zgoda, krzykną, zgodą!“

I poszli krzycząc. Długo po dolinie  
Odgłos tryumfu i radości bije:  
„Konrad niech żyje, wielki mistrz niech żyje!  
Niech żyje Zakon, niech pogaństwo zginie!“

Halban pozostał mocno zamyślony;  
Na wołających okiem wzgardy rzucił,  
Spojrzał ku wieży i cichemi tony  
Taką piosenkę, odchodząc, zanucił:

## P I E Ś Ń.

Wilia, naszych strumieni rodzica,  
Dno ma złociste i niebieskie lica;  
Piękna Litwinka, co jęj czerpa wody,  
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Wilia w miłej kowieńskiej dolinie  
Śród tulipanów i narcyzów płynie;  
U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów  
Od róż krasniejszy i od tulipanów.

Wilia gardzi doliny kwiatami,  
Bo szuka Niemna, swego oblubieńca,  
Litwince nudno między Litwinami,  
Bo ukochała cudzego młodzieńca.

Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona,  
Niesie na skały i dzikie przestworza,  
Tuli kochankę do zimnego łona  
I giną razem w głębokościach morza.

I ciebie równie przychodzić oddali  
Z ojczystych dolin, o Litwinko biedna!  
I ty utoniesz w zapomnienia fali,  
Ale smutniejsza... ale sama jedna...

Serce i potok ostrzegać daremnie!  
Dziewica kocha i Wilia bieży;  
Wilia znikła w ukochanym Niemnie,  
Dziewica płacze w pustelniczěj wieży...

---

### III.

---

Gdy mistrz praw świętych ucałował księgi,  
Skończył modlitwę i wziął od komtura  
Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi:  
Wzniósł dumne czoło, chociaż troski chmura  
Ciężyla nad niem, wkoło okiem strzelił,  
W którym się radość napół z gniewem żarzy...  
I, niewidziany gość na jego twarzy,  
Uśmiech przeleciał, słaby i znikomy,  
Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,  
Zwiastując razem wschód słońca i gromy.

Ten zapal mistrza, to groźne oblicze,  
Napełnia serca otuchą, nadzieją;  
Widzą przed sobą bitwy i zdobycze  
I hojnie w myśli krew pogańską leją.  
Takiemu władcy któż dostoi kroku?  
Któż się nie zleknie jego szabli, wzroku?  
Drżycie Litwin! już się chwila zbliża,  
Gdy z murów Wilna błysnie znamię krzyża.

Nadzieje próżne. Cieką dni, tygodnie,  
Upłynął cały długi rok w pokoju,

Litwa zagraża: Wallenrod niegodnie  
 Ani sam walczy, ani szle do boju,  
 A gdy się zbudzi i coś działać zacznie,  
 Stary porządek wywraca opacznie.  
 Woła, że Zakon z świętych wyszedł karbów  
 Że bracia gwałcą przysiężone śluby;  
 Módlmy się, woła, wyrzeczmy się skarbów,  
 Szukajmy w cnotach i pokoju chluby.  
 Narzuca posty, pokuty, ciężary,  
 Uciech, wygodę niewinnęj zaprzecza,  
 Łada grzech ściga najsroźszemi kary  
 Podziemnych lochów, wygnania i miecza.

Tymczasem Litwin, co przed laty zdala  
 Omijał bramy zakonnęj stolicy,  
 Teraz dokoła wsie co noc podpala  
 I lud bezbronny chwyta z okolicy.  
 Pod samym zamkiem dumnie się przechwala,  
 Że idzie na mszę do mistrza kaplicy.  
 Pierwszy raz dzieci z rodziców swych progu  
 Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu

Kiedyż być może czas lepszy do wojny?  
 Litwa szarpana wewnętrzną niezgoda,  
 Ztąd dzielny Rusin, ztąd Lach niespokojny  
 Ztąd krymskie hany lud potężny wiodą.  
 Witold, zepchnięty od Jagielly z tronu,  
 Przyjechał szukać opieki Zakonu,  
 W nagrodę skarby i ziemie przyrzeka  
 I wsparcia dotąd nadaremnie czeka.

Szemrają bracia, gromadzi się rada:  
 Mistrza nie widać. Halban stary bieży,

W zamku, w kaplicy nie znalazł Konrada,  
Gdzież on? Zapewne u narożnej wieży.  
Śledzili bracia nocne jego kroki;  
Wszystkim wiadomo: każdego wieczora,  
Gdy ziemię grubsze osłaniają mroki,  
On idzie błądzić po brzegach jeziora,  
Albo klęczący, przyparty do muru,  
Okryty płaszczem, aż do białej zorzy  
Świeci zdaleka, jak posąg z marmuru  
I przez noc całą sennosć go nie zmorzy.  
Często na cichy odgłos pustelnicy  
Wstaje i ciche daje odpowiedzi;  
Brzmienia ich zdala ucho nie dośledzi,  
Lecz widać z blasku wstrząśnionej przyłbicy,  
Rąk niespokojnych, podniesionej głowy,  
Że jakieś ważne toczą się rozmowy.

#### PIEŚŃ Z WIEŻY.

Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?  
Czy już tak długie przeplakałam lata,  
Czy tyle w piersiach i oczach goryczy,  
Że od mych westchnień pordzewiała krata?  
Gdzie łza upadnie, w zimny głąz przecieka,  
Jak gdyby w serce dobrego człowieka.

Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga:  
Ten ogień żywią pobożne kapłany;  
Jest wieczne źródło na górze Mendoga:  
To źródło żywią śniegi i tumany;  
Nikt moich westchnień i łez nie podsycy,  
A dotąd boli serce i źrenica.

Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,  
Zamek bogaty, kraina wesola,  
Dni bez tęsknoty, nocy bez marzenia,  
Spokojność, nakształt cichego anioła,  
We dnie i w nocy, na polu i w domu  
Strzegła mnie zblizka, chociaż niewidomie.

Trzy piękne córki było nas u matki,  
A mnie najpierwej żądano w zameńcie;  
Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki!  
Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?  
Piękny młodzieńcze! na coś mi powiedział  
✓To, o czem w Litwie nikt pierwej nie wiedział?

O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,  
Kamiennych miastach, kędy wiara święta,  
Gdzie lud w bogatych modli się kościołach  
I kędy dziewic słuchają książęta,  
Waleczni w boju, jak nasi rycerze,  
Czuli w miłości, jak nasi pasterze.

Gdzie człowiek, ziemne złożywszy pokrycie,  
Z duszą ulata po rozkosznem niebie;  
Ach, ja wierzyłam, bo niebieskie życie  
Już przeczuwałam, gdym słuchała ciebie!  
Ach, odtąd marzę, w dobrych i złych losach,  
Tylko o tobie, tylko o niebiosach!

Krzyż na twych piersiach oczy me weselił,  
W nim oglądałam przyszłe szczęścia hasło.  
Niestety! z krzyża gdy piorun wystrzelił,  
Wszystko dokoła ucichło, zagasło!

Nie nie żałuję, choć gorzkie łyzy leję,  
Boś wszystko odjął—zostawił nadzieję.

N a d z i e j ę, cichem powtórzyły echem  
Brzegi jeziora, doliny i knieje.  
Zbudził się Konrad i z dzikim uśmiechem:  
„Gdzież jestem? wołał, tu słyhać—nadzieję!  
Na co te pieśni?—Pomnę twoje szczęście:  
Trzy piękne córki było was u matki,  
Ciebie najpierwej żądano w zameście...  
Biada, o biada wam, nadobne kwiatki!  
Straszliwa żmija wkradła się do sadu,  
A kędy piersią prześliźnie się błędną,  
Usechną trawy i róże uwiedną  
I będą żółte, jako piersi gadu!  
Uciekaj myślą i dui przypominaj,  
Którebyś dotąd pędziła wesoło,  
Gdyby... Ty milczysz?—Śpiewaj i przeklinaj;  
Niechaj łza straszna, co głązy przecieka,  
Nie ginie darmo; zdejmę szyszak z głowy,  
Tu niechaj spadnie, niech mi pali czoło!  
Tu niechaj spadnie, jam cierpieć gotowy,  
Chcę znać zawczasu, co mię w piekle czeka.“

#### GŁOS Z WIEŻY.

„Daruj, mój miły, daruj mi, jam winna.  
Przyszedłeś późno, tęskno było czekać  
I mimowolnie jakaś pieśń dziecinna...  
Precz mi z tą pieśnią!... Miałabym narzekać?  
Z tobą, mój luby, z tobąśmy przeżyli



Znikomą chwilę; lecz tęj jednę chwilę  
 Nie będę mieniać z całą ziemią zgrają  
 Na ciche życie przepędzone w nudzie!  
 Ty sam mówiłeś, że zwyczajni ludzie  
 Są jako konchy, co się w bagnie tają:  
 Ledwie raz na rok, falą nie pogody  
 Wypchnięte, z mętnej pokażą się wody,  
 Otworzą usta, raz westchną ku niebu  
 I znowu wrócą do swego pogrzebu.  
 Nie—jam na takie szczęście nie stworzona!  
 Jeszcze w ojczyźnie ciche pędząc życie,  
 Nieraz w pośrodku towarzyszek grona  
 Za czemś tęskniłam i wzdychałam skrycie  
 I czułam serca niespokojne bicie.  
 Nieraz z poziomęj uciekałam łąki  
 I na najwyższym stanawszy pagórku,  
 Myślałam sobie: gdyby to skowronki  
 Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku,  
 Poszłabym z nimi i tylko z tęgóry  
 Chciałabym jeden mały kwiat uszczyknąć,  
 Kwiat niezabudki, a potem za chmury  
 Lecieć wysoko! wysoko! i—zniknąć..  
 Tyś mię wysłuchał! Ty skrzydły orlemi,  
 Monarcho ptaków, wzniosłeś mię do siebie!  
 Teraz, skowronki, o nic was nie proszę,  
 Bo gdzież ma lecieć, po jakie rozkosze,  
 Kto poznał Boga wielkiego na niebie  
 I kochał męża wielkiego na ziemi?“

KONRAD.

„Wielkość! i znowu wielkość, mój alfie!  
 Wielkość, dla której jęczymy w niedoli!..“

Kilka dni jeszcze niech serce przeboli,  
Kilka dni tylko, już ich tak niewiele...  
Stało się! Próżno po czasie żałować;  
Płaczmy, lecz niechaj drżą nieprzyjaciele,  
Bo Konrad płakał, ażeby mordować.  
Pocoś tu przyszła, poco, moja droga,  
Z klasztornych murów, z świątyni pokoju?  
Jam cię poświęcił na usługi Boga...  
Nie lepiej było w świętych jego murach  
Zdała odemnie płakać i umierać,  
Niż tu, w krainie kłamstwa i rozboju,  
W grobowej wieży, w powolnych torturach  
Konać i oczy samotne otwierać  
I przez niezłomne tej kraty okucia  
Pomocy zebrać?... A ja słuchać muszę,  
Patrząc na długą konania katuszę,  
Stojąc zdaleka, i kląć moją duszę,  
Że w niej są jeszcze ostatki uczucia!“

GŁOS Z WIEŻY.

„Jeśli narzekasz, nie przychodź tu więcej!  
Chociażbyś przyszedł, błagał najgoręcej,  
Już nie usłyszysz! Już okno zamykam:  
Spuszczę się znowu w moją wieżę ciemną,  
Niechaj w milczeniu gorzkie łyżę połykam.  
Bądź zdrow na wieki, bądź zdrow, mój jedyny!  
I niech zaginie pamięć tej godziny,  
W której nie miałeś litości nademną!“

KONRAD.

„Więc ty miej litość! Ty jesteś aniołem!  
Stój! A jeżeli prośba cię nie wstrzyma,

O ten róg wieży uderzę się czołem,  
Będę cię błagał skonaniem Kaima..."

GŁOS Z WIEŻY.

"O, miejmy litość nad sobą samemi!  
Pomnij, mój luby, że jak ten świat wielki,  
Dwoje nas tylko na ogromnej ziemi,  
Na morzach piasku dwie rosy kropelki;  
Że lada wietrzyk, z ziemnego padołu  
Znikniem nazawsze; ach, gińmyż pospołu!  
Nie na to przyszłam, ażeby cię dręczyć:  
Nie chciałam przyjąć święcenia kapłanek,  
Bo niebu serca nie śmiałam zaręczyć,  
Póki w niem ziemski panował kochanek.  
Pragnęłam zostać w klasztorze i skromnie  
Oddać dni moje zakonnic usłudze;  
Lecz tam, bez ciebie, wszystko w około mnie  
Było tak nowe, tak dzikie, tak cudze!...  
Wspomniałam sobie, że po latach wielu  
Miałeś powrócić do Maryi grodu,  
Szukając zemsty na nieprzyjacielu  
I broniąc sprawy biednego narodu...  
Kto czeka, lata myślami ukraca;  
Mówiłam sobie: on już może wraca, \n  
Może już wrócił, czyż niewolno żądać,  
Gdy mam żyjąca zakopać się w grobie,  
Abym cię mogła raz jeszcze oglądać,  
Abym przynajmniej umarła przy tobie?...  
Pójdę więc, rzekłam; w pustelnicznym domku,  
Okolo drogi, na skały ułomku,  
Zamknę się sama: może rycerz jaki  
Koło mój chatki przechodzący blisko,

Wymówi czasem kochanka nazwisko;  
Może pomiędzy obcemi szyszaki  
Ujrzę znak jego; niech odmieni zbroję,  
Niechaj na tarczy obce godła kładnie,  
Niech twarz odmieni... jeszcze serce moje  
Zdaleka nawet kochanka odgadnie.  
I gdy go ciężka powinność przymusza  
Wszystko dokoła wyniszczać i krwawić,  
Wszyscy go przeklną, będzie jedna dusza,  
Co mu zdaleka śmie pobłogosławić!  
Tu mój obrałam domek i grobowiec,  
W cichęj ustroni, kędy świętokradzki  
Mych jęków nie śmie podsłuchać wędrowiec.  
Ty, wiem, że lubisz samotne przechadzki;  
Myślałam sobie: on może z wieczora  
Wybieży zdala od swych towarzyszy,  
Pomówić z wiatrem i z falą jeziora,  
Pomyśli o mnie i głos mój usłyszy.  
Niebo spełniło niewinne życzenia!  
Przyszedłeś, moje zrozumiałeś pienia!  
Dawniej prosiłam, by mię twym obrazem  
Sny pocieszały, choć obraz był niemy:  
Dziś, ile szczęścia! Dziś możemy razem...  
Razem zapłakać..."

KONRAD.

„I cóż wypłaczymy?

Płakałem, pomnisz, kiedy się wydarłem  
Na wieki wieków z twojego objęcia;  
Gdy dobrowolnie dla szczęścia umarłem,  
Ażeby krwawe spełnić przedsięwzięcia.  
Już uwieńczone zbyt długie męczeństwo!

Teraz stanąłem u życzeń mych celu,  
Mogę się zemścić na nieprzyjacielu,  
A ty mi przysłaś wydzierać zwycięstwo!  
Odtąd jak znowu z okna twój wieżycy  
Spojrzałaś na mnie, w całym kręgu świata  
Znowu nic niema dla mojej żrenicy,  
Tylko jezioro, i wieża, i krata...  
Wkoło mnie wszystko wre wojny rozruchem,  
Śród trąb odgłosu, śród oręża szczęku,  
Ja niecierpliwem, wytężonem uchem  
Szukam ust twoich anielskiego dźwięku  
I dzień mój cały jest oczekiwaniem!  
A gdy wieczornęj doczekam się pory,  
Chcę ją przedłużyć rozpamiętywaniem:  
Ja życie moje liczę na wieczory!  
Tymczasem Zakon spoczynkowi łaje,  
O wojnę prosi, własnej żąda zguby,  
I mściwy Halban wytechnać mi nie daje,  
Albo dawniejsze przypomina śluby,  
Wyrżnięte sioła i zniszczone kraje;  
Albo, gdy nie chcę skargi jego słuchać,  
Jednem westchnieniem, skinieniem, oczyma  
Umie przygasła chęć zemsty rozdmuchać.  
Wyrok mój zda się przybliżać do końca,  
Nic już Krzyżaków od wojny nie wstrzyma.  
Wczoraśmy z Rzymu odebrali gońca:  
Z różnych stron świata niezliczone chmury  
Pobożny zapał w pole nagromadził,  
Wszyscy wołają, abym ich prowadził  
Z mieczem i krzyżem na wileńskie mury  
A przecież, wyznam ze wstydem! w tej chwili,  
Kiedy się ważą narodów wyroki,

Myślę o tobie, wynajduję zwłoki,  
Żebyśmy jeszcze dzień jeden przeżyli.  
Młodości! jakże wielkie twe ofiary!  
Jam miłość, szczęście, jam niebo zamłodu  
Umiał poświęcić dla sprawy narodu,  
Z żalem, lecz z mężstwem! a dzisiaj, ja stary,  
Dzisiaj powinność, rozpacz, wola Boża  
Pędzą mię w pole, a ja siwój głowy  
Nie śmiem oderwać od tych ścian podnoża,  
Ażeby twojej nie stracić rozmowy!...”

Umilknął. Z wieży słychać tylko jęki.  
W milczeniu długie przeciekły godziny;  
Noc rozrzedniała i promyk jutrzeński  
Już zarumienił lica cichęj wody;  
Pomiędzy liściem drzemiacęj krzewiny  
Ze szmerem ranne przewiewały chłody;  
Ptaszęta cichem ozwały się pieniem,  
Umilkły znowu i długiem milczeniem  
Znać dają, że się zbudziły zawczasie.  
Konrad powstaje, wzniosł ku wieży czoło,  
Długo na kratę poglądał boleśnie;  
Słowik zanucił. Konrad naokoło  
Spojrzał, już ranek; opuścił przyłbicę,  
W szerokie zwoje płaszcza twarz obwinął,  
Skinieniem ręki żegna pustelnicę  
I w krzakach zginął.

Tak duch piekielny od wrót pustelnika  
Na odgłos dzwonu porannego znika.

---

#### IV.

#### U C Z T A.

---

Był dzień patrona, uroczyste święto.  
Komtury z Braćmi do stolicy jadą;  
Białe chorągwie na wieżach zatknięto:  
Konrad rycerzy ma uczcić biesiadą.

Sto białych płaszców powiewa za stołem,  
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi:  
To byli Bracia; a za nimi kołem  
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

Konrad na czele. Po lewicy tronu  
Wziął miejsce Witold ze swymi hetmany;  
Dawniej był wrogiem, dziś gościem Zakonu,  
Przeciwko Litwie sojuszem związany.

Już mistrz, powstawszy, daje uczty hasło:  
„Cieszymy się w Panu!“ Wnet puhary błysły.  
„Cieszymy się w Panu!“ tysiąc głosów wrzasło,  
Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.

Wallenrod usiadł i na łokciu wsparty,  
Słuchał z pogardą nieprzystojnych gwarów;  
Umilkła wrzawa, ledwie ciche żarty  
Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk puharów.

„Cieszymy się, rzeczce. Cóż to, bracia moi,  
Także rycerzom cieszyć się przystoi?  
Zrazu wrzask pjany, a teraz szmer cichy...  
Mamyż ucztować jak zbójce lub mnichy?

Inne zwyczaje były za mych czasów,  
Kiedy na pełnem trupów bojowisku,  
Śród gór kastylskich, lub finlandzkich lasów,  
Przy obozowem piliśmy ognisku.

Tam były pieśni!... Między waszym gminem  
Czyż niema barda albo menestrela?  
Serce człowieka wino rozwesela,  
Ale piosenka jest dla myśli winem.“

Zarazem różni śpiewacy powstali.  
Tam Włoch otyły słowiczemi tony  
Konrada mężstwo i pobożność chwali;  
Owdzie trubadur, od brzegów Garony,  
Opiewa dzieje miłosnych pasterzy,  
Zaklętych dziewic i błędnych rycerzy.

Wallenrod drzemał; piosenki ustały...  
Nagle, zbudzony przerwany łośkotem,  
Cisnął Włochowi trzos ładowny złotem:  
„Mnie, rzekł, jednemu śpiewałeś pochwały,



Jeden nie może dać innéj nagrody;  
 Weź i pójdź z oczu!—Ów trubadur młody,  
 Który piękności i miłości służy,  
 Niechaj daruje, że w rycerskiém gronie  
 Dziewicy nie masz, coby mu na łonie  
 Wdzięczna przypięła marny kwiatek róży.

„Tu róże zwiędły,.. Innego chcę barda,  
 Zakonnik-rycerz innéj chcę piosenki:  
 Niechaj mi będzie tak dzika i twarda,  
 Jak hałas rogów i oręża szczęki,  
 I tak ponura, jak klasztorne ściany,  
 I tak ognista, jak samotnik pjany.

„Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,  
 Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,  
 Niechaj rozczuła i gniewa—i nudzi;  
 I znowu niechaj znudzonych przestrasza.  
 Takie jest życie, taka piosnka nasza!  
 Kto ją zaśpiewa, kto?“

„Ja“ odpowiedział  
 Sędziwy starzec, który u podwojów  
 Między giermkami i paziami siedział.  
 Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów,  
 Brodę miał gęstą, wiekiem ubieloną,  
 Głowę obwiewa ostatek siwizny,  
 Czoło i oczy zakryte zasłoną,  
 W twarzy wyryte lat i cierpień blizny.

W prawicy starą lutnię pruską nosił,  
 A lewą rękę wyciągnął do stoła

I tém skinieniem posłuchania prosił,  
Ucichli wszyscy.

„Ja śpiewam, zawoła.  
Dawniej Prusakom i Litwie śpiewałem;  
Dziś jedni legli w ojczyzny obronie,  
Drudzy, żyć nie chcąc po ojczyzny zgonie,  
Dobić się wolą nad jej martwem ciałem;  
Jak sługi, wierne w dobrym i złym losie,  
Giną na swego dobroczyńcy stosie.  
Inni sromotnie po lasach się kryją,  
Inni—jak Witołd, między wami żyją.

„Ale po śmierci... Niemcy, wy to wiecie,  
Sami spytajcie niecných zdrajców kraju,  
Co oni poczną, gdy na tamtym świecie  
Wskazani wiecznym ogniom na pożarcie,  
Zechcą swych przodków wywoływać z raju?  
Jakim językiem poproszą o wsparcie?  
Czy w ich niemieckiej, barbarzyńskiej mowie  
Głos dzieci swoich uznają przodkowie?

„O dzieci, jaka Litwinom sromota!  
Żaden mi, żaden nie przyniósł obrony,  
Gdy od ołtarza, stary wajdelota,  
Byłem w niemieckich kajdanach wleczony...  
Samotny, w obcej ziemi zestarzałem;  
Śpiewak, niestety! śpiewać nie mam komu;  
Na Litwę patrząc, oczy wypłakałem...  
Dzisiaj, jeżeli chcę westchnąć do domu,  
Nie wiem, gdzie leży mój dom ulubiony,  
Czy tam, czy owdzie, czyli z tamtej strony...

„Tu tylko w sercu, tu się ochroniło,  
Co w mej ojczyźnie najlepszego było...  
I te ubogie dawnych skarbów szczątki  
Weźcie mi, Niemcy... weźcie mi pamiątki!

„Jak zwyciężony rycerz na igrzysku  
Zachowa życie, ale cześć utracą,  
I dni wzgardzone wlekąc w pośmiewisku,  
Znowu do swego zwycięzcy powraca,  
I raz ostatni wyężdżając ramię,  
Broń swą pod jego stopami rozłamie:  
Tak mię ostatnia natchnęła ochota,  
Jeszcze do lutni ośmieliłem rękę.  
Niech wam ostatni w Litwie wajdelota  
Nuci ostatnią litewską piosenkę.“

Skończył i czekał mistrza odpowiedzi.  
Czekają wszyscy w milczeniu głębokiem.  
Konrad badawczem i szyderczem okiem  
Witołda liców i poruszeń śledzi.

Postrzegli wszyscy, kiedy wajdelota  
Mówił o zdrajcach, jak się Witołd mienił,  
Zsiniał, pobladnął, znowu się czerwienił;  
Dręczy go równie i gniew i sromota;  
Nakoniec, szablę ściskając u boku,  
Idzie, zdziwioną gromadę roztrąca,  
Spojrzał na starca, zahamował kroku  
I chmura gniewu nad czołem wisząca  
Opadła nagle w bystrym łez potoku.  
Powrócił, usiadł, płaszczem twarz zasłania  
I w tajemnicze utonął dumania.

A Niemcy zcicha: „Czyliż do biesiady  
Przypuszczać mamy żebrające dziady?  
Kto słucha pieśni i kto je rozumie?“  
Takie odgłosy w biesiadniczym tłumie  
Coraz żywszemi przerywano śmiechy;  
Paziowie krzyczą, świstając w orzechy:  
„Oto jest nuta litewskiego śpiewu!“

Wtém Konrad powstał: „Waleczni rycerze!  
Dziś Zakon, wedle starego zwyczaju,  
Od miast i książąt podarunki bierze,  
Jak winne hołdy z podległego kraju.  
Żebrok wam piosnkę przynosi w ofierze;  
Złożenia hołdu nie brońmy starcowi,  
Weźmijmy piosnkę... będzie to grosz wdowi.

„Pośród nas widzimy księżęcia Litwinów,  
Gośćmi Zakonu są jego wodzowie;  
Miło im będzie pamięć dawnych czynów  
Słyszeć, w ojczystej odświeżoną mowie.  
Kto nie rozumie, niechaj się oddali.  
Ja... czasem lubię te posępne jęki  
Nierozumiałej litewskiej piosenki,  
Jak lubię łoskot rozhukanej fali,  
Albo szmer cichy wiosennego deszczu,  
Przy nich spać miło... Śpiewaj, stary wieszczu.“

## PIEŚŃ WAJDELOTY.

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,  
Jej przyjdzie wieszczka odgadnie żrenica;

Bo jeśli słuszną wajdelotom wierzyć,  
Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach  
Staje widomie morowa dziewczica,  
W bieliźnie, z wiankiem ognistym na skroniach,  
Czołem przenosi białowieskie drzewa,  
A w rękę chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,  
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,  
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.

Dziewica stąpa kroki złowieszczemi,  
Na sioła, zamki i bogate miasta,  
A ile razy krwawą chustką skinie,  
Tyle pałaców zmienia się w pustynie;  
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Zgubne zjawisko!... Ale więcej zguby  
Wróżył Litwinom od niemieckiej strony  
Szyszak błyszczący, ze strusiami czuby,  
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,  
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:  
Cała kraina w mogiłę zapadła!  
Ach! kto litewską duszę mógł ochronić,  
Pójdź do mnie, siądzem na grobie narodów,  
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić...

O wieści gminna! Ty arko przymierza  
Między dawnymi i młodszymi laty!

W tobie lud składa broń swego rycerza,  
Swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty!

Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,  
Póki cię własny twój lud nie znieważy;  
O pieśni gminna, ty stoisz na straży  
Narodowego pamiątek kościoła,  
Z archanielskimi skrzydłami i głosem...  
Ty czasem dzierzysz i miecz archaniola...

Płomień rozgryzie malowane dzieje,  
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:  
Pieśń ujdzie cało! Tłum ludzi obiega,  
A jeśli podłe dusze nie umieją  
Karmić jej żalem i poić nadzieją,  
Ucieka w góry, do gruzów przylega  
I ztamtąd dawne opowiada czasy...  
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu  
Wyleci, chwilę przysiadzie na dachu;  
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy  
I grzmiącą piersią nad zgliszcza i groby  
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.

Słuchałem piosnek. Nieraz kmieć stuletni,  
Trącając kości żelazem oraczem,  
Stanął i zagrał na wierzbowej fletni  
Pacierz umarłych; lub rymownym płaczem  
Was głosił, wielcy ojcowie—bezdzieln...  
Echa mu wtórzą. Ja słuchałem zdala.  
Tęm mocniej widok i piosnka rozżala,  
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła  
 Umarłą przeszłość trąba archanioła,  
 Tak na dźwięk pieśni kości z pod mej stopy  
 W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.  
 Z gruzów powstają kolumny i stropy,  
 Jeziora puste brzmią licznymi wiosły,  
 I widać zamków otwarte podwoje,  
 Korony książąt, wojowników zbroje...  
 Śpiewają wieszczę, tańczy dziewic grono...  
 Marzyłem cudnie... srodze mnie zbudzono!

Zniknęły lasy i ojczyste góry!  
 Myśl, znużonemi ulatując pióry,  
 Spada, w domową tuli się zaciszę,  
 Lutnia umilkła w otrętwiałem ręku;  
 Śród żałosnego spółrodaków jęku  
 Często przeszłości głosu nie dosłyszę;  
 Lecz dotąd iskry młodego zapалу  
 Tlą w głębi piersi; nieraz ogień wzniecą,  
 Duszę ożywią i pamięć oświecą.  
 Ramieć naówczas, jak lampa z kryształu,  
 Ubrana pędzlem w malowne obrazy,  
 Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,  
 Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,  
 Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,  
 Jeszcze na ścianach pałacu roztoczy  
 Kraśne, acz nieco przyćmione kobierce.

Gdybym był zdolny własne ognie przelać  
 W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci  
 Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać  
 Brzmiącemi słowy do serca spółbraci:

Możeby jeszcze w tój jedynėj chwili,  
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,  
Uczuli w sobie dawne serca bicie,  
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy  
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,  
Jak ich przodkowie... niegdyś całe życie.

Lecz poco zbiegłe wywoływać wieki?  
I swoich czasów śpiewak nie obwini,  
Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki...  
O nim zaśpiewam: uczcie się, Litwini!”

Umilknał starzec i dokoła słucha,  
Czy Niemcy dalej pozwolą mu śpiewać.  
W sali dokoła była cichość głucha,  
Ta zwykła wieszczów nanowo zagrzewać.  
Zaczął więc piosnkę, ale innėj treści,  
Bo głos na spadki wolniejsze rozmierzał,  
Po strunach słabiej i rzadziej uderzał  
I z hymnu zstąpił do prostėj powieści.

## POWIEŚĆ WAJDELOTY.

Zkąd Litwini wracali? Z nocnej wracali wycieczki;  
Wieźli łupy bogate, w zamkach i cerkwiach zdobyte.  
Tłumy brańców niemieckich, z powiązanemi rękami,  
Ze stryczkami na szyjach, biega przy koniach zwycięzców,  
Poglądają ku Prusom—i zalewają się łzami,  
Poglądają na Kowno—i polecają się Bogu.  
W mieście Kownie pośrodku ciągnie się błonie Peruna,  
Tam książęta litewscy, gdy po zwycięztwie wracają,  
Zwykli rycerzy niemieckich palić na stosie ofiarnym.  
Dwaj rycerze pojmani jadą bez trwogi do Kowna:



Jeden młody i piękny, drugi latami schylony.  
 Oni sami wśród bitwy, hufce niemieckie rzuciwszy,  
 Między Litwinów uciekli; książę Kiejstut ich przyjął,  
 Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził.  
 Pyta z jakiej krainy, w jakich zamiarach przybyli.  
 „Nie wiem, rzecze młodzieniec, jaki mój ród i nazwisko,  
 Bo dziecięciem od Niemców byłem w niewolę schwytany.  
 Pomnę tylko, że kiedyś w Litwie wśród miasta wielkiego  
 Stał dom moich rodziców. Było to miasto drewniane,  
 Na pagórkach wyniosłych; dom był z cegły czerwonej.  
 Wkoło pagórków na błoniach puszcza szumiała jodłowa,  
 Środkiem lasów daleko białe błyszczało jezioro.  
 Razu jednego, w nocy, wrzask nas ze snu przebudził,  
 Dzień ognisty zaświtał w okna, trzaskały się szyby,  
 Kłęby dymu buchnęły po gmachu; wybiegliśmy w bramę,  
 Płomień wiał po ulicach, iskry sypały się gradem;  
 Krzyk okropny: do broni! Niemcy są w mieście, do broni!...  
 Ojciec wypadł z orężem, wypadł i więcej nie wrócił.  
 Niemcy wpadli do domu. Jeden wypuścił się za mną,  
 Zgonił, porwał mię na kon. Nie wiem co stało się dalej,  
 Tylko krzyk mojej matki, długo, długo słyszałem  
 Pośród szczęku oręża, domów runących łoskotu.  
 Krzyk ten ścigał mię długo, krzyk ten pozostał w mem uchu.  
 Teraz jeszcze, gdy widzę pożar i słyszę wołania,  
 Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w jaskini  
 Za odgłosem piorunu.—Oto jest wszystko co z Litwy,  
 Co od rodziców wywiozłem. W sennych niekiedy marzeniach  
 Widzę postać szanowną matki i ojca i braci,  
 Ale coraz to dalej jakaś mgła tajemnicza,  
 Coraz grubsza i coraz ciemniej zastania ich rysy.  
 Lata dzieciństwa płynęły, żyłem wśród Niemców jak Niemiec,  
 Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przydano.  
 Imię było niemieckie, dusza litewska została,  
 Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nienawiść.  
 Winrych, mistrz krzyżacki, chował mię w swoim pałacu,  
 On sam do chrztu mię trzymał, kochał i pieścił jak syna.  
 Jam się nudził w pałacach, z kolan Winrycha uciekał  
 Do wajdeloty starego. Wówczas, pomiędzy Niemcami,

Był wajdelota litewski, wzięty w niewolę przed laty,  
 Służył tłumaczem wojsku. Ten, gdy się o mnie dowiedział,  
 Żem sierota i Litwin, często mię wabił do siebie,  
 Rozповідаł o Litwie, duszę stęsknioną otrzeźwiał  
 Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystej i pieśnią.  
 On mnie często ku brzegom Niemna sinego prowadził,  
 Ztamtąd lubiłem na miłe góry ojczyste poglądać;  
 Gdyśmy do zamku wracali, starzec łąy mi ocierał,  
 Aby nie wzbudzić podejrzeń, łąy mi ocierał, a zemstę  
 Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę, jak w zamek wróciwszy,  
 Nóż ostrzyłem tajemnie, z jaką zemsty rozkoszą  
 Rznąłem kobierce Winrycha, lub kaleczyłem zwierciadła,  
 Na tarcz jego błyszczącą piasek miotałem i plwałem.  
 Potem, w latach młodzięcych, częstośmy z portu Kłajpedy  
 W łódkę ze starcem siadali, brzegi litewskie odwiedzać.  
 Rwałem kwiaty ojczyste, a czarodziejska ich wonia  
 Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne wspomnienia.  
 Upojony tą wonią, zdało się, że dziecinniałem,  
 Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem małymi.  
 Starzec pomagał pamięci... on piękniejszymi słowami,  
 Niżli zioła i kwiaty, przeszłość szczęśliwą malował.  
 Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i krewnych  
 Pędzić chwile młodości; ileż to dzieci litewskich  
 Szczęścia takiego nie znają, płacząc w kajdanach Zakonu!  
 To słyszałem na błoniach; lecz na wybrzeżach Połagi,  
 Gdzie grzmiącemi piersiami białe roztrąca się morze  
 I z pianistej gardzieli piasku strumienie wylewa:  
 Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnej kobierce?  
 Już je piasek obleciał. Widzisz te zioła pachnące?  
 Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie;  
 Ach, daremnie! Bo nowa żwiru nasuwa się hydra.  
 Białe płetwy roztacza, łądy żyjące podbija  
 I rozciąga dokoła dzikięj królestwo pustyni...  
 Synu! plony wiosenne żywo do grobu wtrącone,  
 To są ludy podbite, bracia to nasi, Litwini!  
 Synu! piaski z za morza burzą pędzone, to Zakon!  
 Serce bolało słuchając. Chciałem mordować Krzyżaków,  
 Albo do Litwy nieiekać, starzec hamował zapędy.

Wolnym rycerzom, powiadał, wolno wybierać oręż  
I na polu otwartém bić się równemi siłami.  
Tyś niewolnik: jedyna broń niewolników jest zdrada.  
Zostań jeszcze i przejmij sztuki wojenne od Niemców,  
Staraj się zyskać ich ufność. Dalej obaczmy co począć...  
Byłem posłuszny starcowi, siedłem z wojskami Teutonów.  
Ale w pierwszej potyczce, ledwiem obaczył chorągwie,  
Ledwiem narodu mego pieśni wojenne usłyszał,  
Poskoczyłem ku naszym—starca za sobą przywodzię.  
Jako sokół wydarty z gniazda i w klatce żywiony,  
Choć srogiemi mękami łowcy odbiorą mu rozum  
I puszczają, ażeby braci sokołów wojował,  
Skoro wzniesie się w chmury, ekoro pociągnie oczyma  
Po niezmiernych obszarach swojej błękitnej ojczyzny,  
Wolnëm odetchnie powietrzem, szelest swych skrzydeł usłyszy...  
Pójdź myśliwce do domu, z klatką nie czekaj sokoła.

Skończył młodzieniec, a Kiejstut słuchał ciekawie—słuchała  
Córa Kiejstuta Aldona, młoda i piękna jak bóstwo.  
Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie wieczory;  
Kiejstutówna, jak zwykle, w sióstr i rówiennic orszaku  
Za krośnami usiada, albo się bawi przedziwem;  
A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrzeciona,  
Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich  
I o swojej młodości. Wszystko co Walter powiadał,  
Łowi uchem dziewica, myślą łakomą połyka,  
Wszystko umie na pamięć, nieraz i we śnie powtarza.  
Walter mówił, jak wielkie zamki, miasta za Niemnem,  
Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,  
Jak na gonitwach waleczni kopie kruszą rycerze,  
A dziewice z krużganków patrzą i wieńce przyznają.  
Walter mówił o wielkim Bogu, co włada za Niemnem,  
I o Niepokalaněj Syna Bożego Rodzicy,  
Któręj postać anielską w cudnym pokazał obrazku.  
Ten obrazek młodzieniec nosił pobożnie na piersiach;  
Dziś Litwince darował, gdy ją do wiary nawracał,  
Gdy pacierze z nią mówił; chciał wszystkiego nauczyć,  
Co sam umiał; niestety, on ją i tego uuczył,

Czego dotąd nie umiał: on nauczył ją kochać.  
I sam uczył się wiele. Z jakim rozkosznym wzruszeniem  
Słyszał z ust jej litewskie, już zapomniane wyrazy!  
Z każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się nowe uczucie,  
Jako iskra z popiołu: były to słodkie imiona  
Pokrewieństwa, przyjaźni, słodkiej przyjaźni, i jeszcze  
Słodszy wyraz nad wszystko, wyraz miłości, któremu  
Nie masz równego na ziemi, oprócz wyrazu... Ojczyzna.

Zkądże, pomyślał Kiejstut, nagle w mej córce odmiana?  
Gdzie jej dawna wesołość, gdzie jej dziecinne rozrywki?  
W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się tańcem:  
Ona siedzi samotna, albo z Walterem rozmawia.  
W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub krośną:  
Jej z rąk igła wypada, nici płatają się w krośnach,  
Sama nie widzi co robi, wszyscy mi to powiadają.  
Wczoraj postrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono,  
A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem.  
Jakże mogłaby widzieć, kiedy jej oczy i myśli  
Tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają?  
Ile razy zapytam, gdzie ona poszła? w dolinę;  
Zkąd powraca? z doliny; cóż w tej dolinie? młodzieniec  
Ogród dla niej zasadził. Jest-że ten ogród piękniejszy  
Niżli me sady zamkowe (pyszne Kiejstut miał sady,  
Pełne jabłek i gruszek, dziewic kowieńskich pełną).  
Nie ogródek to wabi. Zimą widziałem jej okna;  
Cała szyba tych okien, co obrócone do Niemna,  
Czysta jakby śród maja, lód nie zaciemnił kryształu.  
Walter chodzi tamtędy, pewnie siedziała u okna  
I gorącym westchnieniem lody na szybach stopiła.  
Ja myślałem, że on ją czytać i pisać nauczy,  
Słyszac, że wszyscy książęta dzieci swe uczyć zaczęli;  
Chłopiec dobry, waleczny, jak ksiądz w pismach ćwiczony;  
Mamże go z domu wypędzić? On tak potrzebny dla Litwy!  
Hufce najlepiej szykuje, sypie najlepiej okopy,  
Broń piorunową urządza, jeden mi staje za wojsko...  
Pójdź, Walterze, bądź zięciem moim i bij się za Litwę!

Walter pojął Aldonę. Niemcy, wy pewnie myślicie,  
 że tu koniec powieści; w waszych miłosnych romansach,  
 Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę,  
 Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi...  
 Walter kochał swą żonę, lecz miał duszę szlachetną;  
 Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie.

! Ledwie śniegi ponikły, pierwszy zanucił skowronek..  
 Innym krajom skowronek miłość i rozkosz obwieszcza,  
 Biednej Litwie co roku wróży pożary i rzezie.  
 Ciągną szeregi krzyżowe niezliczonymi tłumami;  
 Już od gór zaniemieńskich echo do Kowna zanosi  
 Wojska mnogiego hałasy, chrzęst zbroi, rżenia rumaków.  
 Jak mgła spuszcza się obóz, błonia szeroko zalega,  
 Tu i owdzie migocą straży naczelnych proporce,  
 Jak łyskania przed burzą. Niemcy stanęli na brzegu,  
 Mosty po Niemnie rzucili, Kowno dokoła oblegli.  
 Dzień w dzień od taranów wałą się mury i baszty,  
 Noc w noc miny burzące kopią się w ziemi jak krety,  
 Pod niebiosami ognistym wznosi się bomba polotem,  
 I jak sokół na ptaki zgóry na dachy uderza.  
 Kowno w gruzy runęło. Litwin do Kiejdan uchodzi:  
 W gruzach runęły Kiejdany, Litwa po górach i lasach  
 Broni się. Niemcy dalej ciągną, plądrując i paląc.  
 Kiejstut z Walterem pierwsi w bitwach, ostatni w odwrocie.  
 Kiejstut zawsze spokojny: od dzieciństwa przywyknął  
 Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, uciekać;  
 Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niemcami walczyli,  
 Idąc w ślady swych przodków, bił się i nie dbał o przyszłość.  
 Inne były Waltera myśli: chowany wśród Niemców,  
 Znał potęgę Zakonu, wiedział, że mistrza wezwanie  
 Z całej Europy wyciąga skarby, oręż i wojska.  
 Prusy broniły się niegdyś, starły Prusaków Teutony;  
 Litwa pierwiej czy później równiej ulegnie kolei;  
 Widział niedolę Prusaków, drżał nad przyszłością Litwinów.  
 „Synu! Kiejstut zawoła, zgubnym ty jesteś prorokiem;  
 Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otechlanie pokazać.  
 Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce osłabły

I z nadzieją zwycięstwa z piersi uciekła odwaga.  
Cóż poczniemy z Niemcami?“—„Ojcie, Walter powiadał;  
Wiem ja sposób jedyny, straszny, skuteczny, niestety!  
Może kiedyś objawię.“ Tak rozmawiali po bitwie,  
Nim ich trąbka ku nowym bitwom i klęskom wezwała.

Kiejstut coraz smutniejszy, Walter jak mocno zmieniony!  
Dawniej, chociaż nie bywał nigdy zbyt wesoły,  
W chwilach nawet szczęśliwych, lekki mrok zamyślenia  
Lice jego przysłaniał, ale w objęciach Aldony  
Dawniej miewał pogodne czoło i lice spokojne,  
Zawsze ją witał uśmiechem, czułem pożegnał wejrzeniem.  
Teraz zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść;  
Cały ranek przed domem, z założonemi rękami,  
Patrzy na dymy płonących zdala miasteczek i wiosek,  
Patrzy dzikimi oczyma, w nocy porywa się ze snu  
I przez okno krwawą łunę pożarów uważa.

„Mężu drogi, co tobie?“ pyta ze łzami Aldona.

„Co mnie?... będę spokojnie drzemał, aż Niemcy napadną  
I sennego, związawszy, w ręce katowskie oddadzą?“

„Boże uchwaj, mężu! strażę pilnują okopów.“

„Prawda, strażę pilnują, czuwam i szablę mam w ręku;

Ale kiedy wyginą strażę, wyszczerbi się szabla...

Słuchaj, jeśli starości, nędznej starości dożyję...“

„Bóg nam zdarzy pociechę z dziełek...“ „Wtém Niemcy napadną,  
Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko

I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego!

Ja sam... możebym ojca, możebym braci mordował,

Gdyby nie wajdelota.“—„Drogi Walterze, ujedźmy

Dalej w Litwę, skryjmy się w lasy i góry od Niemców.“

„My odjedziem, a inne matki i dzieci zostawim?

Tak uciekali Prusacy: Niemiec ich w Litwie dogonił.

Jeśli nas w górach wyśledzi?“—„Znowu dalej ujedziem.“

„Dalej? dalej, nieszczęsna! dalej ujedziem, za Litwę?

W ręce Tatarów lub Rusi?“—Na tę odpowiedź Aldona

Pomieszana milczała; jęł zdawało się dotąd,

Że ojczyzna jak świat jest długa, szeroka bez końca;

Pierwszy raz słyszy, że w Litwie całej nie było schronienia.

Załamawszy ręce, pyta Waltera: co począć?  
 „Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Litwinom:  
 Skruszyć potęgę Zakonu; mnie ten sposób wiadomy.  
 Lecz nie pytaj, dla Boga! stokroć przekłeta godzina,  
 W którą, od wrogów zmuszony, chwycę się tego sposobu!“  
 Więcej nie chciał powiadać, próśb Aldony nie słuchał,  
 Litwy tylko nieszczęścia słyszał i widział przed sobą.  
 Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu karmiony  
 Kłesk i cierpień widokiem, wzdał się i serce ogarnął;  
 Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne uczucie,  
 Dotąd mu żywot słodzące, nawet uczucie miłości.  
 Tak u białowieskiego dębu, jeżeli myśliwi,  
 Ogień tajemny wzniciwszy, rdzeń głęboko wypala:  
 Wkrótce monarcha lasów straci swe liście powiewne,  
 Z wiatrem polecą gałęzie, nawet jedyna zieloność,  
 Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie korona jemioli.

Długo Litwini po zamkach, górach i lasach błądzili,  
 Napadając na Niemców lub napadani wzajemnie,  
 Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach Rudawy,  
 Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi litewskiej poległo,  
 Obok tyluż tysięcy wodzów i braci krzyżowych.  
 Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły z za morza;  
 Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili się w góry.  
 Z wyszczerbionymi szablami, z porąbanymi tarczami,  
 Kurzem, posoką okryci, weszli posępni do domu.  
 Walter nie spojrzał na żonę, słowa do niej nie wyrzekł;  
 Po niemiecku z Kiejstutem i z wajdelotą rozmawiał.  
 Nie rozumiała Aldona, serce tylko wróżyło  
 Jakieś okropne wypadki. Gdy zakończyli obradę,  
 Wszyscy trzej ku Aldonie smutne zwrócili wejrzenie.  
 Walter patrzył najdłużej z niemój wyrazem rozpacz;  
 Wtém gęstemi kroplami łzy mu rzuciły się z oczu,  
 Upadł do nóg Aldony, ręce jej cisnął do serca  
 I przepraszał za wszystko, co ucierpiała dla niego.  
 „Biada, mówił, niewiastom, jeśli kochają szaleńców,  
 Których oko wybiegać lubi za wioski granice,  
 Których myśli jak dymy wiecznie nad dach ulatują,

Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.  
 Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie:  
 Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek.  
 Daruj, luba Aldono! dzisiaj chcę w domu pozostać,  
 Dzisiaj o wszystkiem zapomnę, dzisiaj będziemy dla siebie,  
 Czém bywalśmy dawniej. Jutro..." i nie śmiał dokończyć.  
 Jaka radość Aldonie! Zrazu myśli nieboga,  
 Że się Walter odmieni, będzie spokojny, wesoły,  
 Widzi go mniej zamyślonym, w oczach więcej żywości,  
 W licach dostrzega rumieniec. Walter u nóg Aldony  
 Cały wieczór przepędził; Litwę, Krzyżaków i wojnę  
 Rzucił na chwilę w niepamięć; mówił o czasach szczęśliwych  
 Swego do Litwy przybycia, pierwszój z Aldoną rozmowy,  
 Pierwszój w dolinie przechadzki i o wszystkich dziecinnych,  
 Ale sercu pamiętnych, pierwszój miłości zdarzeniach.  
 Za cóż tak łube rozmowy słowem j u t r o przerywa?  
 I zamyśla się znowu, długo na żonę pogląda,  
 Łzy mu kręć się w oczach, chciałby coś wyrzec i nie śmie.  
 Czyliż dawne uczucia, szczęścia dawnego pamiętki  
 Na to tylko wywołał, aby się z niemi pożegnać?  
 Wszystkie rozmowy, wszystkie tego wieczora pieśszoty,  
 Czyliż będą ostatnim blaskiem świecznika miłości?...  
 Darmo się pytać. Aldona patrzy, czeka niepewna  
 I wyszedłszy z komnaty, jeszcze przez szpary pogląda.  
 Walter wino nalewał, mnogie wychylał puhary  
 I wajdelotę starego na noc w siebie zatrzymał.

Słońce ledwo wschodziło, tętnią po bruku kopyta.  
 Dwaj rycerze z tumanem rannym śpieszą się w góry.  
 Wszystkieby straże zmylili, jednój nie mogli omylić,  
 Czujne są oczy kochanki: zgadła ucieczkę Aldona,  
 Drogę w dolinie zabiegła; smutne to było spotkanie.  
 „Wróc się, o luba, do domu; wróc się, ty będziesz szczęśliwa,  
 Może będziesz szczęśliwa w lubej rodziny objęciach!  
 Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, zapomnisz.  
 Wielu książąt dawniej o twą starało się rękę;  
 Jesteś wolną, jesteś wdową po wielkim człowieku,  
 Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się—nawet i ciebie!



Bywaj zdrowa, zapomnij; zapłaczą niekiedy nademną!  
Walter wszystko utracił, Walter sam jeden pozostał,  
Jako wiatr na pustyni; błąkać się musi po świecie,  
Zdradzać, mordować i potém ginąć śmiercią haniebną;  
Ale po latach ubiegłych imię Alfa nanowo  
Zabrzmi w Litwie i kiedyś z ust wajdelotów posłyszysz  
Czyny jego. Natenczas, luba, natenczas pomyślisz,  
Że ów rycerz straszliwy, chmurą tajemnic okryty,  
Jednój tobie znajomy, twoim był kiedyś małżonkiem  
I niech dumy uczucie będzie pociechą sieroctwa.“  
Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie słyszy ni słowa.  
„Jedziesz, jedziesz!“ krzyknęła i zatrwożyła się sama  
Słowem j e d z i e s z: to jedno słowo brzmiało w jej uchu;  
Nic nie myślała, o niczem pomnieć nie mogła; jej myśli,  
Jej pamiątki, jej przyszłość, wszystko spletało się tłumnie,  
Ale sercem odgadła, że niepodobna powracać,  
Że niepodobna zapomnieć. Oczy zbłąkane toczyła,  
Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejrzenie;  
W tём wejrzeniu już dawniej nie znajdowała pociechy  
I zdawała się szukać czegoś nowego i wkoło  
Oglądała się znowu.—Wkoło pustynie i lasy,  
W środku lasu samotna błyszczy za Niemnem wieżyca;  
Był to klasztor zakonnic, chrześcijan smutna budowa.  
Na téj wieżycy spoczęły oczy i myśli Aldony,  
Jak gołąbek, porwany wiatrem śród morskiej topieli,  
Pada na maszty samotne nieznanego okrętu.  
Walter zrozumiał Aldonę; udał się za nią w milczeniu,  
Opowiedział swój zamiar, tać przed światem nakazał  
I u bramy—niestety! straszne to było rozstanie!...  
Alf z wajdelotą pojechał. Dotąd nic o nich nie słyhać.  
Biada, biada, jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi,  
Jeśli zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony zatrąwszy,  
Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił!  
Przyszłość resztę pokaże.—Niemcy, skończyłem piosenkę.

Koniec już, koniec, wielki szmer na sali:  
I cóż ów Walter? jakie jego czyny?

Gdzie? nad kim zemsta? słuchacze wołali.  
Mistrz tylko jeden wśród szumnej drużyny  
Siedział milczący, z pochyloną głową.  
Mocno wzruszony, porywa co chwila  
Puhary z winem i do dna wychyla.  
W jego postaci zmianę widać nową:  
Różne uczucia, w nagłych błyskawicach,  
Po rozpalonych krzyżują się licach;  
Coraz to groźniej czoło mu się chmurzy,  
Usta drżą sine, obłąkane oczy  
Latają niby jaskółki wśród burzy;  
Wreszcie płaszcz zrzuca i na środek skoczy:  
„Gdzie koniec pieśni? wraz mi koniec śpiewaj!  
Albo daj lutnię! Czego drżący stoisz?  
Podaj mi lutnię, puhary nalewaj,  
Zaśpiewam koniec, jeśli ty się boisz.

„Znam ja was! Każda piosnka wajdeloty  
Nieszczęście wróży, jak nocnych psów wycie,  
Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie,  
Nam zostawiacie chwałę i zgryzoty...  
Jeszcze w kolebce wasza pieśń zdradziecka  
Naksztalt gadziny obwija pierś dziecka  
I wlewa w duszę najsrozsze trucizny,  
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny!...

„Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,  
Jak zabitego cień nieprzyjaciela;  
Zjawia się nieraz w pośrodku biesiady,  
Aby krew mieszać w puhary wesela.  
Słuchałem pieśni, zanadto, niestety!  
Stało się, stało... Znam cię, zdrajco stary!

Wygrałeś! Wojna, tryumf dla poety!  
Dajcie mi wina, spełnią się zamiary!

„Wiem koniec pieśni. Nie, zaśpiewam inną!  
Kiedy walczyłem na górach Kastyli,  
Tam mnie Maurowie balady uczyli.  
Starcze, graj nutę, tę nutę dziecinną,  
Którą w dolinie—o! był to czas błogi,  
Na tę muzykę zwykłem zawsze nócić...  
Wracajże, starcze! bo przez wszystkie bogi  
Niemieckie, pruskie...”

Starzec musiał wrócić,  
Uderzył lutnię i głosem niepewnym  
Szedł za dzikimi tonami Konrada,  
Jako niewolnik za swym panem gniewnym.

Tymczasem światła gasnęły na stole,  
Rycerzy długa uśpiła biesiada;  
Lecz Konrad śpiewa: budzą się nanowo,  
Stają i w szczupłym ścisnąwszy się kole,  
Pilnie zważają każde pieśni słowo.

## BALADA.

Alpuhara.

Już w gruzach leżą Maurów posady  
Naród ich dźwiga żelaza;  
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,  
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary  
Almanzor z garstką rycerzy.  
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary;  
Jutro do szturm uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,  
Rwą się okopy, mur wali;  
Już z minaretów błysnęły krzyże:  
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe roty  
Zbite w uporną obronę,  
Przerznął się między szable i groty,  
Uciekł i zmylił pogonę.

Hiszpan, na świeżej zamku ruinie,  
Pomiędzy gruzami i trupy,  
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,  
Rozdziela brance i łupy.

Wtém straż odźwierna wodom donosi,  
Że rycerz z obcej krainy  
O posłuchanie corychlej prosi,  
Ważne przynosząc nowiny.

Był to Almanzor, król Muzułmanów,  
Rzucił bezpieczne ukrycie,  
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów  
I tylko błaga o życie.

„Hiszpanie, woła, na waszym progu  
Przychodzę czołem uderzyć;  
Przychodzę służyć waszemu Bogu,  
Waszym prorokom uwierzyć.

„Niechaj rozgłosi sława przed światem,  
Że Arab, że król zwalczony,  
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,  
Wasalem obcój korony,“

Hiszpanie mężstwo cenić umieją;  
Gdy Almanzora poznali,  
Wódz go uścisnął, inni kolejją  
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witął,  
Wodza najczulej uścisnął,  
Objął za szyję, za rękę chwycił,  
Na ustach jego zawisnął.

A wtém osłabnął, padł na kolana,  
Ale rękami drżącemi  
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,  
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał dokoła, wszystkich zadziwił:  
Zbladłe, zsiniałe miał lice,  
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,  
Krwia mu nabiegły źrenice...

„Patrzcie, o giaury! jam siny, blade..  
Zgadnijcie, czyim ja posłem?...  
Jam was oszukał: wracam z Grenady,  
Ja wam zarazę przyniosłem!

„Pocałowaniem wszczepiłem w duszę  
Jad, co was będzie pożerać..  
Pójdźcie i patrzcie na me katusze,  
Wy tak musicie umierać!“

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona,  
Chciałby uściśnieniem wiecznëm  
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;  
Śmieje się—śmiechem serdecznym.

Śmiał się, już skonał; jeszcze powieki,  
Jeszcze się usta nie zwarły  
I śmiech piekielny został na wieki  
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli,  
Dżuma za nimi w ślad biegła;  
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,  
Reszta ich wojska poległa.

„Takto przed laty mścili się Maurowie;  
Wy chcecie wiedzieć o zemście Litwina?...  
Cóż... jeśli kiedy uści się w słowie  
I przyjdzie mieszać zarazę do wina...  
Ale nie, o nie! dziś inne zwyczaję!  
Książę Witołdzie! dziś litewskie pany  
Przychodzą własne oddawać nam kraje  
I zemsty szukać na swój lud znękany!

„Przecież nie wszyscy!—o! nie, na Peruna!  
Jeszcze są w Litwie, jeszcze wam zaśpiewam...  
Precz mi z tą lutnią!—zerwała się struna,  
Nie będzie pieśni! ale się spodziewam,  
Że kiedyś będą. Dziś—zbytnie puhary,  
Zanadto piłem. Cieszcie się i bawcie,  
A ty, Al... manzor, precz mi z oczu, stary!  
Precz mi z Albanem!—samego zostawcie.“

Rzekł i niepewną powracając drogą,  
Znalazł swe miejsce, na krzesło się rzucił,  
Jeszcze coś groził; uderzywszy nogą,  
Stół z puharami i winem wywrócił.  
Nakoniec osłabł, głowa się schyliła  
Na poręcz krzesła; wzrok po chwili gasnął  
I drżące usta piana mu okryła  
I zasnął.

Rycerze chwilę w zadumieniu stali.  
Wiedzą o smutnym nałogu Konrada,  
Że gdy się winem zbyt znacznie zapali,  
W dzikie zapaly, w bezprzytomność wpada;  
Ale na uczcie, publiczna sromota!  
Przy obcych ludziach, w bezprzykładnym gniewie!  
Kto go podniecił? gdzie ów wajdelota?  
Wymknął się z ciżby i nikt o nim nie wie.

Były powieści, że Halban przebrany  
Litewską piosnkę Konradowi śpiewał,  
Że tym sposobem znowu chrześcijany  
Przeciw pogaństwu do wojny zagrzewał;  
Ale zkąd w mistrzu tak nagłe odmiany?  
Za co się Witold tak srodze rozgniewał?  
Co znaczy mistrza dziwaczna balada?  
Každy w domysłach nadaremnie bada.

---

## V.

### W O J N A.

---

Wojna. Już Konrad hamować nie zdoła  
Zapędów ludu i nalegań rady;  
Dawno już cały kraj o pomstę woła,  
Za Litwy napaść i Witołda zdrady.

Witołd, co wsparcia u Zakonu zebrał,  
Dla odzyskania wileńskiej stolicy,  
Teraz po uczcie, gdy wieści odebrał,  
Że wkrótce ruszą w pole Krzyżownicy,  
Zmienił zamiary, nową przyjaźń zdradził  
I swych rycerzy tajnie uprowadził.

W zamki Teutonów leżące po drodze,  
Wszedł z wymyślonym od mistrza rozkazem,  
A potem oręż wydarkszy załódze,  
Wszystko wyniszczył ogniem i żelazem.  
Zakon, i wstydem i gniewem zagrzany,  
Krzyżową wojnę podniósł na pogany.  
Wychodzi bulla: morzem, lądem płyną



Nieprzeliczone wojowników roje;  
Możni książęta, z wasalów drużyną,  
Czerwonym krzyżem ozdabiają zbroje;  
A każdy na to swe życie poślubił,  
Aby pogaństwo ochrzcił lub wygubił.

Poszli ku Litwie; i cóż tam sprawili?  
Jeśliś ciekawy, wynijdź na okopy,  
Spojrzyj ku Litwie, gdy się dzień nachyli,  
Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy  
Krwawym płomieni ruczajem obleje.  
Oto są wojen napastniczych dzieje;  
Łacno je skreślić: rzeź, grabież, pożoga  
I blask, co głupie rozwesela zgraje,  
A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje  
Głos wołający o pomstę do Boga.

Wiatry pożogę coraz dalej niosły,  
Rycerze dalej w głąb Litwy zabiegli;  
Słysząc, że Kowno, że Wilno oblegli;  
W końcu ustały i wieści i posły.  
Już w okolicy nie widać płomieni  
I niebo coraz dalej się czerwieni.  
Darmo Prusacy z podbitej krainy  
Brańców i mnogich łupów wyglądają;  
Darmo szlą częstych gońców po nowiny:  
Śpieszą się gońcy i... nie powracają.  
Srogą niepewność gdy każdy tłumaczy,  
Radby doczekać chociażby rozpaczy.

Minęła jesień. Zimowe zamieci  
Huczą po górach, zawalają drogi

I znowu zdala na niebiosach świeci  
Północne zorze, czy wojny pożogi.  
Coraz widoczniej razi blask płomieni  
I niebo coraz bliżej się czerwieni.

Z Maryenburga lud patrzy ku drodze.  
Już widać zdala: kopie się przez śniegi  
Kilku podróżnych—Konrad! Nasi wodze!  
Jakże ich witać? zwycięzce, czy zbiegi?  
Gdzie reszta pułków?—Konrad wznosił prawicę,  
Pokazał dalej ciżbę rozproszoną;  
Ach! sam ich widok zdradził tajemnicę!..  
Biegą bezładnie, w zaspach śniegu toną;  
Wala się, depcą, jak podłe owady,  
W ciasnym naczyniu ginące pospołu;  
Pną się po trupach, nim nowe gromady  
Dźwignionych znowu potrąca do dołu.  
Ci jeszcze wleką otrętwiałe nogi;  
Ci w biegu nagle przystygli do drogi,  
Lecz ręce wznoszą i stojące trupy  
Wskazują w miasto, jak podróżne słupy.

Lud wybiegł z miasta strwożony, ciekawy,  
Lękał się zgadnąć i o nic nie pytał,  
Bo całe dzieje nieszczęsnej wyprawy  
W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.  
Nad ich oczyma mroźna śmierć wisiała.  
Harpija głodu ich lica wyssała.  
Tu słyszeć trąby litewskiej pogoni,  
Tam wieher toczy kłęb śniegu po błoni,  
Opodał wyje chuda psów gromada,  
A nad głowami krążą kruków stada.

Wszystko zginęło! Konrad wszystkich zgubił..  
On, co z oręża takięj nabył chwały,  
On, co się dawniej roztropnością chlubił,  
W ostatnięj wojnie lękliwy, niedbały,  
Witołda chytrych sideł nie dostrzegał,  
A oszukany, chęcią zemsty ślepy,  
Zagnawszy wojsko na litewskie stepy,  
Wilno tak długo, tak gnuśnie oblegał.

Kiedy strawiono dobytki i plony,  
Gdy głód niemieckie nawiedzał obozy,  
A nieprzyjaciół wkoło rozproszony  
Niszczył posiłki, przecinał dowozy,  
Codziennie z nędzy marły Niemców krocie,  
Czas było szturmem położyć kres wojny,  
Albo o rychłym zamyślać odwrocie.  
Wtenczas Wallenrod ufny i spokojny  
Jeździł na łowy, albo w swym namiocie  
Zamknięty, knował tajemne układy  
I wodzów nie chciał przypuszczać do rady.

I tak w zapale wojennym ostygnał,  
Że ludu swego niewzruszony łzami,  
Miecza na jego obronę nie dźwignął;  
Z założonemi na piersiach rękami  
Cały dzień dumał, lub z Halbanem gadał.  
Tymczasem zima nawaliła śniegi  
I Witołd, świeże zebrawszy szeregi,  
Oblegał wojsko, na obóz napadał.  
O, hańbo w dziejach mężnego Zakonu!  
Wielki mistrz pierwszy uciekł z pola bitwy!

Zamiast wawrzynów i sutego plonu,  
Przywiózł wiadomość o zwycięztwach Litwy!

Czyście widzieli, gdy z tego pogromu  
Wojsko upiorów prowadził do domu?  
Ponury smutek czoło jego mroczy,  
Robak boleści wywijał się z lica  
I Konrad cierpiał, ale spojrzysz w oczy:  
Ta wielka, napół otwarta źrenica,  
Jasna, z ukosa miotająca pociski,  
Niby kometa grożący wojnami,  
Co chwila zmienna, jak nocne połyski,  
Któremi szatan podróznego mamì,  
Wściekłość i radość łącząc razem,  
Błyszczała jakimś szatańskim wyrazem!

Drżał lud i szemrał. Konrad nie dbał o to;  
Zwołał na radę niechętnych rycerzy;  
Spojrzał, przemówił, skinął, o sromoto!  
Słuchają pilnie i każdy mu wierzy;  
W błędach człowieka widzą sądy Boga,  
Bo kogoż z ludzi nie przekona trwoga?

---

Stój, dumny władco! Jest sąd i na ciebie!...  
W Maryenburgu wiem ja loch podziemny,  
Tam, gdy noc miasto w ciemnościach zagrziebie,  
Schodzi na radę trybunał tajemny.

Tam jedna lampa na podniebiu sali  
I w dzień i w nocy tajemnie się pali.

Dwanaście krzeseł koło tronu stoi,  
Na tronie ustaw księga tajemnicza,  
Dwunastu sędziów, każdy w czarnej zbroi;  
Wszystkich maskami zamknięte oblicza,  
W lochach od gminnej ukryli się zgrai,  
A larwą jeden przed drugim się tai.

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgodnie  
Karać potężnych swoich władców zbrodnie,  
Nazbyt gorszące lub ukryte światu.  
Skoro ostatnia uchwała zapadnie,  
I rodzonemu nie przepuszczą bratu;  
Każdy powinien, gwałtownie lub zdradnie,  
Na potępionym dopełnić wyroku:  
Sztylety w rękę, rapiery u boku.

Jeden z maskowych zbliżył się do tronu  
I stojąc z mieczem przed księgą Zakonu,  
Rzekł: „Straszliwi sędziowie!  
Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem:  
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,  
Nie jest Wallenrodem.  
Kto on jest? niewiadomo. Przed dwunastu laty  
Nie wiedzieć z kąd przyjechał w nadreńskie krainy.  
Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,  
Był w orszaku hrabiego, nosił giermka szaty.  
Wkrótce rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści zginął;  
Ów giermek, podejrzany o jego zabicie,  
Z Palestyny uszedł skrycie  
I ku hiszpańskim brzegom zawinął.  
Tam, w potyczkach z Maurami dał męztwa dowody  
I na turniejach mnogie pozyskał nagrody,  
A wszędzie pod imieniem Wallenroda słynął.

Przyjął nakoniec zakonnika śluby  
I został mistrzem... dla Zakonu zguby.  
Jak rządził, wszyscy wiecie. Tej ostatniej zimy,  
Kiedy z mrozem i głodem i z Litwą walczymy,  
Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy  
I tam miewał z Witołdem tajemne rozmowy.  
Szpiegowie moi dawno śledzą jego czynów,  
Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą,  
Nie pojęli, co Konrad mówił z pustelnicą,  
Lecz sędziowie, on mówił—językiem Litwinów!...  
Zważywszy, co nam tajnych sądów posły  
Niedawno o tym człowieku doniosły,  
A o czém świeżo mój szpieg donosi  
I wieść już ledwie nie publiczna głosi:  
Sędziowie, ja na mistrza zaskarżenie kładę  
O fałsz, zabójstwo, herezyą, zdradę.“

Tu oskarżyciel przed Zakonu księgą  
Ukląkł i wsparłszy na krucyfiks rękę,  
Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą,  
Na Boga i na Zbawiciela mękę.

Umilkł. Sędziowie sprawę roztrząsają,  
Lecz niema głosów, ni cichęj rozmowy,  
Ledwie rzut oka lub skinienie głowy  
Jakąś głęboką, groźną myśl wydają.  
Każdy z kolei zbliżał się do tronu,  
Ostrzem sztyletu na księdze Zakonu  
Karty przerzuczał, prawa cicho czytał,  
O zdanie tylko sumienia zapytał,  
Osądził, rękę do serca przykładając...  
I wszyscy zgodnie zawołali: biada!...

I trzykroć echem powtórzyły mury:  
Biada!... W tém jedném, jedném tylko słowie  
Jest cały wyrok. Pojęli sędziowie:  
Dwanaście mieczów podnieśli dogóry,  
Wszystkie zmierzone—w jedną pierś Konrada.  
Wyszli w milczeniu, a jeszcze raz mury  
Echem za nimi powtórzyły: biada!...

---

## VI.

### POŻEGNANIE.

---

Zimowy ranek; wichrzy się i śnieży.  
Wallenrod leci wśród wichrów i śniegów;  
Zaledwie stanął u jeziora brzegów,  
Woła i mieczem bije w ściany wieży:  
„Aldono, woła, żyjemy, Aldono!  
Twój miły wraca, wypełnione śluby...  
Oni zginęli, wszystko wypełniono!”

#### PUSTELNICA.

„Alf?—To głos jego!... Mój Alfie, mój luby!  
Jakże, już pokój? ty powracasz zdrowo?  
Już nie pojedziesz?”

#### KONRAD.

„O! na miłość Boga,  
O nic nie pytaj!... Słuchaj, moja droga,  
Słuchaj i pilnie zważaj każde słowo.  
Oni zginęli... Widzisz te pożary?  
Widzisz? To Litwa w kraju Niemców broi!...  
Przez lat sto Zakon ran swych nie wygoi.  
Trafiłem w serce stugłowej poczwary;



Strawione skarby, źródła ich potęgi,  
Zgorzały miasta... morze krwi wyciekło...  
Jam to uczynił, dopełnił przysięgi...  
Straszniejszej zemsty nie wymyśli piekło!  
Ja więcej nie chcę, wszak jestem człowiekiem!...  
Spędziłem młodość w bezecnjej obłudzie,  
W krwawych rozbojach.— Dziś, schylony wiekiem,  
Zdrady mię nudzą, niezdolnym do bitwy;  
Już dosyć zemsty... i Niemcy są ludzie!  
Bóg mię oświecił; ja powracam z Litwy,  
Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,  
Kowieński zamek—już tylko ruiny...  
Odwracam oczy, przelatuję cwałem,  
Biegę do owęj, do naszěj doliny:  
Wszystko jak dawniej! Też laski, te kwiaty,  
Wszystko jak było owego wieczora,  
Gdyśmy dolinę żegnali przed laty.  
Ach! mnie się zdało, że to było wczora!...  
Kamień, pamiętasz, ów kamień wyniosły,  
Co niegdyś naszych przechadzek był celem,  
Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły...  
Ledwie go dostrzegł... osłoniiony zieleń.  
Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami!  
Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju  
Lubiłaś spocząć między jaworami;  
Źródło, gdzie szukał dla ciebie napoju:  
Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził.  
Nawet twój mały chodnik zostawiono,  
Com go suchemi wierzbami ogrodził...  
Te suche wierzby, jaki cud, Aldono!  
Dawniej mą ręką wbite w piasek suchy,  
Dziś ich nie poznasz, dzisiaj piękne drzewa

I liście na nich wiosenne powiewa,  
I młodych kwiatów unoszą się puchy...  
Ach, na ten widok pociecha nieznana,  
Przecucie szczęścia serce ożywiło;  
Całując wierzby, padłem na kolana:  
Boże mój, rzekłem, oby się spełniło!  
Obyśmy, w strony ojczyste wróceni,  
Kiedy litewską zamieszkamy rolę,  
Odżyli znowu; niech i naszą dolę  
Znowu nadziei listek zazieleni!...

„Tak, wróćmy! Pozwól! — Mam w Zakonie władzę,  
Każe otworzyć... Lecz poco rozkazy?  
Gdyby ta brama była tysiąc razy  
Twardszą od stali, wybije, wysadzę,  
Sam cię, o luba! ku naszej dolinie  
Tam poprowadzę, poniosę na rękę,  
Lub dalej pójdziem... Są w Litwie pustynie,  
Są głuche cienie białowieskich lasów,  
Kędy nie słychać obcej broni szczęku,  
Ani dumnego zwycięzcy hałasów.  
Ni zwyciężonych braci naszych jęku...  
Tam, w środku cichęj, pasterskiej zagrody,  
Na twoich rękach, u twojego łona,  
Zapomnę, że są na świecie narody,  
Że jest świat jakiś... będziem żyć dla siebie!...  
Wróc, powiedz, pozwól?“...

Milczała Aldona,  
Konrad umilknął, czekał odpowiedzi.  
Wtém krwawa jutrznia błysnęła na niebie.

„Aldono, przebóg! ranek nas uprzedzi,  
Zbudzą się ludzie i straż nas zatrzyma,  
Aldono!“—wołał, drżał z niecierpliwości,  
Głosu nie stało, błagał ją oczyma  
I załamane ręce wzniosł dogóry...  
Padł na kolana i żebrząc litości,  
Objął, całował zimnój wieży mury.

#### PUSTELNICA.

„Nie! już po czasie!—rzekła smutnym głosem,  
Ale spokojnym... Bóg mi doda siły,  
On mię zasłoni przed ostatnim ciosem...  
Kiedym tu weszła, przysięgałam na progu,  
Nie zstąpić z wieży, chyba do mogiły.  
Walczyłam z sobą—dziś i ty, mój miły,  
I ty mi dajesz pomoc przeciw Bogu!...  
Chcesz wrócić na świat—kogo?—nędzną marę!  
Pomyśl, ach pomyśl! jeżeli szalona  
Dam się namówić, rzucę tę pieczarę  
I z uniesieniem padnę w twe ramiona...  
A ty nie poznasz, ty mię nie powitasz,  
Odwrócisz oczy i z trwogą zapytasz:  
Ten straszny upiór, jest-że to Aldona?...  
I będziesz szukał w zagasłej źrenicy  
I w twarzy, która—ach myśl sama razi!...  
Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy  
Pięknej Aldonie oblicza nie kazi!...

„Ja sama—wyznam—daruj, mój kochany!  
Ilekoć księżyc żywszemu światłem błyska,  
Gdy słyszę głos twój, kryję się za ściany;  
Ja cię, mój drogi, nie chcę widzieć zblizka!

Ty może dzisiaj już nie jesteś taki,  
 Jakim bywałeś, pamiętasz, przed laty,  
 Gdyś wjechał w zamek z naszymi orszaki;  
 Lecz dotąd w mojem zachowałeś łonie  
 Też same oczy, twarz, postawę, szaty...  
 Tak motyl piękny, gdy w bursztyn utonie,  
 Na wieki całą zachowuje postać...  
 Alfie! nam lepiej takimi pozostać,  
 Jakimi dawniej byliśmy, jakimi  
 Złączym się znowu—ale nie na ziemi!...

„Doliny piękne zostawmy szczęśliwym;  
 Ja lubię moję kamienną zaciszę,  
 Mnie dosyć szczęścia, gdy cię widzę żywym,  
 Gdy miły głos twój co wieczora słyszę...  
 I w tój zaciszy można, Alfie drogi,  
 Możliaby wszystkie cierpienia osłodzić;  
 Porzuć już zdrady, mordy i pożogi,  
 Staraj się częściej i raniej przychodzić.

„Gdybyś, posłuchaj, około równiny  
 Chłodnik podobny owemu zasadził  
 I twoje wierzby kochane sprowadził,  
 I kwiaty, nawet ów kamień z doliny...  
 Niech czasem dziatki z poblizkiego sioła  
 Bawią się między ojczystymi drzewy,  
 Ojczyste w wianek uplatają zioła,  
 Niechaj litewskie powtarzają śpiewy...  
 Piosnka ojczysta pomaga dumanu,  
 I sny sprowadza o Litwie i tobie,  
 A potem, potem, po mojem skonaniu,  
 Niech przyspiewują i na Alfa grobie?“...

Alf już nie słyszał. On po dzikim brzegu  
Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci.  
Tam góra lodu, tam puszcza go nęci,  
W dzikich widokach i w nagłonym biegu  
Znajdował jakąś ulgę, utrudzenie.  
Ciężko mu, duszno śród zimowėj słoty;  
Zerwał płaszcz, pancerz, roztargał odzienie  
I z piersi zrzucił wszystko—prócz zgryzoty.

Już rankiem trafił na miejskie okopy;  
Ujrzał cień jakiś, zatrzymał się, bada...  
Cień krąży dalej i cichemi stopy  
Wionął po śniegu, w okopach przepada.  
Głos tylko słysząc: „biada, biada, biada!”

Alf na ten odgłos zbudził się i zdumiał.  
Pomyślał chwilę—i wszystko zrozumiał.  
Dobywa miecza i na różne strony  
Zwraca się, śledzi niespokojnêm okiem:  
Pusto dokoła, tylko przez zagony  
Śnieg leciał kłębem, wiatr północny szumiał.  
Spojrzy ku brzegom, staje rozrzewniony;  
Nakoniec wolnym, chwiejącym się krokiem  
Wraca się znowu pod wieżę Aldony.

Dostrzegł ją zdala, jeszcze w oknie była.  
„Dzień dobry! krzyknął, przez tyle lat z sobą  
Tylkośmy nocną widzieli się dobą;  
Teraz, dzień dobry!—jaka wróżba miła!  
Pierwszy dzień dobry, po latach tak wielu!  
Zgadnij, dlaczego przychodzę tak rano?”

ALDONA.

„Nie chcę zgadywać; bądź zdrów, przyjacielu!  
Już nazbyt światła, gdyby cię poznano...  
Przestań namawiać.—Bądź zdrów, do wieczora;  
Wyniść nie mogę, nie chcę.“

ALF.

„Już nie pora!

Wiesz o co proszę?—Zrzuć jaką gałązkę,  
Nie—kwiatów nie masz, więc nitkę z odzieży,  
Albo z twojego warkocza zawiązkę,  
Albo kamyczek ze ścian twojej wieży.  
Chcę dzisiaj—jutra nie każdemu dożyć—  
Chcę na pamiątkę mieć jaki dar świeży,  
Który dziś jeszcze był na twojem łonie,  
Na którym jeszcze świeża łezka płonie;  
Chcę go przed śmiercią na mém sercu złożyć,  
Chcę go ostatnim pożegnać wyrazem...  
Mam zginąć wkrótce, nagle—zgińmy razem!  
Widzisz tę bliską, przedmiejską strzelnicę?  
Tam będę mieszkał. Dla znaku, co ranek,  
Wywieszę czarną chustkę na krużganek,  
Co wieczór lampę u kraty zaświecę:  
Tam wiecznie patrzaj. Jeśli chustkę zrzucę,  
Jeżeli lampa przed wieczorem skona,  
Zamknij twe okno, może już nie wrócę.  
Bądź zdrowa!“—

Odszedł i zniknął. Aldona

Jeszcze pogląda zwieszona u kraty.  
Ranek przeminął, słońce zachodziło,  
A długo jeszcze w oknie widać było  
Jój białe, z wiatrem igrające szaty  
I wyciągnięte ku ziemi ramiona.

„Zaszło nakoniec,” rzekł Alf do Halbana,  
Wskazując słońce z okna swęj strzelnicy,  
W której zamknięty od samego rana  
Siedział, patrząc w okno pustelnicy.  
„Daj mi płaszcz, szablę. Bądź zdrów, wierny sługo,  
Pójdę ku wieży. Bywaj zdrów, na długo,  
Może na wieki.—Posłuchaj, Halbanie,  
Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świecić,  
Ja nie powrócę, opuść to mieszkanie.  
Chcę, chciałbym jeszcze coś tobie polecić...  
Jakżem samotny! pod niebem i w niebie  
Nie mam nikomu, nigdzie nic powiedzieć  
W godzinę skonu—prócz jęj i prócz ciebie!...  
Bądź zdrów, Halbanie! Ona będzie wiedzieć,  
Ty zrzucisz chustkę, jeśli jutro rano...  
Lecz cóż to? słyszysz?”—W bramę kołatano.

„Kto idzie?” trzykroć odźwierny zawołał.  
„Biada!” krzyknęło kilka dzikich głosów.  
Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał  
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.  
Już orszak dolne krużganki przebiega,  
Już przez żelazne, pokręcone wschody,  
Do Wallenroda wiodące gospody,  
Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega.  
Alf, zawaliwszy wrzeczadzem podwoje,  
Dobywa szablę, wziął czarę ze stoła,  
Poszedł ku oknu: „Stało się,” zawoła,  
Nalał i wypił. „Starczel w ręce twoje!”

Halban pobladnął. Chciał skinieniem ręki  
Wytrącić napój, wstrzymuje się, myśli;

Słysząc za drzwiami coraz bliższe dźwięki,  
Opuszcza rękę: „To oni—już przyszli.“

„Starcze! rozumiesz, co ten łoskot znaczy?  
I czegoż myślisz? Masz nalaną czaszę,  
Moja wypita... Starcze, w ręce wasze!“

Halban poglądał w milczeniu rozpaczę:  
„Nie, ja przeżyję i ciebie, mój synu!...  
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki  
I żyć, ażebym sławę twego czynu  
Zachował światu, rozgłosił na wieki!  
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta,  
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci.  
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta  
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci;  
Będzie ją śpiewać i kiedyś w przyszłości  
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości“...

Na poręcz okna Alf ze łzami pada  
I długo, długo ku wieży poglądał,  
Jak gdyby jeszcze napatrzeć się żądał  
Miłym widokom, które wnet postrada.  
Objął Halbana; westchnienia mieszała  
W ostatniem, długim, długim uściśnieniu.  
Już u wrzeczadźków słysząc łoskot stali,  
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu.  
„Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie!  
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu!  
Oto jest starzec, kapelan Zakonu,  
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie!“



Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,  
Lecz coraz blednie, pochyła się, słania;  
Wsparł się na oknie i tocząc wzrok hardy,  
Zrywa płaszcz, mistrza znak na ziemię miota,  
Depce nogami z uśmiechem pogardy:

„Oto są grzechy mojego żywota!...  
Gotówem umrzeć; czegoż chcecie więcej?...  
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?...  
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,  
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy!  
Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów,  
Tam marzną waszych ostatki szeregów!  
Słyszycie? Wyją głodnych psów gromady...  
One się gryzą o szczątki biesiady!

„Ja to sprawilem! Jakem wielki, dumny,  
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem,  
Jak Samson jednem wstrząśnieniem kolumny  
Zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem!“

Rzekł, spojrział w okno i bez czucia pada,  
Ale nim upadł, lampę z okna ciska.  
Ta, trzykroć kołem obiegając, błyska,  
Nakoniec legła przed czołem Konrada.  
W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,  
Lecz coraz głębiej topi się i mroczy,  
Wreszcie, jak gdyby dając skonu hasło,  
Ostatni, wielki krąg światła roztoczy  
I przy tym blasku widać Alfa oczy:  
Już pobiełały—i światło zagasło.

I w téjże chwili przebił wieży ściany  
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany...  
Z czyjêj to piersi? Wy się domyślicie;  
A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie,  
Że piersi, z których taki jęk wypadnie,  
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu:  
W tym głosie całe ozwało się życie.

Tak struny lutni od tęgiego ciosu  
Zabrzmią i pękną; zmieszanemi dźwięki  
Zdają się głosić początek piosenki,  
Ale jêj końca nikt się nie spodziewa.

Taka pieśń moja o Aldony losach,  
Niechaj ją anioł harmonji w niebiosach,  
A czuły słuchacz w duszy swêj dośpiewa.

---

## OBJAŚNIENIA.

---

### KONRAD WALLENROD.

Str 187. Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono.

Maryenburg, po polsku Malborg, miasto obronne, niegdyś stołeczne Krzyżaków, za Kazimierza Jagiellończyka przyłączone do Rzeczypospolitej polskiej, później oddane w zastaw margrabiom brandenburskim, przeszło nakoniec w posiadłość królów pruskich. W sklepach zamku były groby wielkich mistrzów; niektóre dotąd ocalały. Voigt, profesor królewiecki, wydał przed laty historią Maryenburga, dzieło ważne dla historyi Prus i Litwy.

Str. 187. Wielki krzyż i wielki miecz.

Insygnia wielkich mistrzów.

Str. 187. Domy.

Tak nazywały się klasztory, albo raczej zamki, po różnych krajach Europy rozrzucone.

Str. 188. Na ostre gonić.

Dawne wyrażenie polskie; combattre à outrance.

Str. 191. Tym nieśmierteluój talizmanem duszy  
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

Wzrok człowieka, powiada Cooper, jeśli jaśniej wyrazem odwagi i rozumu, sprawia mocne wrażenie nawet na dzikich zwierzętach. Przytaczamy z tej okoliczności prawdziwe zdarzenie amerykańskiego strzelca, który skradając się do kaczek, usłyszał szelest, podniósł się i ujrzał z przestachem ogromnego, tuż leżącego lwa. Zwierz zdawał się być równie zdziwiony nagłym widokiem człowieka atletycznój postawy. Strzelec nie śmiał dać ognia, mając strzelbę śrótem nabitą. Stał więc nieruchomy, oczyma tylko grożąc nieprzyjacielowi. Lew ze swojój strony, siedząc spokojnie, nie spuszczał z oczu strzelca: po kilku sekundach odwrócił głowę i oddalił się powoli, ale za ledwo uszedł kilkanaście kroków, zatrzymał się i znowu powrócił. Znalazł na miejscu nieruchomego strzelca, spotkał się znów z nim oko w oko i nakoniec, jak gdyby uznawał wyższość człowieka, spuścił oczy i odszedł. *Bibliothèque Universelle. 1827 février. Voyage du capitaine Head.*

Str. 193. Arcykomtur.

Grosskomthur, najpierwszy urzędnik po wielkim mistrzu.

Str. 194. Jakaś nieznana, pobożna niewiasta.

Kroniki owych czasów piszą o wiejskiej dziewicy, która przybywszy do Maryenburga, żądała, aby ją zamurowano w osobnój celi i tam życia dokonała. Grób jej słynął cudami.

Str. 196. Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom.

Konrad dzielnego imię Wallenroda,  
Oz mistrzem naszym!...

W czasie obioru, jeśli zdania były podzielone lub niepewne, zdarzenia podobne, brane za wieszczbę, wpływały na obrady kapituły. Itak: Winrych Knipr ode pozyskał wszystkie głosy, ponieważ kilku braci słyszało jakoby w grobach mistrzów wołanie trzykrotne: Vinrice! ordo laborat. — „Winrychu! Zakon w niebezpieczeństwie!“

Str. 200. Zamek Swentoroga.

Zamek wileński, gdzie był niegdyś utrzymywany Znicz, to jest ogień wieczny.

Str. 209. „Cieszymy się w Panu!“

Hasło uczt zakonnych owego wieku.

Str. 214. PIEŚŃ WAJDELOTY.

Obacz Grażyna, przyp. 19, gdzie opisane jest podobne zdarzenie za mistrzostwa Dusener von Arfberg.

Str. 215. Staje widomie morowa dziewczica.

Lud prosty w Litwie wyobraża morowe powietrze w postaci dziewczicy, której zjawienie się, opisane tu według powieścigminnej, poprzedza straszliwą chorobę. Przytoczę, w treści przynajmniej, słynną niegdyś w Litwie baladę. „We wsi zjawiła się morowa dziewczica i według zwyczaju przeze drzwi lub okno wsuwając rękę i powiewając czerwoną chustką, rozsiewała śmierć po domach. Mieszkańcy zamykali się wawrownie; ale głód i inne potrzeby wkrótce zmusiły do zaniedbania takowych środków ostrożności; wszyscy więc czekali śmierci. Pewny szlachcic, lubo dostatecznie opatrzony w żywność i mogący najdłużej wytrzymać to dziwne oblężenie, postanowił jednak poświęcić się dla dobra bliźnich, wziął szablę zygmun-

„tówkę, na której było imię Jezus i imię Marya, „i tak uzbrojony otworzył okno domu. Szlachcie je- „dnym zamachem uciął straszidła rękę i chustkę zdo- „był. Umarł wprawdzie i cała jego rodzina wymarła, „ale odtąd nigdy we wsi nie znano morowego powie- „trza.“ Chustka owa miała być zachowana w kościele, nie pomnę jakiego miasteczka. Na Wschodzie, przed zjawieniem się dżumy, ma się pokazywać widmo na skrzydłach nietoperza i palcami wytykać skazanych na śmierć. Zdaje się, że imaginacya gminna w podobnych obrazach przedstawić chciała to przeczucie tajemne i tę dziwną trwogę, która zwykła poprzedzać wielkie nieszczęścia lub zgon, a którą nie tylko pojedyncze osoby, ale całe narody częstokroć dzielają. Tak w Grecyi przeczuwano długie trwanie i okropne skutki wojny peloponezkiej; w państwie rzymskiem upadek monarchii; w Ameryce przybycie Hiszpanów i t. d.

Str. 219. Miałem imię Waltera.

Walter von Stadion, rycerz niemiecki, wzięty w niewolę od Litwinów, zaślubił córkę Kiejstuta i z nią potajemnie ujechał z Litwy. Często się zdarzało, że Prusacy i Litwini, dziećmi porwani i wychowani w Niemczech, powracali do ojczyzny i stawali się najsroższymi Niemców nieprzyjaciółmi. Takim był pamiętny w dziejach Zakonu Prusak Herkus Monte.

Str. 234. W o j n a. Obraz téj wojny skreślony podług historii.

Str. 238. Trybunał tajemny.

W wiekach średnich, kiedy możni dukowie i baronowie dopuszczali się częstokroć wielkich zbrodni,

kiedy powaga zwyczajnych trybunałów była zasłabą na ich poskromienie, zawiązywało się bractwo tajemne, którego członkowie, nie znając się między sobą, obo-  
wiązywali się przysięgą karać winnych, nie przepu-  
szczając własnym przyjaciółom lub krewnym. Skoro sę-  
dziowie tajemni wydali wyrok śmierci, uwiadamiano  
potępionego, wołając nań pod oknami lub gdziekol-  
wiek w jego obecności: *w e h!* (biada!). — To trzykroć  
powtórzane słowo było ostrzeżeniem; kto je usłyszał,  
gotował się na śmierć, którą niechybnie a niespodzie-  
wanie miał z ręki niewiadomój odebrać. Sąd tajemny  
nazywał się jeszcze trybunałem *f e m i c z n y m* (*Vehm-  
gericht*) albo *w e s t f a l s k i m*. Trudno oznaczyć,  
kiedy wziął początek; podług niektórych miał być  
ustanowiony przez Karola Wielkiego. Zrazu po-  
trzebny, dał następnie powód do różnych nadużyć,  
i rządy zmuszone były srożyć się nieraz przeciwko  
samymże sędziom, nim tę instytucyą całkiem oba-  
lono.

---

Nazwaliśmy powieść naszą historyczną, bo cha-  
raktery działających osób i wszystkie ważniejsze  
wspomniane w niej zdarzenia skreślone są podług hi-  
storyi. Ówczesne kroniki, w częściowych, rozerwanych  
opisach, nieraz odgadywane tylko i domysłami do-  
pełniane być muszą, by z nich jaką całość historycz-  
ną utworzyć. Lubo w dziejach Wallenroda pozwo-  
liłem sobie domysłów, mam nadzieję usprawiedliwić  
je podobieństwem do prawdy. Podług kronik Kon-  
rad Wallenrod nie pochodził ze sławnój w Niem-  
czech rodziny Wallenrodów, chociaż udawał się za

jęj członka. Miał być czyimś synem z nieprawego łoża. Kronika królewiecka (biblioteki Wallenroda) powiada: er war ein Pfaffenkind. O charakterze tego dziwnego człowieka różne i sprzeczne czytamy podania. Większa część kronikarzy wyrzuca mu dumę, okrucieństwo, pijaństwo, srogość dla podwładnych, małą gorliwość o wiarę i nawet nienawiść ku duchownym. „Er war ein rechter Leuteschinder (Kronika biblioteki Wallenroda). Nach Krieg Zank und Hader hat sein Herz immer gestanden und ob er gleich ein Gott ergebener Mensch von wegen seines Ordens sein sollte, doch ist er allen frommen geistlichen Menschen Gräuel gewesen (David Lucas). Er regierte nicht lange, denn Gott plagte ihn inwendig mit dem laufenden Feuer.“ Z drugiej strony przyznają mu ówczesi pisarze wielkość umysłu, mężstwo, szlachetność i moc charakteru; jakoż bez rzadkich przymiotów nie mógłby władzy swojej utrzymać, wśród powszechnej nienawiści i klęsk, które na Zakon sprowadził. Przypomnijmy teraz postępowanie Wallenroda. Kiedy objął rządy Zakonu, sposobna zdarzała się pora wojowania z Litwą, bo Witołd przyrzekał sam Niemców na Wilno prowadzić i hojnie im posiłki wynagrodzić. Wallenrod jednak zwlekał wojnę, co gorsza, zraził Witołda i tak mu niebacznie zaufał, że ten księżę, pogodziwszy się tajemnie z Jagiełłą, nie tylko z Prus uszedł, ale po drodze, wchodząc do zamków niemieckich jak przyjaciel, palił je i załogi wycinał. W tak niepomysłnej zmianie okoliczności, należało wojnę zanie-



chać, albo bardzo ostrożnie przedsiębrać. Wielki mistrz ogłasza krucyatę, wysypuje skarby Zakonu na przygotowania (5,000,000 mark, około miliona złotych węgierskich: suma na owe czasy niezmierna) ciągnie do Litwy. Mógłby Wilno zdobyć, gdyby czasu na ucztach i oczekiwaniach posiłków nie zmarnował. Nadeszła jesień; Wallenrod, zostawiwszy obóz bez żywności, w największym bezładzie uchodzi do Prus. Kronikarze i późniejsi historycy nie mogą zgadnąć przyczyny tak nagłego odjazdu, nie znajdując w ówczesnych okolicznościach żadnego doniowodu. Niektórzy przypisywali ucieczkę Wallenroda pomieszanemu rozumowi. Wszystkie tu wymienione sprzeczności w charakterze i postępowaniu naszego bohatera dają się pogodzić, jeśli przypuścimy, że był Litwinem i że wszedł do Zakonu, aby się nad nim zemścić. Jakoż panowanie jego zadało naj-sroższy cios potężnym Krzyżakom. Przypuszczamy, że Wallenrod był owym Walterem Stadionem, skracając tylko o lat kilkanaście czas ubiegły między odjazdem Waltera z Litwy i ukazaniem się Konrada w Maryenburgu. Wallenrod umarł roku 1394 śmiercią nagłą; dziwne wypadki miały towarzyszyć jego zgonowi. „Er starb, powiada kronika, in Rase-rei, ohne letzte Oehlung, ohne Priestersegen. Kurz vor seinem Tode wütheten Stürme, Regengüsse, Wasserfluthen; die Weichsel und die Nogat durchwühlten ihre Dämme; hingegen wühlten die Gewässer sich eine neue Tiefe da, wo jetzt Pilau steht. Halban, czvli. jak go zowią kronikarze, doktor



## F A R Y S.

KASYDA

NA CZEŚĆ EMIRA TADŻ-UL-FECHRA UŁOŻONA,  
JANOWI KOZŁOW NA PAMIĄTKĘ PRZYPISANA.

---

Jak łódź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi,  
Znowu po modrym zwija się kryształe  
I pierś morza objąwszy wiosły lubieżnemi,  
Szyją łabędzią buja ponad fale:  
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki  
Na obszar pustyni strąca,  
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki  
Zgłuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca.

Już płynie w suchém morzu koń mój i rozcina  
Sypkie bałwany piersiami delfina.  
Coraz chyżej, coraz chyżej,  
Już po wierzchu żwir zamiata,  
Coraz wyżej, coraz wyżej,  
Już nad kłęb kurzu wylata.

Czarny mój rumak, jak burzliwa chmura,  
Gwiazda na czole jego, jak jutrzienka błyska,

Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,  
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Pędź latawcze białonogi!  
Góry z drogi, lasy z drogil

Daremnie palma zielona  
Z cieniem i owocem czeka:  
Ja się wydzieram z jój łona,  
Palma ze wstydem ucieka,  
Kryje się w głębi oazy  
I szmerem liści z mojej dumy się uśmiecha.

Owdzie granic pustyni pilnujące głązy  
Dziką na Beduina poglądają twarzą,  
Kopyt końskich ostatnie podrzeźniając echa,  
Taką za mną groźbą gwarzą:

„O szalony! gdzie on goni?  
Tam od ostrych słońca grotów  
Głowy jego nie ochroni  
Ni palma zielonowłosa,  
Ni białe łono namiotów;  
Tam jeden namiot... niebiosą.  
Tylko skały tam nocują,  
Tylko gwiazdy tam kocują.”

Daremnie grożą, daremnie!  
Pędzę i podwajam razy.  
Spojrzałem, aż dumne głązy  
Zostały zdala odemnie;

Uciekają rzędem długim,  
Kryją się jeden za drugim.

Sęp usłyszał ich groźbę i ślepo uwierzył,  
Że Beduina weźmie na pustyni jeńcem  
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył,  
Trzykroć czarnym obwinął głowę moją wieńcem

„Czuję, krakał, zapach trupi.  
Jeździec głupi, rumak głupi!  
Jeździec w piaskach szuka drogi,  
Szuka paszy białonogi.  
Jeźdźcze, koniu, pusta praca,  
Kto tu zaszedł, nie powraca!  
Po tych drogach wiatr się błąka,  
Unosząc z sobą swe ślady;  
Nie dla koni jest ta łąka,  
Ona tylko pasie gady.  
Tylko trupy tu nocują,  
Tylko sępy tu koczują.“

Kracząc, lśniącemi szpony w oczę mi urągał  
I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko.  
Któż się uląkł?... Sęp uląkł i uciekł wysoko!  
Kiedym go chciał ukarać i majdan naciągał  
I gdym sępa oczyma po za sobą tropił,  
Już on wisiał w powietrzu, jako plamka szara,  
Wielkości wróbla... motyla... komara,  
Potem się całkiem w błękicie roztopił.

Pędź latawcze białonogi!  
Skały z drogi, sępy z drogi!

Wtenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca,  
Gonił mię białem skrzydłem po błękitnym sklepie;  
On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,  
Jakim ja byłem na stepie!  
Nad głową moją zawisnął,  
Taką groźbą za mną świsnął:

„O szalony! gdzie on goni?  
Tam pragnienie piersi stopi;  
Obłok deszczem nie odkropi  
Osypanej kurzem skroni;  
Strumień na błoniu jałowem  
Nie ozwie się srebrnym słowem;  
Rosa, nim na ziemię spadnie,  
Wiatr ją głodny w lot rozkradnie.“

Daremnie grozi. Pędzę i podwajam razy!  
Obłok strudzony zaczął po niebie się słaniać,  
Coraz niżej głowę skłaniać,  
Potem oparł się na głazy.  
A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił,  
Jużem o całe niebo w tyle go porzucił.  
Widziałem z twarzy, co on w sercu knował:  
Zaczerwienił się od złości,  
Oblał się żółcią zazdrości,  
Nakoniec jak trup zczerniał i w górach się schował.

Pędź latawcze białonogi!  
Sępy z drogi, chmury z drogi!

Teraz oczy kręgiem słońca  
Określiłem koło siebie

I na ziemi i na niebie  
 Już nie było zamną gońca.  
 Tu natura, snem ujęta,  
 Nigdy ludzkich stóp nie słyszy,  
 Tu żywioły drzemią w ciszy,  
 Jak niespłoszone zwierzęta,  
 Których stado nie ucieka,  
 Widząc pierwszą twarz człowieka.

Przebóg! ja tu nie pierwszy!... Śród piaszczystej kępy  
 Oszańcowane świecą się zastępy...  
 Czy błędzą, czy z zasadzki czatują na łupy?  
 Jeźdźce w bieli i konie straszliwej białości!  
 Przybiegam: stoją; wołam: milczą. To są trupy!...  
 Starożytna karawana,  
 Wiatrem z piasku wygrzebana!...  
 Na szkieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości;  
 Przez jamy, gdzie były oczy,  
 Przez odarte z ciała szczęki,  
 Piasek strumieniem się toczy  
 I złowrogie szemrze jęki:  
 „Beduinie opętany!  
 Gdzie lecisz? tam huragany!“

Ja pędzę — ja nie znam trwoży  
 Pędź, latawcze białonogi!  
 Trupy, huragany z drogi!

Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli,  
 Przechadzał się samotny po żwiru topieli.  
 Obaczył mię zdaleka, wstrzymał się i zdumiał,  
 I kręcąc się na miejscu, tak do siebie szumiał:

„Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci,  
Tak poziomego lotu, nikezemnej postaci,  
Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?“  
Ryknął i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.  
Widząc, że był śmiertelny i nieustraszony,  
Ze złości ląd nogą trącił,  
Całą Arabią zmącił  
I jak gryf ptaka, porwał mię w swe szpony.  
Oddechem ognistym palił,  
Skrzydłami kurzawy walił,  
Ciskał w górę, bił o ziemię,  
Nasypywał żwiru brzemię.  
Ja zrywam się, walczę śmiało,  
Targam jego członków kłęby,  
Ćwiertuję piaszczyste ciało,  
Gryzę go wściekłemi zębami.  
Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem:  
Nie wydarł się! Wpół ciała zerwał się i runął,  
Deszczem piasku zgóry lunął  
I legł u nóg mych, długim, jak wał miejski, trupem!

Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie,  
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,  
Wszystkie poglądały ku mnie,  
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi!...  
Jak tu mile oddychać pierśmi całym!  
Oddycham pełno, szeroko;  
Całe powietrze w Arabistanie  
Ledwie mi na oddech stanie.  
Jak tu mile poglądać oczyma całym!  
Wyteżyło się me oko,  
Tak daleko, tak szeroko,



Że więcej świata zasięga,  
Niż jest w kole widnokręga.  
Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!  
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,  
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.  
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,  
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do nieba szczytu.  
Jak pszczoła, topiąc żądło, i serce w niem grzebie  
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie!...

1821, Petersburg.

---

## OBJAŚNIENIA.

---

### FARYS.

Str. 263. Farys.

Jeździec. Jest to zaszczytne nazwanie u Arabów-Beduinów, znaczące to samo, co *chevalier*, rycerz, w wiekach średnich. *T a d ż - U l - F e c h r*: pod tem imieniem znany był na Wschodzie Wacław hr. Rzewuski. *T a d ż* znaczy wieniec, *f e c h r* sława.

Str. 263. Czarny mój rumak, jak burzliwa chmura,  
Gwiazda na czole, jak jutrzienka błyska,  
Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,  
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Te cztery wiersze, zawierające opisanie konia, są tłumaczone z arabskiego czterowiersza, umieszczonego w notach do Antologii arabskiej pana de La-grange.

Str. 265. Czuje, krakał, zapach trupi.

Powszechny na Wschodzie przesąd, że sępy czują śmierć z daleka i krążą za człowiekiem, mającym umrzeć. Jakoż zaledwie skona podróżny, wnet kilka ich zjawia się w okolicy, chociaż pierwaj nie były widziane.

**Str. 267.** Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzyciel.

**H u r a g a n.** Jest to wyraz amerykański **u r i k a n i** oznacza straszliwą burzę tropikową. Ponieważ znajomy powszechnie w Europie, użyliśmy go zamiast wyrazów arabskich: **S e m u m**, **S e r s e r**, **A s y f i t. p.** w znaczeniu wichru albo trąby powietrznej, zasypującej niekiedy całe karawany. Persowie nazywają go **Girdebad**.

---



## POEZYE DYDAKTYCZNE.



## WARCABY.

DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO.

---

Franciszku! Dosyć prawne roztrząsać księgarnie,  
Niech je pył zasłużony choć na czas ogarnie;  
Rzuć słabości i niecnot przeglądając obrazy,  
W naturze ziemskiej pilnie wszystkie liczyć skazy.  
Zbyt to są dla ułomnych smutne widowiska,  
Serce z nich nic nie czerpa, choć rozum coś zyska.  
Inna jest żyć bez zbrodni, inna poznać zbrodnie;  
Często i prawodawca nie był z prawem zgodnie.  
Lokryjczyk wbrew statutom, które sam uchwala,  
Ojcowskie karał oko za grzechy synała;  
I ten co zakon wyrył na głazach dwunastu,  
Zgwałcenia jego daje pierwszy przykład miastu.

Ale pocóż umarłe mam wołać przykłady?  
Silniejszemu jest natura mojej wsparciem rady.  
Choć prawo siedzi w mieście, prawość na wsi mieszka;  
Nie marmur, lecz zielona wiedzie do niej ścieżka.  
Myśmy ze wsi nie mędrsi, może lepsi wyśli,  
Bieźmy tam! Kto się bawi, ten o złem nie myśli.

A jeśli niedojrzałej wiosny słotna pora,  
 Lub skwar nas w domu zamknie, albo chłód wieczora,  
 Czyż to piękną zabawkę wynaleźć zabroni?  
 Niechaj się czasem umysł i do gry nakłoni,  
 Nie do tej, gdzie aż w północ oczekując nudnie,  
 Dręczę ciało, a wdzięcznie myśli nie zatrudnię:  
 Tak zwykle gmin się tylko bawi mało warty,  
 Kręcąc skazówki, kości miotając lub karty;  
 Kruszec jest grania celem, graczków wabi żądza,  
 Podłość walczy o zyski, ślepy los przysądza.

Ale czyj duch wznioślejszy, pojętność niesłaba,  
 Temu lepiej rozmyślna przystoi warcaba.  
 Z nadkitajskich wzięliśmy tę zabawę granic,  
 Przez nią w zbrojne rzemiosło wprowadził się sułtanic; \*  
 Jak nacierać, jakimi wycofać się biegi,  
 Pouczał się, kościane hetmaniąc szeregi,  
 Lub do miejsca stosując różnych zdatność osób,  
 Z trudnej gry brał trudniejszy królowania sposób.  
 Dziś nie koronna głowa, ni mieczny zabierca,  
 Ale warcabę czułe ulubiły serca;  
 Hucznych znikając zabaw, nieślakome zysku,  
 Dzionek na towarzyskiem skracają igrzysku.  
 Precz od nich, z ulicznego wydobyty steku,  
 Obyczajem i twarzą nieznany człowieku!  
 Dobrańsza tylko para wychodzi do szranek:  
 Przyjaciół z przyjacielem — z kochanką kochanek.

Franciszkule! czuły sercem, a zimny z urzędu,  
 Nie znasz miłości, nie masz dla warcaby względu.  
 Pozwól, niech tobie gry tej prawidła wymienię,  
 Bo tamtej — jedno kiedyś nauczy spojrzenie.



O Wido! Gdybym dostał twój pędzel bogaty!  
 Wido! tak biegle w polskie przystrojony szaty! \*\*  
 Zdarz, niech twojego torem idąc wynalazku,  
 Opisom mym udzielię powabu i blasku!  
 Niech ztąd warcaba świeżej nabędzie zacności,  
 Niech chwalonym przez ciebie szachom nie zazdrości,  
 A mnie niech wdzięcznie czyta ten, dla kogo piszę,  
 Niech cierpliwie słuchają mili towarzysze.

Wiedźcie tedy, iż gra ta jest bojów obrazem.  
 Trzeba miejsca, chcąc wojska przeciwne zwieść razem.  
 A więc naprzód dla warcabszranki przybierz świetnie,  
 Niech je siedem dróg równych z obu stron rozetnie;  
 Potem czarne i białe strugaj czworościany  
 I w miejscach opisanych rozsadz na przemiany.  
 Kiedy się plac ogrodzi, skreśli i wymierzy,  
 Nie zaniedbuj do walek powołać rycerzy.  
 Dwunastu ma ich jedna, tyleż druga strona;  
 Że pieszo walczą, p i e s z k ó w niech noszą imiona.  
 By omyłek w wojennym tłumie uniknęli,  
 Tamci czarny strój mają, ci są całkiem bieli,  
 A chociaż różni, szaty w różnym noszą wzorze,  
 Przecież stają na czarnym z obu stron kolorze.  
 Pułk chce się z pułkiem zetrzeć, trupem usłać pole,  
 Albo żywym broń wydrzeć i zaprzeć w niewolę.  
 Każdy na czoło jednym postępując krokiem,  
 Nieprzyjaciela swego pilnem śledzi okiem;  
 Patrzy, czy który rycerz, zapędzony w biegu,  
 Nie wymknie się choć na krok ze swego szeregu,  
 A skoro z tyłu za nim próżny plac odkryje,  
 Wskoczy nagle i utnie zuchwalcowi szyję.  
 Czy wygrana ucieszy, czy pośród pogromu,

Cofnąć stopy pod karą niewolno nikomu;  
Iść naprzód, walczyć, gonić za nieprzyjacielem,  
Wedrzeć się do obozu, jest głównym gry celem.  
Kto pierwszy umiał zdobyć przeciwników szranki,  
Ozdobi się laurowym wieńcem z rąk kochanki  
I jako błędni niegdyś czynili rycerze,  
Do boju idąc, d a m ę na koń z sobą bierze.  
Co wprzód stapał pieszo, dziś po całym szlaku,  
W przód i w tył, w lewo, w prawo hasa na rumaku,  
Jeśli mu jaki śmiałek waży się zająć w oczy,  
Dopędzi go, zabije i nazad uskoczy.  
Tak ów Karol trwożliwy już umykał z tronu,  
Przed nachodem powstańców i wojsk Albionu,  
Ale jak tylko dostał pomoc Orleani, \*\*\*  
Potłumił i Angliki i buntowne Franki.

Odpieraj więc jak możesz i kładź wszędzie tamy,  
Ażebym twój przeciwnik nie mógł zdobyć damy.  
Jeśli jej i sam z obcych wziąć nie zechcesz szyków  
I własną mocą w boju zgniebiesz przeciwników,  
Wtenczas dla nich, prócz straty, największa sromota:  
Według praw tracą sławę i paść muszą k o t a.  
Częstokroć wódz, w swą siłę zaufany zbytnie,  
Nie chce rycerki, myśląc, iż sam wszystkich wytnie;  
A tymczasem przeciwnik, mając pomoc w damie,  
Wypędzi go z obozu, doścignie i złamie.  
Już wódz chwieje się ranny, miecz upuszcza z dłoni,  
Kochanka nad nim żadnej łezki nie uroni.  
Tak, co wprzód zwycięztwa karmił się otuchą,  
Umiera, a co gorsza, umiera n a s u c h o.  
Pary więc szukaj gwałtem lub przez chytne środki,  
W parze miłe zwycięztwo, w parze i zgon słodki.

Choć przegrasz, mniejszą będzie daleko przegrana,  
Jeżeli grób twój łzami odwilży kochana.

Masz tedy prawa wojny, krótkość je podaję,  
Różnych jeszcze narodów znaj różne zwyczaje.  
Sarmata, ufność w samęj kładący odwadze,  
Woła na cię przed bojem: „zwalczę, lecz nie zdradzę!”  
Ztąd piersią w pierś uderza, w tył razów nie ciska,  
Choćby kark nieprzyjazny nadstawiał się zbliżka.  
Dama jego podskoków wyprawiać niezdolna,  
Równym jak mąż jęj krokiem postępuje zwolna,  
Ten tylko u rycerskiej wzgląd zyskawszy młodzi,  
Że się jęj z krwawych bojów ujść bez hańby godzi.  
Hiszpan śmiało uderza na miecze i spiże,  
Z czoła walczy, lecz okiem i tam i sam strzyże,  
Często skradać się lubi, śród gwaru, śród pyłu  
I zdradliwie przebija nieprzyjaciół z tyłu;  
Ztąd w takich bojach nieraz, za cięciem bułata,  
Dwóch, czterech, pięciu zgładzić potrafi ze świata.  
Gdy zwyciężony padnie, Hiszpan, zdarłszy zbroje,  
Cofa się, by łup unieść między pułki swoje.  
Dama kastylska w bitwach różnym trybem stawia,  
Nie masz w księgach zwyczaju wyraźnego prawa.  
Raz, chciwa wojennemi ozdobić się łupy,  
Staje na bojowisku i obdziera trupy,  
Ale kiedy nad niemi pastwi się okrutnie,  
Często pieszek podskoczy i dumny łeb utnie;  
Jeśli zaś rzuca martwych i dalej ucieka,  
Od nieprzyjaznych szyków stawając zdaleka,  
Choć jedna tylko walczy, gęste trupy ściele,  
Liczniejsi jęj nie mogą zbić nieprzyjaciele.  
Francuz, staczając walki, naprzód idzie zwawo.

Zabijając w tył, lata i w lewo i w prawo;  
Strzelec trafny, nie zważa na damy, na pieszki,  
Częstokroć kulą sięgnie aż w sam koniec ścieżki.  
Jeżeli mu się kogo położyć udało,  
Przez całe szranki wpada do obozu śmiało.

Znając wojska, wybieraj jakieć się podoba,  
Jednak muszą się na to gracze zgodzić oba.  
P o p o l s k u walczą zwykle celniejsi zasługą,  
Bój ten wymaga sztuki i ciągnie się długo;  
Pod koniec, kiedy damy tłumnie wjadą w szranki,  
Bardzo trudno przychodzi ścigać jęjmościanki.  
Gra więc h i s z p a ń s k a krótsza, podstępna, zajadła,  
Wielu dzisiejszym wodzom do smaku przypadła.  
Bardziej niżli do męztwa, do wybiegów zdadni,  
Ćwiczą się nieprzyjaciół w chytrą łowić matni.  
F r a n c u z , że prędko kończy i daleko skacze,  
Lubią go tylko młodzi i zuchwali gracze.

Lecz niedosyć, Franciszku, żeś świadom obrotów,  
Ześ widział wojska, jeszcześ do bitwy nie gotów.  
Czyż ten hetman, kto tylko rąbie, strzela, kole?  
Nie, umiej szyki sprawiać, umiej przeznaczyć pole!  
I w grze są różne miejsca; wskażę moja rada,  
Kiedy je zająć, kiedy strzedz się ich wypada.

Naprzód w prawo jest koniec o podwójnym głazie;  
M ł y n e k, to port bezpieczny w niebezpiecznym razie.  
Tam broń się, choćby na cię bito bez spoczynku,  
Nim ustąpisz, przemoknie krwią droga do młynku.  
Jeżeli grasz po polsku, a młynek w twej właści,  
Możesz damy wygodnie bronić od napaści;

Przeciwnie, gdy Hiszpanka na placu zostanie,  
 Stanąwszy w młynkach, łatwe na nią polowanie.  
 Z lewej strony głąz jeden w koniec szranków bodzie,  
 Miejsce to zowią b e c z k ą, groźne na przechodzie,  
 Gdyż jeżeli w niem dama zasiędzie na czaty,  
 Nabawi pewnie klęski, albo znacznej straty.

Te są w tyle, inne są z czoła stanowiska,  
 Kędy na nieprzyjaciół można natrzeć zbliżka;  
 Iż przyległe granicom, nazwane są k ą t k i,  
 W nich bitwa często krwawe zwykła mieć początki.  
 W nich się kryje kto słaby lub ostrożny zbytnie  
 I w nich biegly gromiące stawi działobitnie.  
 Pomnij zrazu je zająć, byś obce rwał skrzydła;  
 Tak doświadczenie każe, tak walki prawidła.  
 Środkiem gracz najbiegłęjszy i najgorszy lezie,  
 Często jest tam zwycięztwo, ale częstsze rzezie;  
 Chyba się losem szczęsnym przeciwnik omyli,  
 Wtenczas możesz mu pieszków w jednej zrąbać chwili;  
 Lecz kiedy w kąty wjedzie, zapęd wojska wstrzyma,  
 Tak się zaprziesz na środku, iż stąpać gdzie niema.

Ale pocóż szeroko przepisy rozwodzę?  
 Nie przepisy stanowią zwycięztwo, lecz wodze.  
 Oni początkiem bojów, dają bojom prawa,  
 Od nich zależy cała w warcabach zabawa.  
 Nieprędko do potyczki bohater przywabi,  
 Co się powolnie wlecze, jak ów togat Fabi.  
 Nie śmiejąc ni uciekać, ani stawić czoła,  
 Wyda rozkazy, znowu wydane odwoła;  
 To wprzód, to wtył pojeżdża, patrzy, głową kręci,  
 Myśli: wtém co umyślił, wypadło z pamięci

I przegrawszy nareszcie po rozważach długich,  
Pozna, iż sam się znudził i nie bawił drugich.  
Równie śmieszny, kto drobnych obyczajem dzieci,  
Bez namysłu, bez celu, oślepi w ogień leci;  
Biją go jeśli natrze, łowią jeśli zmyka,  
Ginie wreszcie, nie ciesząc zgonem przeciwnika.  
Ten tylko słusznie wielkie gracza imię bierze,  
Kto męstwo i rozwagę w jednej trzyma mierze,  
Czyja głowa i ręka z bojem oswojona,  
Kto i dobrze umyśli i prędko wykona.  
A gdzież są tacy gracze? Lecz wieszczę głos słyszę:  
— Słowom moim udziela wiary towarzysze;  
Franciszek będzie takim, jeśli tylko przyjmie  
Ustawy, w przyjacielskim nakreślone rymie.

Lecz za cóż go nie wołam do stolika zemną,  
Z gry objaśniać naukę, może w pismach ciemną?  
Gdy mu inni te służby pomniejsze oddadzą,  
A jakąż one dla mnie zakazane władzą?  
Warcaby, niegdyś moja zabawko ustawna,  
Za cóżem niewidziany koło was oddawna?

O ty! dla której wiecznie tajne me zapęły,  
Któręj imię pomyślić staję się zaśmiały,  
Tobie spokojność moję gdym przegrał w warcaby,  
Odtąd już gra ta dla mnie straciła powaby!  
Niedziw, że m toczył zawsze mniej szczęśliwe boje:  
Tyś patrzyła w warcaby—ja w oblicze twoje  
I wiecznie chcąc je widzieć i tracąc na wieki,  
Najdroższego oblicza będąc niedaleki,  
Miotany od sprzecznego poruszeń natłoku,  
Ból w sercu, w licach bladeść, ogień miałem w oku,

Alem się nadaremnym nie zdradził zapalem;  
 Westchnienie zatłumiłem, słówka połykałem,  
 Bo los, wynosząc ciebie między jasne rody,  
 Z samą nadzieją wieczne przykazał rozwody.  
 Ustąpię, jęki nawet z głębi nie wypadną,  
 Lecz pamiętam, bo pamięć nie jest mi podwładną.  
 Pamiętam dzień ów grania i szczęścia ostatni,  
 Gdyś mię i pieszki moje wpędziła do matni.  
 Odtąd, na wieki, w jednym porzucone szyku,  
 Brańcy obok zwycięzców tkwią na mym stoliku.  
 Raz tylko śmiałem ulżyć grą dłuższej żałobie,  
 Lecz więcej grzechu tego nie pozwolę sobie;  
 Bo twoja oczywiście zstępująca postać,  
 Kazała grze pocztęj nietknioną pozostać.

Franciszku! Czy litości, czyli doznam wiary,  
 Czy to bóstwo, czy zmysłu popsutego czary,  
 Z uniesieniem widzący, a niechętny badać,  
 Nadludzkie tobie cudo muszę wypowiadać.  
 Pomnisz, jak przeraźliwych strat odniósłszy rany,  
 Z jej obecności, z waszej pociechy obrany,  
 Całe dni pustelnicza więziła mię klatka,  
 Wielu niespanych nocy dotrwałem ostatka.  
 Raz, gdy już światel lampa konająca skąpi,  
 Nagle się gęstwia cieniu koło mnie rozstąpi;  
 Wzrok osłupiał i myśli splątały się tłumnie:  
 Alić jasny powietrzem anioł spływa ku mnie...  
 Boże! to jej twarzyczka, jak poranek błada;  
 Włos na szyję srebrnemi promykami spada;  
 Chmurka jej przezroczysta za sukienkę służy,  
 Czerwieniejąc u piersi obwiązkami róży.  
 Widziałem ją, jak ciebie oglądam na jawie,

Widziałem ją w codziennéj obecnej postawie,  
 Tylko mającą bardziej jasności dokoła,  
 Więcej boską, bo więcej piękną być nie zdoła.  
 Ku stolikowi potem przyśliznęła kroku;  
 Spotkaliśmy się okiem, cały byłem w oku,  
 Sercem tak blisko serca i licem do lica,  
 Szczupła nas rozdzielała tylko warcabnica.  
 Odtąd już wielokrotnie, w przedporanne cienie,  
 Bóg jest łaskaw podobne zsyłać mi widzenie.  
 Zawszy około warcab pobawi się zblizka,  
 Lecz nie chce, abym graniem zmienił stanowiska.  
 Snać od bóstwa sprawionych orszaków i błoni,  
 Dotykać skazitelnéj nie godzi się dłoni.  
 Tak gra musiała dla mnie wszelki powab zgubić.  
 Franciszku, jeśli dłużej chcesz warcaby lubić,  
 Na spółbliżnich uzyskuj tryumfalny wianek,  
 Nigdy nie wyzywając do boju niebianek!  
 Pomnij, że kto ośmielił na Pafią dłonie,  
 Tydejczyk rychło zbrzydził szeregi i bronie,  
 A ja, com niegdyś smutki rozweselał cudze,  
 Teraz smutny was mijam lub uczeniem nudzę.

Drukowane po raz pierwszy w Wilnie 1822.

\* Warcaby, również jak szachy, dla nauki monarchów wschodnich wynalezione.

\*\* Szachy poety włoskiego Wida, wzorowo tłumaczone przez Jana Kochanowskiego.

\*\*\* Jeane d'Arc.



## DO JOACHIMA LELEWELA. \*

Bellorum causas, et vitia, et modos  
Ludumque Fortunae, gravesque  
• Principum amicitias, et arma...

Periculosae plenum opus aleae  
Tractas, et incedis per ignes  
Suppositos cineri doloso.

*Horat. L. H. c. 1.*

O, długo modłom naszym będący na celu,  
Znowuż do nas koronny znidziesz L e l e w e l u!  
I znowu cię obstąpią pobratymcze tłumy,  
Abyś naprawiał serca, objaśniał rozumy.  
Nie ten, co wielkość całą gruntuje w dowcipie,  
Rad tylko, że swe imię szeroko rozsypie  
I że barki księgarzom swemi pisma zgarbi:  
Nie taki ziomków serca na wieczność zaskarbi,  
Ale kto i wyższością sławy innych zaćmi,  
I sercem spółrodaka żyje między braćmi.  
Lelewelu, w oboim jak ci zrównać blasku?  
Szczęśliwyś i w przyjaciół i w prawd wynalazku.

\* Z okoliczności rozpoczęcia kursu historii powszechnéj  
w uniwersytecie wileńskim, dnia 9 stycznia 1822.

Oto nad wiek młodziana przerosłeś niewiele;  
 Tobie mędrszemu siwe zajrzą Matuzele;  
 Imię twoje wybiegło za Chrobrego szranki,  
 Między teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki,  
 A jak mocno w litewskiém uwielbianys gronie,  
 Publicznie usta nasze wyznają i dłonie.

Już długo z sal uczonych wracało nasucho  
 Łakome, a przez ciebie znarowione ucho;  
 Zaczynj słynać cudami dla uczniów natłoku,  
 Coś je tylekroć sprawiał w onegdajszym roku,  
 Gdy, twojém czarodziejskich użyciem sposobów,  
 Greckie i Rzymian cienie ruszałeś z pod grobów.  
 Wstają z martwych, przechodzą na prawdy zwierciadła,  
 Od czoła ich Plutona przyłbica odpadła  
 I żelazne na piersiach łamią się pokrycia,  
 W których myśli i chęci taili za życia.  
 Oto mędrzec Fedona, to Persów zabierca,  
 Patrzym w bezdenność myśli, w labirynt ich serca.  
 Tam iskra światła, owdzie nasiona potęgi;  
 Gdy je zdarzeń pomyślnych wzmaga oddech tęgi,  
 Iskra łunę roznieca, z nasionek wylęga  
 Olbrzym, dosięgający brzegów ziemiokręga.  
 Tak dzielne geniusze panują nad światem,  
 Teraźniejszość upada przed ich majestatem;  
 Stworzenia, które kiedyś wyda przyszłość mętna,  
 Niosą kolor ich blasku, lub ich razów piętna,  
 Ale równa jest wielkość, czy to światu władać,  
 Czy skutki wielkieij władzy nad światem wybadać.

Nieraz miasto w podziemną rozpadlinę gruchnie,  
 Słońce kirem zachodzi, woda płomień buchnie;

Nadarzeń się takowych mnogie żyją świadki,  
Przecież ich źródła dociec umie arcy-rzadki,  
A na podobnej liczbie jeszcze gorzej zbywa,  
Coby, różnego wątek spajając ogniwa,  
Potrafili wybadać, za rozsądku wodzą,  
Jak się z przyczyny wspólnej różne skutki rodzą,  
Jak podziemny wypadek morzem zakolata  
I niebieskiego sprawi zaburzenie świata.

Z mniejszości postępujemy ustawnie dogóry,  
Z martwój przejdźmy w krainę żyjącej natury,  
Kędy ludzkość jest światem, żywiołami duchy,  
Jak śledzić przyczyn, związać następów łańcuchy?  
Tu zaćmi nieskończona różność widowiska,  
Tu po obcych świadectwach droga myśli ślizka,  
A bóstwo Prawdy, skąpiąc nagiego promienia,  
Pełni swojej nie raczy ukazać z pod cienia,  
Bo ję trudno dostrzeże, choć kto oczy wlepi;  
Od dzieciństwa jesteśmy długo na nią ślepi.  
Skoro zacznem przezierać, że niedosyć bystrze  
Podejmują się obcy nam usłużyć mistrze  
I szkła swojej roboty wsadzają na oko,  
Przez które widać szerzej i więcej głęboko;  
Ale jaką im barwę dał mistrz wynalazku,  
W takim wszystkie przedmioty okazują blasku.  
Ztąd cudze malowidła, własne wzroku skazy,  
Omyłką na zewnętrzne przenosim obrazy.  
Człowieku, słuگو wieczny! bo nietylko zmysły,  
Ale i sądy twoje od drugich zawisły.  
Pierś dziecinną ojcowskie napełniają czucia,  
Gdyś młody, uciskają zwyczajów okucia.  
Nieraz myślisz, że zdanie urodziłeś z siebie;

A ono jest wyssane w macierzystym chlebie,  
 Albo niem nauczyciel poił ucho twoje,  
 Zawždy część własněj duszy mieszając w napoje;  
 A tak gdzie się obrócisz, z każdėj wydasz stopy,  
 Żeś z nad Niemna, żeś Polak, mieszkaniec Europy.

A słońce Prawdy wschodu nie zna i zachodu,  
 Równie chętne każdego plemionom narodu  
 I dzień lubiące każdėj rozszerzać ojczyźnie,  
 Wszystkie ziemie i ludy poczyta za bliźnie.  
 Ztąd kto się w przenajświętszych licach jēj zacieka,  
 Musi sobie zostawić czystą treść człowieka,  
 Zedrzeć wszystko, co obcėj winien jest przysłudze,  
 Własności okoliczne i posagi cudze.

Ku takim pracom niebo dziejopisa woła.  
 Odważają się liczni, ale któż wydoła?  
 Tylko sam, komu rzadkim nadało się cudem  
 Złączyć natchnienie boskie z ziemianina trudem,  
 Nad burzę namiętności, interesu sieci,  
 Z pomroku ducha czasu nad gwiazdy wyleci;  
 Uważa, z kąd dla ludów przyszła ryknie burza,  
 Albo się pod otchłanie przeszłości zanurza,  
 Grzebiąc zapadłe wieków odległych ciemnoty,  
 Wykopuje z nich prawdy kruszec szczerozłoty.  
 L e l e w e l u! rzetelną każdy chlubę wyzna,  
 Że ciebie takim polska wydała ojczyzna.  
 Na świętym dziejopisa jaśniejąc urządzie,  
 Wskazujesz nam co było, co jest i co będzie.

Pierwszy towarzyskiego widzim obraz stanu,  
 Od łożyska Eufratu po wieże Libanu.

Na równiach, niedzielonych żadnemi przegrody,  
 Tam naprzód w wielkie ciało zrosły się narody;  
 Zaraz na karku onych ciemieżcy usiedli,  
 Miasta wałem, a ludy łańcuchem obwiedli.

Ówdzie, między wysepki i morskie rękawy,  
 Drobną Greczyn urządzał pospolite sprawy;  
 Ruchem do mirmidońskich podobny zwierzątek,  
 Od których słusznie mniemał wyciągać początek.  
 W cudzych osiada miastach, lecz je sam bogaci,  
 Przyszedłnim bogom swojskie nadaje postaci;  
 Dla nieznaných cór nieba pierwszy w jego rodzie  
 Wystawiono Piękności kościół i Swobodzie.  
 Tych natchnieniem Helenin gdy piersi zagrzewał,  
 Walczył, rozprawiał, kochał, nauczał i śpiewał.

Lecz już medańska szabla okraża dokoła.  
 Bałwanowi wschodniemu świat uchylił czoła,  
 Trzaskiem samowładnego napędzona biczą,  
 Wali się od Kaukazu zgraja niewolnicza.  
 Kserkses ludy podeptał, miasta porozwalał,  
 Morza flotą zahaczył, lądy tłumem zalał.  
 Wtém z małej chmurki greckiej gdy pioruny padną,  
 Rozprysnęły się tłumy, floty poszły na dno. ,

Zgubnego Europejczyk umknąwszy rozgromu,  
 Poszedł Azyanina nękać w jego domu,  
 A na perskie wezgłowie upuściwszy skronie,  
 Drzemał i nabok rzucił ordzewiałe bronie.  
 Tak swobodnie sennego zabrali w łańcuchy  
 Wilcze Romula plemię, italskie pastuchy.  
 Kłótniwi i przez własne wyuczeni zwady,

Jak gwałtem lub chytrąścią wyniszczać sąsiady,  
Ustawni napastnicy, we chwilach pokoju  
Ramiona do nowego krzepili rozboju,  
Albo darli się z sobą, wtenczas tylko w zgodzie,  
Kiedy społem o cudzej przemyślali szkodzie;  
Lecz skoro zapaśnikom przeciwnych nie stało,  
Z otyłości próżniackiej coraz słabnie ciało.  
Rzym pastwi się nad światem, a tyran nad Rzymem,  
Świat rzymski obumarłym staje się olbrzymem.

Któż w nieżyjących zwłokach nowy duch roznieci?  
Wy, ogniste z pod lodów skandynawskich dziecił  
Oto Senior, pełnym odziany kirasem,  
Niosąc kopią w toku, różaniec za pasem,  
Pobożności oddany, kochance i chwale,  
Pod dach gotycki ściąga na ucztę wasale.  
Damy wskazują wieńce, bardy w lutnie dzwonią,  
Młodzież kopie kruszy, albo w pierścień gonia.  
Czulsze serce niż u nas biło im z pod stali,  
Oni najpierwsi z niebios Miłość przywołali  
Serdeczną i za dawnych niecenioną wieków  
U duchownych Hebreów i cielesnych Greków.  
Oni, kiedy praw słaba chwieje się budowa,  
Krzepili ją łańcuchem rycerskiego słowa.  
Aby naprawiać krzywdy, piękne zyskać względy,  
Ważyli się na puszcze i zamorskie błędy,  
Nowe herby z odległych przynosząc turniei,  
Lub krwią kupując palmę męczeńską w Judei.  
Tymczasem na ich zamkach zasiadły opaty,  
Ksiądz cisnął się do celi, a mniszka za kraty;  
Na wystrzał buli z tronów spadały korony,  
Rzym powtórnie ziemię opasał ramiony,

Aż założyły pułkowe orężników władze  
Śmierć domowym rozruchom i obcej przewadze.

U ludów, gdzie społeczny gmach na pismach wsparty,  
Panów i sług powinność objaśniły karty.

Takie na albiońskim spisano ostrowie

I takie Jagiellony dali nam królowie;

Lecz w innostronnych krajach naczelników stopa  
Buntujące się panky zniżyła do chłopa.

Hiszpańczyk dalej zrobił: od brzegów Gadesu

Dościągnął aż do światów nieznajomych kresu;

Tam corok z flotą chodzi, nowe skarby kopie

I żelazami całej pogroził Europie.

Naprzeciw chęciom jego inne pany dążą,

Odcinają się mieczem i przymierza wiążą.

Natenczas sztuka stanu, w tajniach urodzona,

Rozciągnęła szeroko polipu ramiona.

Kto chce zyskać lub swoje posiadać bezpiecznie,

Oko miej zawsze czujne, broń dobytą wiecznie.

Ztąd wzajemna nieufność, ustawiczne czaty,

Walki, częste nabytki i prędkie utraty.

Wszystkie ludy i ziemie za swe mając spadki,

Rozdawano, jak sprzedaż, wiano albo datki.

Nieprzyjaciołmi często bywali obrońce,

Albo dla okrągłości cudze rwali końce.

Taką w całej Europie szły kolejną sprawy,  
Nim dojrzały w wulkanach nadsekwańskich lawy.

Tam zadawniony ucisk, ponawiane skargi,

Wieczne państwa świętego z doczesnym zatargi,

Wyskoki głów myślących, zapały młodzików,

Duma panów, rozkutyh wściekłość niewolników;

A jak ziemia, ciężarna sprzeczniemi nasiony,  
Z potworném niegdyś cielskiem rodziła Pytony,  
Tak z pomąconych chęci i myśli natłoku  
Rewolucyjny Gallów wylągłeś się smoku.  
Darmo go przemoc złamie i w piasek zagrzebie,  
Posiane kły mścicieli odradzają z siebie.  
Kłótniwa wschodzi zgraja; w jednych chęć urasta  
Platoniczne po ziemi odbudować miasta,  
Drudzy skarbcę do nowej znosili budowy,  
Żeby z nich potem własne poczynić obłowy;  
Gdy przeciwników szyję zgięli albo zsiekli,  
Poszli cudzą przelewać, własną krwią ociekli.  
Z gminowładnego wzleciał ptak cesarski gniazda  
I krwawa legionów zabłysnęła gwiazda.  
A choć teraz skruszone olbrzymy zachodnie,  
Jeszcze na ziemię krew ich może działać płodnie.

Gdzież jestem, L e l e w e l u! Jaka chęć uniosła  
Opiewać morza, których nie tknęły me wiosła?  
Poziomy płazik, orlęj nabrawszy ochoty,  
Uczone myśleń twoich naśladować loty!  
Wyrećzaj mię, bo w polskim dziejopisów kole  
Wyniosły jesteś, stanąć mający na czole!  
Ty, co nie dozwoliłeś tylu księgom kłamać,  
Z samego kłamstwa prawdę umiejac wyłamać,  
Znasz lepiej trudne twojej nauki ogromy,  
Słodkości jej owoców sam lepiej świadomy.  
Głosem, którym okrzyki i przyklaski wznecisz,  
Powiedz, jak tam zaszedłeś, z kąd tak rano świecisz?  
Na wierzchy, gdzie parnaska trzyma cię opoka,  
Zwabiaj niższych łagodnym swego blaskiem oka.



Niejedne już zyskałeś z godniejszych rąk wieńce,  
Nie gardź tym, jaki wdzięczni składają młodzieńce  
I daruj, jeśli będziem chwalić cię po świecie,  
Że od ciebie wzięliśmy na ten wieniec kwiatn.

---

DO DOKTORA S(iemaszki),  
PRZEDSIĘBIORĄCEGO PODRÓŻ NAUKOWĄ DO AZYI,  
W PRZEDMIOCIE HISTORII NATURALNEJ.

---

Kapłanie Eskulapa! w pogaństwo zagnany,  
Szerząc cześć twego bóstwa między Azyany,  
Gdy cudzoziemcom zdrowie niesiesz w upominek,  
Porzucasz chorujące serduszka Litwinek.  
Sam nie umrzesz z tęsknoty, bo i w obcém niebie,  
W wodach, w ziemiach, znajomi powitają ciebie.  
Spojrzyj na tłum, co wietrzne kraje rozwesela,  
Jak król najdrobniejszego znasz obywatela,  
Wiesz swojska-li ptaszyna, czy ziem dzikich córa,  
Tle wiosen przelata i gdzie złoży pióra.

Morze, straszące samym widokiem swych głębi,  
Badawczego zapалу w tobie nie wyziębi;  
Znijdziesz, pod zwierciadlaną rozeznawać tonią  
Roślinki hodowane Amfitryty dłonią,  
Których postać znikoma jak senne marzenia  
I kolory zmienniejsze od tęczy promienia.  
Tam jest gwiazda, co tylko dnem podmorskim świta,  
I latarnia, przy której dumał Stagiryta,

I łódź, wiosłem żyjącem morskie tnąca szyby,  
I pałasze, któremi walczą wieloryby.

Godna zazdrości podróż! Ale tam pielgrzymia  
Zewsząd śmierć liczna, łatwa i niesławna ima.  
Dalszych rybiego państwa nie badajmy ciemnic,  
Dosyć jest dla rozumu lądowych tajemnic.  
Za twém skinieniem, władzco cudotwornęj laski,  
Trysną źródłem nauki astrachańskie piaski.  
Każemy pękać górom, znijdziem w ich ciemnotę,  
Zwazać w kuźni natury klejnotów robotę.  
Ja, bogactw niełakomy, cenię wynalazki,  
W których wielkie majątki, choć pomniejsze blaski.  
Odszedłbym od brylanty rodzącego szystu  
Do geodów zamkniętych na klucz z ametystu.

Wiesz ich początek?—Między edeńskimi drzewy,  
Kiedy nasz ojciec pierwszy raz westchnął do Ewy,  
Ziemia to pierworodne miłości westchnienie  
Złowiła i w kosztowne zawarła kamienie.  
Te prawdy, po hebrajsku zapisane w skałę,  
W tajnych archiwach ziemi leżą skamieniałe.  
Od Humboldta weź klucze na te alfabety  
I stań się biografem naszego planety;  
Niech cię nie trwoży zmudne latopismo świata,  
Z warstw ziemi, jak ze zmarszczków, policzysz jej lata.  
A gdzie w czasach i czynach zdarzy się zagadka,  
Poradzisz się mamuta, naocznego świadka,  
Zbudzisz na skamieniałym uśpionego cedrze,  
W imię Bojana wstanie i paszczę rozedrze  
Ze snów czterdziestowiecznych ten przeszłości goniec,  
Przetrze oczy, obwieści swój żywot i koniec.  
Wieść nowa jako cudo, a jako świat stara,  
Prawdziwa jak rachunek i dziwna jak mara.

Żegnam cię! Idź, w przeszłości załóż twe dziedzictwa,  
 Przypomnij matce ziemi czasy jęj dziewictwa.  
 Mnie poetę już zamiar opanował nowy,  
 Ja o przyszłości z niebem wdałem się w rozmowy,  
 Astrologiczném okiem wyczytałem z gwiazdy  
 I blizki i radośny koniec naszej jazdy.  
 Znowu czoło z podróżnych orzeźwiwszy znojów,  
 W stary tokaj niemeńskich przymieszamy zdrojów.  
 Tego królem badaczów ogłosi biesiada,  
 Czyje oko najpierwej dno kielicha zbada,  
 Gdy wszystkich nieprzyjaciół rozumu i cnoty  
 Pomiedzy zaginione wliczymy istoty  
 I będziem o rozjeździe, co nas dziś rozżali,  
 Jak o przedpotopowych dziejach wspominali.

1826.

## OBJAŚNIENIA.

Str. 286. Od czoła ich Plutona przyłbica odpadła.

Szyszak Plutona czynił niewidomymi tych, którzy go nosili.

Str. 286. Oto mędrzec Fedona, to Persów zabierca.

Plato i Aleksander Wielki.

Str. 294 i 295. Gwiazda morska, rodzaj molusków.  
 Latarnia Stagiryty, Arystotelesa, gatunek muszli. Pałasz morski, ryba.

Str. 295. Te prawdy, po hebrajsku zapisane w skałę.

Skała hebrajska, tak zwana od czarnych rysów, podobnych do liter hebrajskich.

Str. 295. W imię Bojana wstanie i paszczę rozedrze.

Bojanus, sławny niegdyś nauczyciel anatomii porównawczej w uniwersytecie wileńskim.

BAJKI.



## PIES I WILK.

(Naśladowanie z Lafontaine).

Jeden bardzo mizerny wilk, skóra a kości,  
Myszkuje po zamrozkach, kiedy w łapy dmucha.  
Zdybie przypadkiem Brysia jegomości,  
Bernardyńskiego karku, sędziowskiego brzucha;  
Sierść na nim błyszczy, gdyby szmelcowana,  
Podgardle tłuste, zwisłe do kolana.

„A witaj, panie kumie! Witaj, panie Brychu!  
Już od lat kopy o was ni widu, ni słychu.  
Wtedyś był mały kondlik, ale kto nie z postem,  
Prędko zmienia figurę. Jakże służy zdrowie?”

„Niczego”—Brysio odpowie  
I za grzeczność kiwnął chwostem.

„Oj! oj!... niczego! Widać ze wzrostu i tuszy!  
Co to za łeb, mój Boże! choć walić obuchem!  
A kark jaki! a brzuch jaki!

Brzuch! niech mnie porwą sobaki,

Jeżeli, uczciwszy uszy,

Wieprza widziałem kiedy z takim brzuchem!”

„Żartuj zdrów, kumie wilku; lecz mówiąc bez żartu.  
Jeśli chcesz, możesz sobie równie wypchać boki.”

„A to jak, kiedyś łaskaw?“ — „Ot tak: bez odwłoki  
Bory i nory oddawszy czartu

I łajdackich po polu wyrzekłszy się świstań,

Idź między ludzi i na służbę przystań!“

„Lecz w tój służbie co robić?“ — wilk znowu zapyta.

„Co robić? — Dziecko jesteś! Służba wysmienita:

Ot jedno z drugim nie a nie!

Dziedzińca pilnować granic,

Przybycie gości szczekaniem głosić,

Na dziada warknąć, Żyda potarmosić,

Panom pochlebiać ukłonem,

Sługom wachlować ogonem,

A za toż, bracie, niczego nie **braknie**:

Od panów, paniątek, dziewczek,

Okruszyn, kostek, polewek,

Słowem, czego dusza **łaknie**.“

Pies mówił, a wilk słuchał uchem, **gębą**, **nosem**,

Nie stracił słówka; połknął dyskurs cały

I nad smacznej przyszłości medytując **losem**,

Już obiecane wietrzył **specyały**.

Wtém patrzy. — „A to co?“ — „Gdzie?“ — „Ot tu, na  
[karku?“

„Ech, błazeństwo!“ — „Cóż przecie?“ — „Oto widzisz

Przyczესano, bo na noc kładą mi obrożkę, [troszkę

Ażebym lepiej pilnował folwarku!“

„Czy tak? pięknąś wiadomość schował na ostatku!“

„I cóż, wilku, nie idziesz?“ — „Co nie, to nie, bratku!

Lepszy w wolności kasek ładajaki,

Niżli w niewoli przysmaki.“

Rzekł i drapnąwszy, co miał skoku w łapie,

Aż dotąd drapie.



### PRZYJACIELE.

Nie masz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie;  
Ostatni znam jej przykład w oszmiańskim powiecie.  
Tam żył Mieszek, kum Leszka, i kum Mieszka Leszek.  
Z tych, co to: gdzie ty, tam ja, co moje, to twoje.  
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,  
Ziarnko dzielili na dwoje;  
Słowem tacy przyjaciele,  
Jakich i wtenczas liczono niewiele,  
Rzekłbyś dwójduch w jednem cielem.

O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy  
Kiedy gadali, łącząc swoje czułe mowy  
Do kukań zozul i krakań gawronich:  
Alić ryknęło raptem coś koło nich.  
Leszek na dąb; nuż po pniu skakać jak dzieciółek.  
Mieszek tej sztuki nie umie,  
Tylko wyciąga zdołu ręce: „Kumie!”  
Kum już wylazł na wierzchołek.

Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,  
Zbladnąć, paść na twarz, a już niedźwiedź kroczy,  
Trafia na czoło, maca, jak trup leży...  
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nie świeży.  
Więc, mruknąwszy ze wzgardą, odwraca się w knieje.  
Bo niedźwiedź Litwin mięs nieświeżych nie je.

Dopieroż Mieszek odżył.—„Było z tobą krucho!  
Woła kum—szczęście, Mieszku, że cię nie zadrapał!  
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał,  
Jak gdyby coś miał powiadać na ucho?”  
„Powiedział mi, rzekł Mieszek, przysłowieniedźwiedzie:  
Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie.”

## ZAJĄC I ŻABA.

(Z Lafontaine).

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,  
Nie tracąc serca, póki czuł się rączy,  
Teraz podupadł na nogach,  
Poczuł, że się źle z nim skończy;  
Więc jęknął z głębi serca: „Ach, nie masz pod słońcem  
Lichszego powołania, jak zostać zającem,  
Co mię w dzień pies, lis, konik, kania

I wrona,

Nawet i ona,

Jak chce, tak gania!

A w noc gdy drzemię, oko się nie zmruża,  
Bo lada komar bzyknie przez siatki pajęczę,  
Wnet drży me serce zajęcze,  
Tchórząc tchórzliwiej od tchórza.  
Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem;  
Postanowiłem dziś je skończyć samobojem.  
Żegnaj więc, miedzo, lat mych wiośnianych kolebko!  
Wy, kochanki młodości, kapusto i rzepko,  
Pożegnalnemi łzami dozwólcie się skropić.  
Oznajmuję wszem wobec, że idę się topić!“

Tak z płaczem gdy do stawu zwraca skoki słabe,  
Po drodze stąpił na żabę.

Ta mu, jak raca, drgnąwszy z pod nóg szusła  
I z góry na łeb w staw plusła.

A zając rzekł do siebie: „Niech nikt nie narzeka,  
Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórzu stoi!  
Każdy ma swoją żabę, co przed nim ucieka  
I swojego zająca, którego się boi.“

## KOZA, KÓZKA I WILK.

(Z Lafontaine).

Sąsiadka koza, ta, co to rozwódka,  
Z rodu Ostrorożanka, a tak rzeźka czołem,  
Że umie łeb za łeb rozmówić się z wołem  
I nie da łada wilku brać się do podbródka,  
Wczoraj w las idąc zbierać na domu potrzebę  
Rokitę, czy lipią skórkę,  
Na gospodarstwie zostawiła córkę,  
Któręj jest na imię Bebe.  
A że młodym osobom, pod niebytność matki,  
Rozliczne grożą przypadki,  
Nakazuje dziecku srogo:  
„Nie ruszać mi za próg nogą  
I nie przyjmować nikogo—nikogo!  
Jest tu wilk w okolicy; mam go w podejrzeniu,  
Że zamysła o czem brzydkiem;  
Pilnujże drzwi, aż wrócę i dam znak kopytkiem,  
Wolając cię po imieniu:  
Bebel! Lepiej, że zgrzeszym ostrożności zbytkiem,  
Niż gdyby miało kiedy być przysłowiem trzodzie:  
Mądra koza po szkodzie.“

O wilku mówiono w izbie  
A wilk tuż siedział na przyzbie;  
Podśluchał. Matka z domu, a on wnet do córki:  
Stuk i puk we drzwi komórki.  
Wilk zwykle wyciem łaje albo grozi,  
Lecz gdy prosić ma potrzebę,  
Nieźle udaje śpiew kozi;  
Więc jako mógł najkoziej odezwał się: „Bebel

Otwórz!“ A kózka na to: „Przepraszam, nie można.  
Mamy nie masz, jestem sama.“

On znowu: „Bebe, otwórz, to ja, mama.“

Na to znów kózka ostrożna:

„Głos wprowadzie matczyn; ale czyś ty matka,

Jak mogę wiedzieć, gdy zamknięta klatka?

Podejdź-że tu i przez to pod progiem korytko

Pokaż mi na znak kopytko.“

Wilk odszedł, klnąc Bebe i mać jęj z ruska brzydko.

Ta bajka jest po całym świecie znana z treści;

Lecz, żeby ją dać poznać polskięj płci niewieścięj,

Udawajmy, że wzięta z francuzkięj powieści.

1830.

## CHŁOP I ŻMIJA.

(Z Lafontaine'a).

W pamiętnikach bestyo-graficznych Ezopa  
Jest wzmianka o uczynku miłosiernym chłopa  
I o pewnego węża postępku łajdackim.

Chłop wyszedł zimnym rankiem po chróśniak do sadu,  
Aż tu pod bramą wąż mu do nóg pada plackiem.  
Przeziębły, wpółskostniały, przysypany szronem,  
Już zdychał, już ostatni raz kiwnął ogonem.  
Chłop zlitował się nad tą mizeryą gadu,  
Wziął go za ogon, niesie nazad w chatę,  
Kładzie go na przypiecku,  
Podściela mu kożuszek, jak własnemu dziecku,  
(Nie wiedząc, jaką weźmie od gościa zapłatę);  
Póty dmucha, póty chucha,  
Aż w nieboszczyku dobudził się ducha.

Nieboszczyk wąż jak ożył, tak się wnet nasrożył,  
Rozkręcił się, dogóry wyprężył się, syknął  
I całym sobą w chłopa się wycela,  
W swojego dobrodzieja, w swego zbawiciela  
I wskrzesiciela!  
„A to co się ma znaczyć?—zdziwiony chłop krzyknął.  
To ty w nagrodę dobrego czynu  
Jeszcze chcesz mnie ukąsić? A! ty żmiji-synu!“  
I wnet porwawszy dubasa,  
Tnie węża raz pod ucho, drugi raz w pół pasa.  
Odleciał ogon w jeden, a pysk w drugi kątek;  
Rozpadło się żmijisko na troje żmijątek.  
Darmo drgają  
I biegają  
Ogon za szyją, za ogonem szyja,  
Już nie zmartwychwstanie żmija.  
Przytrafia się to często, że dobry człek jaki  
Niewdzięcznika przygarnie;  
Ale trafia się częściej, że niewdzięcznik taki  
Przepada marnie.

---

## KRÓL CHORY I LISY.

„Na ukaz jego lwięj mości,  
„Dany do nas (z Jaskiniowska  
„Zbójskiego, gdzie dla słabości  
„Zdrowia ma jego królewska  
„Mość pobyt) do gabinetu  
„Ministrów, my z ich kompletu  
„Zamianowani być przy nim  
„Na służbie, wiadomo czynim:

„Po pierwsze: Z obywatelstwa  
 „Drapieżnego, tudzież stanu  
 „Bydlego, wybrać poselstwa  
 „Z tém, iżby wskutek uchwały  
 „Powiatów, one udały  
 „Się najjaśniejszemu panu  
 „Życzyć, w najpoddąnszy sposób,  
 „Cojaknajdłuższego życia.  
 „Powtóre: posłów brać z osób  
 „Zaszczytnie nam znanych z tycia.  
 „Dan: rezydencya letnia  
 „Jaskiniowsk, 1-go kwietnia.  
 „Przyczem, ministra rozkazem,  
 „Postanowiono zarazem  
 „Posłom z ich towarzyszami,  
 „W tej podróży nadzwyczajnej,  
 „Kazać jechać z paszportami  
 „Ze lwiej kancelarji tajnej;  
 „Zaczem niech się nikt nie waży,  
 „Ani z policyjnej straży,  
 „Ani nawet z dygnitarzy,  
 „Posła ukąsić lub drapnąć,  
 „A tém mniej w pół drogi capnąć.“

Na ten rozkaz ode dworu,  
 Baraństwo, tudzież stan ośli,  
 Pierwsi sejmikować pośli;  
 Pilnując się onych toru,  
 Wszyscy inni z pól i z borów  
 Zgromadzić się mają dzisiaj;  
 Tylko jedna giełda lisia  
 Wstrzymuje się od wyborów.

Zkądże im ta taktyka i co jej powodem?  
Wydał to jeden stary urzędnik, lis rodem.  
„Uważam, rzekł, już dawno trop wszelkiego zwierza  
Przed i za Jaskiniewskiem; upewniam was o tem,  
Że pełno zewsząd śladów ku monarsze zmierza,  
Ale żadnego nie widać z powrotem.“

1831.

---

## ŻABY I ICH KRÓLE.

Rzeczpospolita żabska wodami i lądem  
Szerzyła się od wieków, a stała nierządem.  
Tam każda obywatelka,  
Mała, czy wielka,  
Gdzie chciała, mogła skakać,  
Karmić się i ikrzyć.  
Ten zbytek swobód w końcu zaczynał się przykrzyć.  
Zanwałyły, że sąsiednie państwa  
Używają pod królmi rządowego poddaństwa,  
Że lew panem czworonogów,  
Orzeł nad ptaki,  
U pszczoł jest królowa ula;  
A więc w krzyk do Jowisza:  
„Królul! ojczy bogów,  
Dajże i nam króla—króla!“

Powolny bóg wszechżabstwu na króla-użycza  
Małego jako Łokiet Kija Kijowicza.  
Spadł Kij i pluskiem wszemu obwieścił się błotu.  
Struchlały żaby na ten majestat łoskotu.  
Mileczą dzień i noc, ledwie śmiejąc dychać.  
Nazajutrz jedna drugiej pytają: „Co słyhać?

Czy niema co od króla?“ Aż śmielsze i starsze  
Ruszają przed oblicze stawić się monarsze.  
Zrazu zdala, w bojaźni, by się nie narazić;  
Potem, przemógłszy te strachy,  
Brat za brat z królem biorą się pod pachy  
I zaczynają na kark mu włożyć.  
„Toż to taki ma być król?... Najjaśniejszy Bela,  
Niewiele z niego będziem mieć wesela;  
Król, co po karku bezkarnie go gładzim,  
Niechaj nam abdykuje zaraz, niedołęga!  
Potrzebna nam jest władza, ale władza tęga!“

Bóg, gdy ta nowa skarga żab niebo przebija,  
Zdegradował króla Kija,  
A zamianował węża królem żabim.  
Ten pełzacz, pływacz i biegacz,  
Podśluchiwał i dostrzegacz,  
Wszędzie wziera pod wodę, pod kamienie, pod pnie,  
Wszędzie szuka nadużyć i karze okropnie.  
Arystokracja naprzód gryziona jest żabia,  
Że się nadyma i zbyt się utłuszcza;  
Gryziony potem chudy lud, że nie zarabia  
I że się na dno biedy opuszcza;  
Gryzione są krzykacze, że wrzeszczą namiętnie,  
Gryzieni cisi, że śmiać siedzieć obojętnie.

Tak gryząc je swobodnie, wąż do dziś dnia hula,  
A rzeczpospolita żab boleśnemi skwierki  
Do dziś dnia woła o innego króla,  
Lecz bóg nie chce się więcej mieszać w jej rozterki.

---



## OSIOŁ I PIES.

„Jeżeli chcesz, ośle, by pies kochał ciebie,  
Kochaj-że ty psa,“ słowa są Lokmana.  
Rozumiał je nasz osioł, boć już nie był źrebie,  
Ale z nich drwił. Ta lekkość jak była skarana,  
Opowiem dla was, bydląt potomnych, nauki.

Ten osioł, nosząc jak zazwyczaj juki,  
Szedł w ślad za panem, a za nim z tyłu,  
Mający nad jukami i bydłociem dozór,  
Ledwie widny w kłębach pyłu,  
Biegł pies, wywiesiwszy ozór.  
Bogdaj takich dozorców! Przez drogi czas wszytek  
Nie tknął się swego podwładnego łytek;  
Owszem, bawiąc go, to z boku harcuje,  
To się naprzód wysforuje,  
Ogonem wciąż dla zachętu  
Krętu—wętu...

Szli tak aż do południa.  
Pan na skwar narzekał,  
Siadł pod drzewem i zasnął.  
Tegoć osioł czekał.  
Obejrzał się i naprzód darń przy drodze siekał,  
Potem podstrzygać zaczął czubek miedzy;  
Nakoniec przez rów hopsał  
Widzi się w łące,  
Jakoś mimo wiedzy.  
Nie znalazł-ci tam przysmaków,  
Chwastowiska ni bodziaków,  
Lecz koniczyny do pasa.

„Będiesz się miała zpyszna!  
Tylko ty, człowiecze,

Zmiłuj się, śpij!“ Tak westchnął i siecze a siecze.

Psu oskoma i pokusa:

„Mój osłosiu, od rana jestem naczczo, mdli mię,  
Ty masz wędzonkę w jukach, aż ztąd czuć po dymie,  
Pozwól, że dam jêj całusa!

Wiesz jak zrobimy? Ja na łapy stanę dębkiem,  
A ty przykleknij na jedno kolano.“

Nasz egoista, jakby do muru gadano,  
Sieczce a żuje, milcząc. Aż wreszcie półgębkiem  
Wypchanym koniczyną: „Co się tu wałęsasz?  
Poszedłbyś psie do nogi! Jak jegomość wstanie,  
Da ci się śniadanie.“

Odpowiedzi nie czekał  
I obuszczał znowu  
Tak zarwał trawy,  
Że aż wygryzł w ziemi dołek,  
Klnąc psa, że mu przeszkadza.

Wtém nagle, z za rogu,  
Błysnął ku niemu parą krwawych świec wilkołek,  
Biorąc go na cel i na tuj.

Wtedy do psa: „Bracie, broń! ciu ciu! na tu! ratuj!“

A pies: ja nie twój Ratuj, ani twój pan Broniec;  
Nie wrzeszcz i łąki nie tratuj,

Czekaj, aż jegomość wstanie,  
Na waści obronienie i poratowanie.“

W tójże chwili wilk osła dorznął.

Ot i koniec.

---

## LIS I KOZIOŁ.

Już był w ogródku, już witał się z gąską,  
Kiedy skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,  
Gdzie wodę zbierano;  
Ani pomyśleć o wyskoczeniu,  
Chociaż wody nie było i nawet nie grzązko,  
Studnia na półczwarta łokcia.  
Zawysokie progi  
Na lisie nogi;  
Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznogcia.  
Postaw się teraz w tego lisa położeniu.  
Inny zwierz pewno załamałby łapy  
I bił się w chrapy,  
Wołając gromu, ażeby go dobił.  
Nasz lis takich głupstw nie robił;  
Wie, że rozpaczać jest to zło przydawać do zła.  
Zawsze maca wkoło zębem,  
A patrzy wgórze. Jakoż wkrótce ujrzał kozła,  
Stojącego tuż nad zrębem  
I patrzącego z ciekawością w studnię.  
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije.  
Cmoka mocno, głośno chłepce  
I tak sam do siebie szepce:  
„Oto mi woda! Takićj nie piłem, jak żyję!  
Smak lodu, a czysta cudnie!  
Chce mi się całemu splukać,  
Ale mi ją szkoda zbrukać,  
Szkoda!  
Bo co też to za woda!“  
Kozioł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:

„Ej!—krzyknął zgóry—ej ty ryży kudła!  
Wara od źródła!“

I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,  
A z rogów na drąg — i w nogi.

1831.

---

### TRÓJKA KONI.

Z poetów Litwy tylko jeden bard Antoni  
Miał trójkę koni.  
Pamięć ich na ówczesnym została Parnasie  
Tak żywa, że dziś mógłbym zrobić ich rysopis.  
Niedziw tedy, że, gdy się wczoraj rozgadało  
O dawnych rzeczach i o owym czasie,  
Zapytałem: „Co się też z temi końmi stało?“  
Na to mi odpowiedział w te słowa bajkopis:

„W przeznaczeniach tych koni była jakaś tajnia.  
Postawiono je razem na obroku,  
A po roku  
Jeden drugiego nie mógł znieść ani widoku.  
Chociaż żłób długi i przestrona stajnia,  
Wszędzie im ciasno; wieczne parskania i bitki;  
Musiałem w końcu sprzedać każdego z osobna.  
Ale cóż ztąd? Wyroku zmienić niepodobna:  
Znowu je kacap jakiś sprzągl do swój kibitki.  
Ledwie z miejsca, natychmiast wszystkie się ofukły:  
„Ej wy, chochołskorodzie!—rzał Lezgin wysmukły,  
Nie biesuj! Wiedz, że sobie nie dam plwać w wędzidło!“  
A Mazur: „Wej ciarachy! Dyć i my nie bydło;  
Nie targajta, bo żgniema, że będzieta chramać!“

Na to Kozak pieniąc się: „Ciszej, ty Lachska mać!  
I ty muzyku! Niechno staniemy przy żłobie,  
Oj, dam ja wam!“ A oni: „Oj, damyż my tobie!“  
Nuż wierzgać jak w najlepsze. A kacap do bicza,  
Jak utnie z całej ręki w bok Chochołowicza,  
Potém z kolei raz wraz po Lezgu, po Chłopie,  
Nie było czasu brykać. Rwą w pełnym galopie  
Trzy mile ukraińskie ku pocztowej szopie,  
Szcześliwe, że tam wreszcie zatrzymawszy sanki,  
Kacap dał im odetchnąć i wsypał trzęsianki;  
Jadły razem, o kłótniach nie było i wzmianki.  
I tak sekret tych koni odkrył się przed światem:  
Kłóca się nad obrokiem, godzą się pod batem.

1832.

---

## TCHÓRZ NA WYBORACH.

Po owój porażce zwierząt  
Wszczał się w ich armii nierząd.  
Zwołana wojenna rada,  
Z rady zwada;  
Każdy każdemu się żali,  
Każdy przed każdym się chwali  
I każdy winę na każdego wali,  
Tchórzowi tylko wszyscy pokój dali.

Obywatel tchórz w rządzie nie zasiadał,  
Ani wojskowo nie służył,  
Więc w politycznym życiu się nie zużył,  
Ufny w niepokalaną swą przeszłość, tak gadał:  
„Obywatele! czas jest przystąpić do kwestji.  
Czemu przypiszem klęski tej kampanji?

Czy że na wodza brak nam zdolnej bestji?  
Nie! Ale my ulegli przesądów tyranji!  
Grzesznym przodków obyczajem,  
Nie tym buławę oddajem,  
Których zasługa i talent wyniosą,  
Ale tylko mamy w cenie:  
Ci—drapieżne urodzenie,  
Tamci—rogate znaczenie,  
A owi—socyalne, tłuste położenie.  
Otóż dowódcy nasi, przypatrzcie się kto są?  
Lew, prezes, istny pańskich ideał nałogów;  
Radca żubr, już dziad, ledwie goni resztą rogów;  
Niedźwiedź mruk, niech-no stanie przed wojskiem, co  
Z lamparta byłoby coś, ale mu pstro w głowie; [powie?  
Że pułkownik wilk sławny, toć tylko z rabunków  
I z procesu, co zrobił owemu jagniątku;  
A o kwatermistrzu lisie  
Lepiej przemilczeć zda mi się,  
Niżli zazierać do jego rachunków,  
Sam się nie tai, że skory do wziętku.  
Pominiemy odyńca, pan ten tylko pragnie  
Skarbić żołędzie i spoczywać w bagnie,  
Przywyklejszy doń, niż do marsowego kurzu;  
Co się zaś tyczy osła, ten był i jest błaznem.“  
Gdy tchórz tak gadał, Rada, wrac entuzjazmem,  
Gotowa za krasomowstwo  
Dać mu naczelne wodzostwo,  
Odezwała się nagle w jeden głos: „Żyj, tchórz!“  
On, stropion krzykiem tym pośród perory,  
Zmieszał się, owszem, dał czuć najwyraźniej,  
Że był w gwałtownej bojaźni.  
Dopiero rozruch. „Precz z nim! pfe! tchórz! a do nory!“

Szczęściem tuż była. Wśród sarkau i śmiechu  
Wpadł w nią i rył bez oddechu,  
Aż gdy na sążeń czuł się pod podwórzem,  
Rzekł do siebie z ironją czystego sumienia:  
„Ot proszę, co też to jest przesąd urodzenia!  
Obranoby mię wodzem, gdybym nie był tchórzem.“

1832.

---

## DZWON I DZWONKI.

Dzwonki razu jednego świegotały z wieży  
Do dzwona, który w piasku pod kościołem leży:  
„Widzisz, bracie, choć mniejsi, jak śpiewać umiemy;  
Cóż tobie po wielkości, gdyś głuchy i niemy?“  
„O głośni braciszku!—dzwon smutny zaszeptał,  
Dziękujcie plebanowi, że mię w piasek wdeptał.“

---

## PCHŁA I RABIN.

Pewien rabin, w talmudzie kąpiąc się po uszy,  
Cierpiał, że go pchła gryzła; w końcu się obruszy.  
Dalej czatować—złowik. Srodze przyciśnięta,  
Kręcąc się, wyciągając główkę i nóżęta:  
„Daruj, rabi, mądryemu nie godzi się gniewać,  
O święty synu Lewi, nie chciej krwi przelewać!“  
„Krew za krew!—wrzasnął rabin—Beliala płodzie!  
Filistynko, na cudzej wytuczona szkodzie!  
Mrówki mają śpichlerze, pracowite roje  
Znoszą miody i woski, a trucień napoje;

Ty się jedna wśród ludzi z liwarem uwijasz,  
Pijaczko, tém szkodliwsza, że cudze wypijasz.“  
Zakończył i gdy więźnia bez litości dłabi,  
Pchła, konając, pisnęła: „A czém żyje rabi?“

---



POWIASTKI.



## POPAS W UPICIE.

(Zdarzenie prawdziwe).

Upita, niegdyś miasto, powiatu stolica,  
Dzisiaj miasteczko liche, jedna w niēm kaplica  
I kikanaście chatek żydowskiēj siedziby.  
Gdzie były ludne rynki, dziś tam rosną grzyby;  
Wzgórek obronny wałem i zwodzonym mostem,  
Teraz broni się tylko pokrzywą i ostem.  
Mury w gruzach; na miejscu zamkowego gmachu  
Sterczy nędzna karczemka, bez okien i dachu.

Tam, na popasie, z nudy rozważać począłem  
Miny i mowy ludzi, siedzących za stołem.  
Trzech było. Pierwszy starzec z posrebrzanym włosem,  
Na łbie konfederatka rzucona ukosem,  
Wąs augustowski, żupan, dzisiaj popielaty,  
Trudno odgadnąć jaką miał barwę przed laty,  
U pasa karabela. Obok siedział młody,  
We fraku z samodziału, krojem nowēj mody;  
Fryzował sobie czubek, kolnierzyk, a czasem  
Bawił się z pływającym u buta kutasem,

Lub żartował z sąsiada, którego płaszcz długi  
 I krzyż czerwony znakiem kościelnego sługi.  
 Czwarty był żydek. Temu człowiek od pałasza  
 Tak mówił: „Hejno! dobra nasza bez marjasza!  
 Poco trupami w szabas arendarzów trwożyć?  
 Słuchajcie kumy, gotów z wami się założyć,  
 Że jak tylko Siciński na cmentarz odjedzie,  
 Dostaniem garniec miodu. Nieprawdaż, sąsiedzie?“  
 Arendarz kiwnął brodą. Słuchałem ciekawy.  
 Siciński? i w Upicie? Imię strasznej sławy!  
 „O jakim trupie, rzekłem, toczycie rozmowy  
 I o jakim Sicińskim?“ Na to kontuszowy:  
 „O Sicińskim? Z początku całą rzecz wywiode.  
 Na miejscu, gdzie żydowską widzimy gospodę,  
 Był zamek nieboszczyka; przytém imion wiele,  
 Koneksye potężne, mnogie klientele,  
 A ztąd ćma popleczników i kresek bez liku;  
 Siciński był dyktator na każdym sejmiku.  
 Starszych i zasłużeńszych patrycjuszów zhasał  
 Ale niedosyć na tēm, na wyższe się kasał.  
 Poczęła też kłuć oczy zbyt rogata duma,  
 Przyszedł sejmik poselski: nauczono kuma,  
 Bo gdy, pewny wyboru, posłem się ogłasza,  
 Kiedy dziękuje szlachcie, na obiady sprasza  
 I gdy się na Mazowsze wybiera do drogi,  
 Liczą turnum—Siciński padł na cztery nogi!  
 Agitatus furiis et impotens irae,  
 Umyślił zgubić szlachtę; o scelus! o dirael!  
 Daje obiad. Zwiedziona zbiera się drużyna,  
 Gnie się stół pod misami, cieką strugi wina,  
 Łyka plebs; wtēm blekotem zaprawione męty  
 Durzą głowę: z wesela—niechęci i wstręty,

Dalej klótnia, hałasy, istna wieża Babel.  
Od zębów szło do kijów, od kijów do szabel,  
Nie patrząc oka, boku, mordując jak wściekli,  
Tros Rutulusve fuat, wszyscy się wysiekli.  
Lecz truciznik niedługo wygraną się chwalił,  
Bo go piorun z rodzeństwem i mieszkaniem spalił.  
Jak ów Ajaks scopulo infixus acuto,  
Exspirans flammas... straszna, lecz słuszna pokuto!“  
„Amen!“ rzekł dziad kościelny. Ekonom we fraku  
Porównywał tę powieść do zboża w przetaku  
I chcąc z bajecznej plewy prawdę wywiać naga,  
Harfował żarcikami, zakończył uwagą,  
Że pan marszałek, z którym on do stołu siada  
I u którego książek niezmierna gromada,  
Ilekroć o Sicińskim wspomni, zawždy mówi:  
On zgubił nas, on ręce zawiązał królowi.

Z tych słów marszałka głowa ekonomiczna wniosła,  
Że nie szło tam o sejmik, ani wybór posła,  
Że musiała być wojna, przeciw komu? kiedy?  
Trudno zgadnąć, zapewne z Turki albo Szwedzy;  
Pewno Siciński króla do Upity zwabił,  
Oddał w ręce najeźdźcom i ojczyznę zabił.

Chciał dalej rzecz prowadzić, lecz sługa kościoła,  
Zezem nań spojierając: „Niedobrze, zawoła,  
Jeśli księdza plebana chcą uczyć dzwonniki,  
Jeżeli przed siwymi biorą głos młodziki.  
Ja wam opowiem, jako najlepiej świadomy,  
Nie sejmik ani wojna ściąga niebios gromy,  
Lecz bezbożność. Siciński, wyrzekłszy się wiary,  
Zabrał, jak mówią, grunta, należne do fary;  
Nie chciał płacić dziesięcin, nie bywał w kościele,

Pędził chłopów do pracy w święta i niedziele.  
Chociaż mu nieraz biskup listami zagrażał,  
Choć go wyklął z ambony, Siciński nie zważał.  
W święto Bożego Ciała, pod samo południe,  
Gdy msza była w kaplicy, kazał kopać studnię,  
Dokopał się swój zguby i powszechnej szkody;  
Bo z owiej studni tyle wybuchnęło wody,  
Że pola, kędy niegdyś bujały pszenice,  
Zarosły w paproć, łąki poszły w trzęsawice.  
Sicińskiego, jak słusznie pan sędzia namienił,  
Piorun zabił, dom spalił, potomstwo wyplenił.  
Trup, kłutwą uderzony, dotąd cały stoi,  
Ziemia go przyjąć nie chce, robactwo się boi.  
Nie znalazłszy na ziemi święconej spoczynku,  
Strasząc ludzi, rzec można, wala się po rynku,  
Bo go nieraz dziad jaki, uniósłszy z cmentarza,  
Wlecze w szabas do karczmy, straszyć arendarza.“  
Skończył i drzwi stodoły odemknął. Tam stało  
Szkaradne, starożytne nieboszczyka ciało.  
Nogi długie i czarne sterczą mu jak szczudła,  
Ręce na krzyż złamane, twarz głęboko wchudła,  
Oblicze wywędzone brud śmiertelny szpeci,  
Usta wysute, przez nie ząb gdzieniegdzie świeci;  
Zresztą nietknięta ciała zdrowego budowa,  
Postać ludzką od żywój niezbyt różną cowa,  
Twarz nawet właściwego nie traci wyrazu,  
A jako na powierzchni starego obrazu,  
Jeżeli mogły rysy pierwiastkowe zostać,  
W tych resztkach jeszcze dawna przebija się postać;  
Tak owa twarz, choć ogniem żywotnym nie płonie,  
Lecz kto ją znał za życia, poznałby po zgonie.  
Za pierwszym rzutem oka coś takiego widać,

Czego żadnemi słowy niepodobna wydać.  
 Dzikość, szpecąca żywych oblicze zbrodniarzy,  
 Zda się dotąd zamarła grozić z jego twarzy;  
 Dotąd zdradziecka radość w ustach się uśmiecha,  
 Gniew rozbójniczy w czole, nade brwiami pycha.  
 Barki nadół pochylił, głowę na pierś zwisnął;  
 Zda się, że ciężar hańby do ziemi go cisnął,  
 Albo że ręka gwałtu z piekieł go wywlekła  
 I znowu radby gwałtem powracać do piekła.

Jeżeli jama, w której łotrowie mieszkali,  
 Chociaż ją ludzie skruszą, lub piorun rozwali,  
 Dzikością swych położzeń i krwawym ogromem  
 W gruzach daje odgadnąć, czyim była domem;  
 Gdy węża po zrzucenėj rozpoznasz skorupie,  
 Poznałbym Sicińskiego żywot po tym trupie.

„O towarzysze!—rzekłem—pocoście niezgodni?  
 On był nie jednéj winien, ale wszystkich zbrodni;  
 Jego trucizną naród zdurzony oszalał;  
 On królom ręce związał, kraj klęskami zalał!“

A pomyślałem w duszy: Cóż są gminne dzieje?  
 Popiół, w którym zaledwie iskra prawdy tleje;  
 Hjeroglif, mchem zarosłe zdobiący kamienie;  
 Napis, którym spowite usnęło znaczenie;  
 Odgłos sławy, wiejący przez lat oceany,  
 Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,  
 Godzien śmiechu uczonych. Lecz nim się zaśmieje,  
 Niechaj powie uczony: czém są wszystkie dzieje?

Odessa, roku 1825.

## GOLONO, STRYZONO.

U nas, kto jest niby chory,  
Zwołuje zaraz doktory,  
Lecz czując się bardzo słaby,  
Prosi chłopą albo baby.  
Ci, ze swego aptekarstwa,  
Potrafią i podagrze,  
I chiragrze i głuchotom,  
I suchotom i głupotom  
Radzić—a i u nich wszakże  
Nie masz na upór lekarstwa.

Mieszkał Mazur blisko Zgierza,  
Któremu zginęła suka,  
Straż domostwa i śpichlerza.  
Gdy jej z żalem i kłopotem  
W okolicy całej szuka,  
Wróciła się w tydzień potem.  
Ledwie poznał, że to ona,  
Bo była wpół-ogolona.

„O zbóje! żeby ją skryli,  
Używając takich figli,  
Że biedaczkę wygolili!“  
„Powiedz raczej, że ostrzygli,  
Robi mu uwagę żona,  
Bo psów nie golą, lecz strzygą.“  
„A no patrzajcież-bo mi go,  
Odezwie Mazur z przekąsem,  
Jaka ty mi dyć uczona!  
Mając gołe jak pięść lice,



Chcesz nauczać nas pod wąsem,  
 Co jest brzytwa, co nożyce?  
 A nasz pan, co mu łysina  
 Prześwieca się jak ta psina,  
 Myślisz, że jest postrzyżona?“  
 „A wąsiki ekonoma,  
 Odpowiada zaraz żona,  
 Co mu wiszą jak n sosny,  
 A błyszczą jak namaszczone,  
 Sąż golone, czy strzyżone?“  
 „Bierz ci licho twego pana  
 I pana i ekonoma,  
 Dobrze, że jest suka doma,  
 Choć tak szpetnie ogolona.“  
 „Toć i jam się ucieszyła,  
 Odpowiada zaraz żona,  
 Że się suka powróciła,  
 Choć tak szpetnie ostrzyżona “  
 „Głupiasz z twemi nożycami!“  
 „I ty z twojemi brzytwami!...“  
 „Że golona, przypatrz-że się!“  
 „Że strzyżona, pokaże się.“

Tak się kłóćą mąż i żona;  
 Miasto Zgierz całe się zbiega,  
 A krzyk wkoło się rozlega.  
 Ogolona! ostrzyżona!

Idzie sąsiad: „Niechaj przydzie,  
 Niech się wpatrzy i przekona.“  
 Idzie żyd: „Powiedz-no, żydzie,  
 Czy golona? Czy strzyżona?“

Od żyda aż do plebana,  
Od plebana, aż do pana,  
Sprawa zapieczętowana;  
Co sąsiad i żyd dowodził,  
Na to się ksiądz i pan zgodził,  
Że wygrała mężka strona,  
Że suka jest ogolona.

Wracają do domu strony,  
Po drodze chłop pyta żony,  
Czy wyroku treść pamięta?  
Ona milczy jak zakłęta.  
U progu suka ich wita:  
„Pójdź tu, moja ogolona!“  
Woła mąż. A kobieta:  
„Pójdź tu, moja ostrzyżona!

Mazur wściekły już nie gadał,  
Ani żonie odpowiadał;  
Tylko wzięwszy pod rękawki,  
Wlecze ją wprost do sadzawki  
I topi jak kadź ogórków.  
Ona, nienawykła nurków,  
Już się zachłysnęła nieraz;  
On, trzymając za ramiona,  
Gnębi, krzycząc: „A no teraz:  
Czy golona? czy strzyżona?“  
Biedaczka, ze śmiercią w walce,  
Czując skonu paralizę,  
Wytknęła tylko dwa palce  
I na odpowiedź palcami,

Jakby dwiema nożycami,  
Mężowi pod nosem strzyże.

Na ten widok uciekł z wody.  
Ona poszła do gospody;  
On się puścił aż do Zgierza  
I tam przystał za żołnierza.

---

### ŻONA UPARTA.

Teraz tyle samobójstw, że czyhają strażę  
Nad rzeką. Niech-no człowiek się pokaże,  
Co na afisze nie patrzy  
I od korzenników bladszy,  
Niedbale utrzewiczony  
I źle urękawiczony—  
Myślą, że się chce topić;  
A więc pełni zgrozy,  
Ratują go od śmierci, a wiodą do kozy.

Taki to jakiś po Sekwany brzegu  
Biegł przeciw wody. Żandarm zatrzymał go w biegu  
I urzędownie pyta o powody  
Tęgo biegu przeciw wody.  
„Nieszczęście!—woła biedak—pomocy! ratunku!  
Żona mi utonęła, żona, iż tak rzekę,  
Wpadła mi w rzekę.“

A na to żandarm mu rzecze:

„O, praw hidrauliki nieświadom człowiecze!  
Szukasz utopionego ciała w złym kierunku,  
Ono zgóry wdół płynie wedle praw przyrody,  
A ty za żoną biegiesz przeciw wody?“

„Boć to ciało—rzekł szukacz—było w życiu dziwne,  
Zawždy wszystkiemu przeciwne,  
I domyślać się mam pewne powody,  
Że popłynęło z rzeką przeciw wody.“

1840.

---

## KRÓLEWNA LALA i KRÓL BOBO.

Za czarnem i sinem morzem był kraj zbyt cudny,  
Obfity w łąki i w mąki, rybny i ludny,  
A panował tam król Bobo, wielki wojownik,  
A niedosyć że wojownik, lecz i czarownik.  
Szanowali go poddani i króle blizkie,  
I najdalsi monarchowie i kraje wszystkie.  
Więc król Bobo w sławie jaśniał, w skarby opływał,  
Wszelkiego bożego dobra wesół używał,  
Nie nie robiąc, wcześniej chodząc spać, późno wstając.  
Całe dni polując, pijąc, tańcząc, hulając,  
Od jednych do drugich swych ziem przejeżdżając,  
Pałaców trzysta sześćdziesiąt sześć wybudował,  
By każdego dnia w pałacu innym nocował.  
Słowem, od początku świata do owęj doby,  
Nie było na świecie pewnie żadnej osoby,  
Ani też będzie szczęśliwszêj od króla Boby.

Męzkiego potomstwa nie miał król Bobo wcale,  
Tylko jedną miał córeczkę, na imię Lale,  
Cudnego rozumu, cudnej urody.  
Jak była najrozumniejsza, najurodziwsza,  
Tak ze wszystkich panien była najnieszczęśliwsza.  
Czyli rodziła się pod gwiazdą złą w czarnym roku,  
Czy ją kto zaczarował w jakim uroku,

Nikt nie wiedział, ni powiedzieć umiał królownie,  
Tylko że jest nieszczęśliwa, widziano pewnie  
I że w dnie i w noey płakała rzewnie.  
I było też czego płakać i czego szlochać,  
Bo się żaden z kawalerów nie chciał w nią kochać.  
Przyjeżdżali królowice z dalekich stolic,  
Odwiedzali ją książęta z blizkich okolic,  
Nikt się wdziękom jej dowoli nie mógł napatrzeć,  
Ale nikt się o jej rękę nie chciał oświadczyć.

Tymczasem królowna Lala rośnie a rośnie  
I, nie mogąc dostać męża, wzdycha żałością.  
Gdy nie stało kawalerów koronowanych,  
Rada była pójść za kogo z książąt poddanych;  
Swatała się przez swą ciotkę i przez stryjenkę,  
Trzem z kolei obiecała posag i rękę.  
Każdy za tak wielką łaskę kłaniał się wdzięcznie  
I każdy się od wesela wykręcił zręcznie.  
Jeden mówił, że wprzódby nim wstąpi w małżeństwo,  
Pojedzie sam uwiadomić swoje rodzeństwo  
I prosić rodziców o błogosławieństwo.  
Siodła konia, z krajów Boba jedzie coprędzej,  
I tyle go też widziano—nie wrócił więcej.  
Drugi już się przyrzekł żenić, tylko uprosił,  
Aby wprzód po zmarłym ojcu żałobę znosił.  
Gdy ją znosił, przyszły druchny po pannę młodą,  
A pan młody zniknął kędyś, jak kamień w wodę.  
Słowem, każdy pan innego szukał pozoru,  
Aż po jednym tak uciekli wszyscy ze dworu.  
Gdzie jechali, powiadali, że pannę Lale  
Szanują i wielbią i cenią, ale  
Do żenienia się z nią serca nie mają wcale.

Dlaczego serca nie mają? nie wiedzą sami;  
Panna z tylu przymiotami i z bogactwami!  
I królestwo ma w posagu! Piękne to rzeczy;  
Rozum każe w nią się kochać, a serce przeczy.  
A było to w owych czasach, gdy jeszcze ludzie  
Nie wiedzieli o dzisiejszój brzydkiej obłudzie,  
Nie rozumieli, że można panny nie lubić,  
A przecież ją dla pieniędzy tylko zaślubić,  
A tak i ję i swe serce na wieki zgubić.  
A więc woleli panowie iść na wygnanie,  
Anizeli bez kochania na królowanie;  
Woleli iść na wygnanie o wolném sercu,  
Anizeli bez miłości stać na kobiercu.

Tymczasem królewna Lala rośnie a rośnie,  
Dotąd za mąż nie wydana, wzdycha żałośnie:  
„Każda panna z mego dworu, każda poddanka,  
Czy prostaka, czy pastucha, znajdzie kochanka;  
Ma towarzysza, ma dziatki. Ja tylko biedna,  
Bez towarzysza, bez dziatek, zostanę jedna  
I nie będzie komu po mnie zapłakać szczerze  
I za moję duszę codzień zmówić pacierze!“...

Tak płacząc pannie Lali przyszła myśl dzika,  
Ażeby pójść wreszcie za mąż choć za kuchcika.

Właśnie wtenczas, przed oknami, chłopiec niewielki,  
Oszarpany, umurzany płukał rądelki.

„Pójdź, kuchciku, posłuchaj, co powiem tobie,  
A ja cię dziś najszcześniejszym człowiekiem zrobię.  
Naprzód rądle rzuć do licha i bież w krynice,  
Umyj dobrze i wyszoruj piaskiem tve lice,

I ręce umywaj póty, aż będą czyste;  
Potem przyjdź, a ja ci dam suknie uroczyste,  
Dam ci kapelusz z piórami, ostrogi srebrne,  
Złota kieszkę, tudzież inne sprzęty potrzebne.  
Za to złoto kupisz w mieście rumaka z rzędem,  
Na nim wielką bramą w zamek wbież wielkim pędem.  
Udasz się przed królem, ojcem moim, za księcia,  
A ja dokażę, że ciebie weźmie za zięcia.“

Gdy królewna tak mówiła, kuchta drżał z trwogi,  
Potem jak stał, tak jej upadł plackiem pod nogi  
I, podniósłszy głowę, z płaczem wołał: „Ach, czemu  
Tak żartujesz, tak urągasz mnie, chłopcu biednemu?“  
„Głupi kuchto, rzekła Lala, same gołąbki  
Upieczone lecą z nieba tobie do gąbkil  
Jeżeli nie zrobisz, głupcze, co ci kazałam,  
To nie odżałujesz tego twém życiem całym.“  
„Ach, królewno, Lalo moja! kuchcik zawołał,  
Choćbym chciał zrobić, co każesz, tobym nie zdołał.  
Nie wiesz, co to lata młode przeżyć sierotę;  
Nie wiesz, co to być kuchcikiem! Pytaj mnie o to!  
Zrana trzeba iść do lasu łamać gałązki,  
Zgarbiwszy się składać w kupę i wiązać w wiązki  
I na plecach nieść do domu, a tak się silić,  
Że się trzeba aż do ziemi jak dęga chylić.  
Pod ciężarami nie mogłem wyrość na człeka,  
Lecz jak źrebię zajeżdżone jestem kaleka,  
Chociażbym do dworu wjechał na koniu wielkim,  
Poznaliby wszyscy, że jest lichym karzełkiem.“  
„Nic to, rzekła królewna, jest na to rada:  
Powiedz, że ty jesteś rodem z kraju—o, lada...  
Stoi w książkach, że jest kędyś kraik malutki,

Którego obywatele zwą się karlutki;  
Powiedz, żeś ty syn królewski z tamecznój ziemi.  
Królowie, czy są wielkimi czyli małemi,  
Czy prości, czy garbaci, są równi sobie.“  
Kuchta na to: „O królewno! cóż nędzny zrobię?  
Patrzno tylko na mą postać, na ręce moje;  
Czyli będą mi do twarzy książęce stroje?  
Od rana do nocy muszę kręcić pieczenie,  
Aż jak pieczeń tak spaliły twarz mą płomienie;  
Wieczorami rądle myję, aż dłoń stwardniała  
I patrz, z rąk mych aż do łokcia zlazła pobiała.“  
„Nic to, rzekła mu królewna, mów przed niemi,  
Że ty jesteś syn królewski z murzyńskiej ziemi,  
Wiadomo nam, jak tam słońce oblicza smali;  
Królowie są wszyscy równi: wy czarni, my biali.“

Dopiero to słysząc, kuchta aż stracił mowę  
I zadziwił się tak mocno, aż zaszedł w głowę,  
Włosy targał, ręce łamał, nogami tupał,  
A zębami zgrzytał, jakby orzechy chrupał.  
Płakał coraz głośniej, że aż Lale przeleknął,  
W końcu dostał serdecznego śmiechu i jęknął.

. . . . .  
. . . . .

---

## P A N   B A R O N .

Gdzie dobrze, tam ojczyzna. A gdzież kiedy było  
Komu lepiej, gdzie kiedy komu się przyśniło  
To wszystko, w co pan baron na jawie opływa?  
Przychodzień, dóbr książęcia jak swoich używa



I wkrótce pojmie wdowę, panią dóbr, za żonę,  
A z nią księstwo i hrabstwa dwa uksiążęcone,  
I ten zamek wspaniały, tak sławny z piękności  
Po świecie całym, że doń co rok mnóstwo gości  
Z Anglii, z Niemiec, z Polski przybywa tłumami,  
Jakby na miejsce jakie słynące cudami.

Niedziw tedy, że baron, budząc się w pościeli  
Edredonowych puchów, miększej od kąpieli  
I z za kotar indyjskich wychylając głowę,  
Powitał temi słowy słońce południowe:  
„Gdzie dobrze, tam ojczyzna!“ Już ruszył nawiasem  
Wstęgę tkaną z jedwabiu, ze złotym kutasem.

Na ten ruch, jak na laski czarodziejskiej zamach,  
Zaraz we drzwiach pokoju zabłysło, jak w ramach  
Obrazu zaklętego wojsko malowane  
I w cichości na całą rozlało się ścianę,  
Żywe a nieruchome; i tylko z wyrazu  
Oczu i twarzy widać, że czeka rozkazu.  
Służba niemiecka. Wszystko we fraki ubrane  
Czarne, białe pończoszki, glansowne trzewiki,  
W rękę trzymają lustra, brzytwy, ręczniki.  
Baron dał rozkaz. Służba rzuca się. Dwaj pazie  
Niosą bieliznę czystsza, niżli śnieg na głazie.  
Gdy ją baron przywdziewa, z przodu go osłania  
Dwóch pokojowych suknią indyjskiego tkania,  
Gdzie złotych kwiatów więcej lśni, niż na ornacie.  
Baron zwykle zaczyna ranek w takiej szacie;  
Gdy ją włożył, to znak jest, że z łoża powstaje,  
I wnet mu pochyleni do nóg dwaj lokaje  
Podścielają meszt parę z marokańskiej skóry,  
Mających i barwistość i świeżość purpury,

A każda z nich złocistą naszywana gwiazdą.  
Stopa do nich wślizga się lekko, jak ptak w gniazdo  
I po kobiercach cicho, jako łyżwa lekka,  
Płynie ku stolikowi, gdzie go kawa czeka.

Kamerdyner lał kawę. Murzyn z lewój strony  
Trzymał nabitą lulkę i lont zapalony;  
Za danym znakiem, ogień podłożywszy chybką,  
Sklonił się z dwusążniową ku panu antybką,  
Na któręj końcu bursztyn, wielkości ogórka,  
Pełen drogich kamieni, jak zawój u Turka.  
W tężże chwili znów z tyłu inny pokojowiec  
Stając, safianowy rozwinął pokrowiec  
Angielski, zeń nożyczki dobył; temi krzesze  
Podbródek baronowi i szyldkretem czesze,  
I ręką muszcze, pełną utłuszczonęj farby;  
Potem, żeby włos ująć w należyte kárby,  
Chustką go opasuje, która uwikłana  
Na szczycie głowy w węzeł, nakształt tulipana.

Baron hawańskich dymów z bursztynu snuł smugi,  
Naprzód w górę przed siebie, potem wdół na sługi.  
Ci ze znaków pojmować wolę pana zwykli,  
Drzwiami, kędy w cichości weszli, tędy znikli.  
On został sam, dumając, a w bursztyn grał ciągle,  
Puszczając dym to krągło, to znów półokrągłe.  
Rozwałęsała jego w tych dymach się błąka  
Samotna i ponura myśl, nakształt pająka,  
Lecz widno, że gdzieindziej myśl, gdzieindziej dusza.  
Bo z ust, któremi puszcza dym i ledwie rusza,  
Wyszedł i głos, i słowa, i zdania, lecz rzeczy  
Trudno w nich znaleźć, jedno drugiemu więc przeczy.

Naprzykład takie słowa: „Gdzie mi dobrze będzie,  
Tam i ojczyzna moja, tam dom. . . .

W domu lepiej . . . . .

Sława!... Chleb to grunt, a sława zabawa!

Mądry baron po szkodzie! Żyj, pókiś na świecie;

Po mnie, niech spadnie niebo i skowronki zgniecie!“

I tym podobne zdania. . . .

A każde zdanie jego mieszało się z dymem.

Z takich to tęczowatych rozmyślań wytrąca  
Mrok, spadający nagle jak zaćmienie słońca.

Baron uczuł, że mu się po za skronie wije

I oczy ściska dwoje rączek: zgadnął czyje.

Westchnął; puszcza z ust bursztyn, którego świeciła,

Jak puszczona z dziecięcej słomki bańka mydła,

Błysnęły i zagasły cicho na kobiercu

Podłogi. On prawicę położył na sercu,

A lewą koło głowy lekkuchno wychyla,

Jak chustkę, którąby ktoś odpędzał motyla,

Aż nakoniec milczenie przerwał ciężkim jękiem,

Potém głosem cichutkim, jak komara brzękiem:

„Ach, ach, jeśli mi szczęście zawiera powieki

W kształcie nocy—ach, niechże ta noc trwa na wieki!

Jeżeli fala, która w nicość nas zagłębia,

Ma tę świeżość i ten puch skrzydełek gołębia,

Niech umrę teraz, niech zniknę!“... Lecz wzdychając

Głowę i prawie aż do kolan ją przybliżał. [zniżał

Wtém jedna z rączek, co mu więziła powieki,

Rozsunęła się zwolna, jako obłok lekki.

Baron, podobien temu, co się cuci z mdłości,

Wydobywał wpółsenne oko z tych ciemności,

Aż dojrzał śród nich postać, która jak królowa

Nocy wdzięki swe w szatach zaciemnionych chowa.  
 Suknia długa i czarna; nad głową się sępi  
 Czarny kapelusz i w krąg strusie pióra strzepi.  
 Była to księżna, w stroju, który zwykle służy  
 Wielkim paniom niemieckim do konnej podróży.  
 W rękę trzymała biczek z szyldkretowym prętem,  
 Którego skówkę gryzła strojną dyamentem.

Temi rzeczami gdy się bawił, lokaj włata  
 Z krzykiem: „Hofrat oznajmia wizytę!“  
 Wszedł człek półwieczny, twarzy poważnej, w ubraniu  
 Podróżnem, z biczem w rękę, jakby na wsiadaniu.  
 Dawny znajomy, krótko witał się z baronem,  
 Dorywczem rąk ściśnieniem i lekkim ukłonem.  
 Baron przysunął krzesło ręką i półgłową  
 Ukłoniwszy się—hofrat skłonił się nanowo.  
 Usiedli—milczą oba. Jegomość się krząta  
 Służbą. Lokaj w milczeniu pośpiesza do kąta,  
 Gdzie, naksztalt hodowanych w donicy cebulek  
 Wschodnich kwiatów, sterczały główki wschodnich lu-  
 Bursztynowe, natkane w stolik sandałowy. [lek  
 Lokaj wybrał z nich cybuch półtrzeciałokciowy,  
 Nasadził piętę, nabił, zapalił i wtyka  
 Cybuch w usta hofrata, a sam jak wszedł, znika.

Siedzą tedy i palą. Dwaj przyjaciele,  
 Gdy się zejda i gdy są oba marzyciele,  
 Mogą razem przemyślić i przegadać wiele,  
 Nie siląc się na słowa. Taż myśl, która w gwarze  
 Głosów brzmi, może równie przemawiać i w parze.

Hofrat zaczął dąć szybko i dym rączo ciskał,  
 Który szerząc się, w górze jak wodotrysk pryskał.

Naprzeciw baron, z usty wszere rozciągniętymi,  
 Jak gdyby ze skalistej rozpadliny dymi;  
 Fala poziomo w pół izby zawisa  
 I nad głowami jako obłok się kołysa.

Zdziwiło to hofrata; cybuch spuścił nadół  
 I czystem z płuc ciągnionem powietrzem się nadał;  
 Potem z taką siłą dmuchnął w dymu środek,  
 Że go rozbił i zrobił w nim jasny obwodek,  
 Przez który odkryło się nieco dno sufitu,  
 Jak nad rozstępującą się mgłą krąg błękitu.  
 Taką przygotowawszy dla oczu widownię,  
 Pochwycił znowu cybuch, pociągnął gwałtownie  
 \*I cały przepędziwszy dym przez ust naczynie,  
 Puścił z nich jedną kulę, wielką, jako dynię.  
 Podniosła się wspaniale i środkiem obłoku  
 Dążyła do sufitu. A wtém baron z boku  
 Wystrzelił ku niej bańką małego rozmiaru,  
 Lecz kręciła się szybko, jak kula bilaru;  
 Ta dopędza wnet banię, swym obwodu brzegiem  
 Trąca ją, aż obiedwie wstecznym poszły biegiem.

Cichym uśmiechem hofrat dał poklask tój sztuce,  
 A tymczasem gotował i cybuch i płuce.  
 Nakoniec rozwarł usta; widno, jak w ich głębi  
 Dym długo gromadzony warzy się i kłębi  
 I przy brzegach ust krążąc, ciasno je obwieńcza,  
 Aż się zerwał i wyszedł na świat w kształt obręcza,  
 Kręcąc się przed obliczem barona zawiesza  
 I już się ma rozplynać, gdy hofrat pośpiesza  
 Podeprzeć go obręczem drugim, mniejszym nieco,

Za którym trzeci, piąty, dziesiąty, wciąż lecą.  
 Z obręczy wnet tworzy się postać ostrokreśa,  
 Który końcem gardzieli hofrata dosięga,  
 A podstawą wprost przeciw baronowi mierzy.  
 Wzdrygnął się baron, zdumiał, ledwie oczom wierzy,  
 Żeby ktoś w Niemczech zdołał wydać arcydzieło,  
 Któreby u fajkarzy chińskich poklask wzięło;  
 Chce godnie odpowiedzieć i za jednem tchnieniem  
 Ów ostrokreś spaja takiem zokrągleniem.

. . . . .

## OBJAŚNIENIA.

Str. 320. Siciński? i w Upicie?—Imię strasznej sławy.

Siciński, poseł upicki, na sejmie (roku 1652), pierwszy dał przykład zerwania obrad, użyciem bezprawnem *vet*o, przez co władzę królewską do reszty osłabił, a kraj gminowładztwem szlacheckiem zawichrzył. Jest podanie, że gdy wracał do domu, okryty przekleństwem ziomków, na samym progu zginął od pioruna. Kilka lat temu pokazywano w Upicie dawnego, ale dobrze zachowanego trupa, który pod imieniem Sicińskiego, włóczony od dziadów kościelnych jako osobliwość, był igraszką miasteczka.

Str. 321. Tros Rutulusve fuat. (Czy to Trojańczyk, czy Rutul).  
 Cytata z Eneidy Wirgiliusza, księga X, wiersz 108.

Str. 327. K o r z e n n i k, épicier.



## TREŚĆ TOMU DRUGIEGO,

### POEMATY.

|                            | Strona |
|----------------------------|--------|
| Grażyna. . . . .           | 5      |
| Objaśnienia . . . . .      | 47     |
| Dziady, część I . . . . .  | 65     |
| Dziady, część II . . . . . | 89     |
| Dziady, część IV . . . . . | 121    |
| Konrad Wallenrod. . . . .  | 179    |
| Objaśnienia . . . . .      | 253    |
| Farys. . . . .             | 263    |
| Objaśnienia . . . . .      | 270    |

### POEZYJE DYDAKTYCZNE.

|                                |     |
|--------------------------------|-----|
| Warcaby. . . . .               | 275 |
| Do Joachima Lelewela . . . . . | 285 |
| Do doktora Siemaszki. . . . .  | 294 |
| Objaśnienia. . . . .           | 296 |

### BAJKI.

|                              |     |
|------------------------------|-----|
| Pies i wilk . . . . .        | 299 |
| Przyjaciele . . . . .        | 301 |
| Zając i żaba . . . . .       | 302 |
| Koza, kózka i wilk . . . . . | 303 |
| Chłop i źmija . . . . .      | 304 |
| Król chory i lisy . . . . .  | 305 |
| Żaby i ich króle . . . . .   | 307 |
| Osiół i pies. . . . .        | 309 |
| Lis i kozioł. . . . .        | 311 |

|                            | Strona |
|----------------------------|--------|
| Trójka koni . . . . .      | 312    |
| Tehórz na wyborach.. . . . | 313    |
| Dzwon i dzwonki . . . . .  | 315    |
| Pchła i rabin.. . . .      | 315    |

POWIASTKI.

|                                     |     |
|-------------------------------------|-----|
| Popas w Upicie . . . . .            | 319 |
| Golono, strzyżono . . . . .         | 324 |
| Żona uparta. . . . .                | 327 |
| Królewna Lala i król Bobo . . . . . | 328 |
| Pan baron . . . . .                 | 332 |
| Objaśnienia . . . . .               | 338 |









WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

77257

Biblioteka WSP Kielce



0176873